

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

106

Miłosz

Hauptmann

Libera

Fiut

Chwin

Szwarc



REDAKCJA:

Krzysztof Myszkowski – redaktor naczelny

Barbara Laskowska – biuro redakcji

ZESPÓŁ:

Adam Bednarek, Jan Błoński (1931–2009), Stefan Chwin, Aleksander Fiut,
Michał Głowiński, Marek Kędzierski, Julian Kornhauser, Leszek Szaruga

ANTONI LIBERA	3	Od jednoaktówki Hauptmanna do opery Pendereckiego
GERHART HAUPTMANN	9	Czarna maska (<i>Die Schwarze Maske</i>) przełożył Antoni Libera
CZESŁAW MIŁOSZ	35	Kwestie narodowości i patriotyzmu
	40	„Skorzystam z przywileju poety...” przełożyła Magdalena Heydel
	45	„Rozmyślam o strefie pośredniej...”
ALEKSANDER FIUT	46	„Pisane było”?
CZESŁAW MIŁOSZ	59	Listy do Krystyny i Stefana Chwinów
KRYSTYNA CHWIN-LARS	63	Noty
STEFAN CHWIN	67	Wiara, nadzieja i Miłosz
ALEKSANDER FIUT	73	Moje spotkania z Czesławem Miłoszem (1979 – lata 90.)
SUSANA SZWARC	89	Na straży
	90	Bezsennie krążę po domu
	92	Bez kwiatów wiśni
	93	Psalm • Pasażerowie
KRYSTYNA RODOWSKA	94	Nota
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	95	Domek z kart
MAREK KĘDZIERSKI	97	Epoka jest niezwykła, dziwne czasy nastały
MIROŚLAW DZIĘŃ	100	WTV • Ściana Płaczu, sobota
	101	Operacja • *** (<i>Ze śmierci wstał Pan i idzie...</i>)
KAZIMIERZ BRAKONIECKI	102	Spotkanie Celana z Heideggerem 25 VII 1966
	103	Wierzyński
PIOTR SZEWC	104	Piwonie narcyzy • Tablica • Strzała
	105	TR • Mazowiecka 11
	106	Skarb • Pieśń skowronka

VARIA

STEFAN CHWIN	107	Dziennik 2020 (2)
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	116	Fragmenty murów obronnych (3)
LESZEK SZARUGA	122	Dobrze o złu (3)
PIOTR SZEWC	128	Z powodu i bez powodu (58)
ARTUR SZLOSAREK	130	Notatki do zapomnianych podróży (3)

RECENZJE

MACIEJ WRÓBLEWSKI	137	Podróże od zmierzchu do zmierzchu i od snu do snu
PIOTR SOBOLCZYK	141	Alfa, ale nie <i>macho</i> , Romeo, choć nienormatywny, Alfa bez ketmanu
KRYSTYNA RODOWSKA	148	Joanna pisze – z potrzeby pisania, Wisława milczy – z potrzeby milczenia

NOTY O KSIĄŻKACH

MARTA TOMCZOK	153	Wszystkie imiona chłodu
KONRAD ZYCH	156	Elegie dla świata
TOMASZ MIZERKIEWICZ	159	Nikt w dwóch osobach
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	163	<i>Laterna magica</i>
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	168	Meandry
LESZEK SZARUGA	176	Ból istnienia
PAWEŁ TAŃSKI	179	Teraz oto mnie nie ma. Edward Stachura w trzydziestu dziewięciu czarnych skrzynkach pamięci
NOTY O AUTORACH	185	
NOWE KSIĄŻKI	188	

ANTONI LIBERA

Od jednoaktówki Hauptmanna do opery Pendereckiego

|

Gdy w nadmorskim Rapallo, na przełomie lutego i marca 1928 roku, powstawała *Czarna maska* – jednoaktowa sztuka, która wraz z inną, napisaną niebawem *Jazdą czarownicy*, miała złożyć się na dyptyk pod tytułem „Strachy” – jej autor liczył sobie sześćdziesiąt sześć lat i był u szczytu sławy. By wyobrazić sobie skalę jego pozycji i rozgłosu, wystarczy wspomnieć, że ów nieco zapomniany dziś pisarz był wówczas – od lat szesnastu – laureatem literackiej Nagrody Nobla i wielu innych prestiżowych wyróżnień, a także honorowym doktorem uniwersytetów w Oxfordzie, Lipsku i Pradze oraz pierwszym kawalerem najwyższego odznaczenia Republiki Weimarskiej. Był również bohaterem kilku biografii (pierwszą napisano, gdy miał zaledwie czterdzieści lat), przedmiotem licznych monografii oraz autorem, któremu za życia wydawano dzieła zebrane. Jego sześćdziesięciolecie obchodzono z niesłychaną wprost pompą (brało w nim udział wiele znamienitych osobistości, w tym sam prezydent); zorganizowano też wielki festiwal sztuk dramatopisarza.

Tę uprzywilejowaną pozycję i sławę zawdzięczał Hauptmann swym dziełom z pierwszego okresu twórczości, który upłynął pod znakiem problematyki społecznej i modnego wówczas naturalizmu. Najśłynniejsze z nich utwory to oczywiście *Tkacze* i *Szczury*, a także *Przed świtem*, *Futro bobrowe*, *Woźnica Henschel* i *Rose Bernd*.

Ów niezwykle płodny pisarz usiłował jednak od pewnego czasu odejść od kulturowanej przez lata poetyki i podążać w nieco innym kierunku. Poszedł szlakiem swego śląskiego krajana Jakuba Böhme'go (1575–1624), niemieckiego mistyka, gnostyka i filozofa religii, który z czasem wywarł ogromny wpływ na XIX-wiecznych romantyków. Generalnie chodziło o wzbogacenie uprawianego do tej pory realizmu o wymiar metafizyczny. Hauptmann opatrzył ten idiom mianem „podwójnej rzeczywistości”: przez fasadę rzeczywistości pospolitej miała prześwitywać rzeczywistość idealna – mistyczna, uniwersalna – pod

postać rozmaitych symboli i figur parabolicznych. Do tej właśnie koncepcji nawiązał Tomasz Mann, przemawiając w 1952 roku we Frankfurcie z okazji dziewięćdziesiątej rocznicy urodzin dramaturga, stwierdzając, iż przewodnim motywem dojrzałego dzieła Hauptmanna jest „przecucie niepokojącego kosmiczno-metafizycznego przeznaczenia ludzkości”.

Rzecz ciekawą i zastanawiającą jest to, że owa postawa autora i wynikająca z niej starania, aby wciąż przewycięzać samego siebie i szukać nowych form wyrazu, nie przyniosły mu jednak takiego powodzenia jak rzeczy stworzone w okresie naturalizmu. *Czarna maska*, wystawiona natychmiast po napisaniu, w 1929 roku w Burgtheater w Wiedniu, przeszła bez echa i szybko stała się utworem zapomnianym.

Przyjrzyjmy się bliżej jej treści.

||

Rzecz dzieje się w miasteczku Bolkenhain na Dolnym Śląsku (dzisiejszym Bolkowie nieopodal Wałbrzycha), w 1662 roku, czternaście lat po pokoju westfalskim, który zakończył jedną z najdłuższych i najbardziej krwawych wojen w Europie – religijną wojnę trzydziestoletnią (1618–1648). Główną postacią dramatu jest niespełna czterdziestoletnia Benigna, żona burmistrza Schullera, będąca *spiritus movens* nie tylko toczącej się w ciągu kilku godzin akcji, lecz również wieloletniej skomplikowanej historii, która do niej doprowadziła.

Benigna jest kobietą urodziwą i czarującą. Prowadzi ekskluzywny salon, w którym, jak twierdzi jej mąż, „zaprowadziła prawdziwy ład religijny”. Otóż ta „istna królewska dama”, jak nazywa ją z kolei Löwel Perl, żydowski kupiec, przyjaciel burmistrza, ma dosyć mętną, by nie powiedzieć mroczną, przeszłość. Przede wszystkim nic nie wiadomo o jej korzeniach. Wiadomo jedynie, że wzrastała w Amsterdamie, jednym z najbogatszych miast w owym czasie, ale kim byli jej rodzice, z jakiego domu pochodzi – o tym tekst nic nie mówi. Jej historia zaczyna się nagle i zagadkowo, kiedy ma lat piętnaście i wpada w ręce zbiegłego niewolnika, czarnoskórego Johnsona, który czyni z niej najpierw swoją kochankę, następnie matkę swej córki (mieszanej krwi Arabelli), a wreszcie – niczym bezwzględny sutener – atrakcyjną tancerkę „na sprzedaż”, by kusić jej wdziękami możnych owej epoki: nadzianych konkwistadorów, handlarzy żywym towarem i tym podobnych bogaczy.

Jednym z nich jest siedemdziesięcioletni Mijnen van Geldern, któremu pożądanie do tego stopnia uderza do głowy, że gotów jest nie tylko poślubić

osiemnastoletnią piękność, ale i dyskretnie adoptować jej córkę-Mulatkę jako „nieszczęsne dziecko, które wypatrzył na statku handlowym” i które postanowił wspانياłomyślnie wychować. Bezwzględny Johnson tylko na to czeka: pcha swoją „podopieczną” wraz z dzieckiem w ręce ociekającego złotem van Gelderna, by szantażem wyciągać od niego pieniądze, a z czasem zawładnąć całą jego fortuną, mordując go własnoręcznie.

Bezradna Benigna usiłuje zerwać z Johnsonem i uciec przed nim, jest jednak zbyt niezaradna, by zrobić to samodzielnie. Udaje się jej to w końcu, gdy poznaje poczciwego i naiwnego Sylvana Schullera, dla którego jest ucieleśnieniem piękna i dobra. Wychodzi za niego za mąż, aby z całym majątkiem odziedziczonym po van Geldernie wyjechać na Śląsk – daleko od światowej, ale i ryzykownej Holandii. Jest to jednak małżeństwo wyrachowane: Benigna nie dzieli łoża z nieśmiałym prowincjuszem z Bolkowa, lecz wielkopańskim gestem podsuwa mu młodziutką służącą Dagę. Sama zaś, powodowana próżnością i rozbudzoną wcześniej zmysłowością, wikła się w serię romansów – najpierw z krewkim i pożądliwym hrabią Hüttenwächterem, a potem z młodziutkim opatem ksiązęcym Robertem Dedo, któremu pragnie zapisać część włości należących do Schullera. Gra przy tym cały czas światową damę, która z dalekiej liberalnej Północy przywiozła na mroczny, zaściankowy i zwaśniony Śląsk ducha tolerancji i zaprowadza tu nareszcie prawdziwy pokój wyznaniowy.

Tak właśnie wygląda sytuacja wyjściowa dramatu.

Jest mroźny luty, karnawał, w mieście panuje zaraza, a burmistrz Schuller wydaje wystawną ucztę na cześć swej ubóstwianej żony – ucztę, na którą przybywają przedstawiciele różnych wyznań. Oprócz więc wspomnianego już Löwela Perla, żydowskiego kupca z Amsterdamu, oraz luteranina hrabiego Hüttenwächtera z małżonką i katolickiego opata ksiązęcego mamy tu jeszcze protestanckiego pastora Wendta, wolnomyśliciela muzyka-organistę Hadanka, ogrodnika Torteбата (hugenota) oraz dawnego służącego Benigny, zamieszanego w śmierć jej pierwszego męża, Jedidję Pottera (jansenistę). Prym wie-dzie naturalnie Benigna, zauroczona opatem ksiązęcym z Hohenwaldu – ku zadrności i złości hrabiego, z którym romansowała wcześniej.

Pod cienką powłoką manier i konwenansu kryją się ogromne napięcia, antagonizmy i dzikie namiętności. Hrabia nienawidzi opata nie tylko z powodów religijnych i za to, że odbił mu Benignę, ale również dlatego, że klasztor zawładnął jego dobrami. Jednocześnie, nie licząc się całkiem z własną żoną, dyszy żądzą do dziewiętnastoletniej Arabelli, o której nie wie, że jest córką Benigny. Zwiariowany libertyński muzyk Hadank szaleńczo kocha się w Róży

Sacchi, katoliczce, powiernicy Benigny. Służący Jedidja i francuski ogrodnik Tortebat to neofici religijni, łączący w sobie ascetyzm z fanatyzmem. Wreszcie Schuller, ubóstwiający i idealizujący swą żonę, i cierpiący niewątpliwie z powodu separacji, nie kryje zadowolenia, że żyje z młodziutką służącą.

Ten duszny, zepsuty świat doznaje nagle wstrząsu. Niejako w ślad za Perlem, który przywiózł z sobą list od Johnsona z żądaniem kolejnego haraczu, pojawia się on sam, skryty pod czarną maską. Jednocześnie do, zdawałoby się, niezagrożonego domostwa burmistrza, pod postacią dwóch martwych szczurów, zagląda czarna śmierć.

Odtąd wypadki toczą się już błyskawicznie. Czarnoskóry „mściciel” z Amsterdamu zabija służącego Jedidję, głównego i jedyne go świadka jego zbrodni na van Geldernie, a lęgnąca się dotąd niepostrzeżenie dzuma wybuchu nagle z impetem i powala zakażoną, jak się okazuje, Benignę. Schuller z rozpaczki popełnia samobójstwo, a reszta gości rzuca się do ucieczki. Na ratunek jest już jednak za późno. Tłum pierzchających postaci przemienia się w korowód potępieńców, podążających ku śmierci w rytmie barokowego *danse macabre*.

III

Jak widać z powyższego streszczenia, Hauptmann próbował stworzyć tu moralitet składający się z co najmniej dwóch materii: realistycznej historii, zakorzenionej w centralnych dla Europy XVII wieku zjawiskach społecznych, kulturowych i religijnych, oraz wizji symbolicznej, mającej na celu uniwersalizować te wszystkie sprawy w metafizycznych kategoriach dobra i zła, cnoty i grzechu, porządku i chaosu.

Wybór epoki przełomu cywilizacyjnego, jaką było stulecie wielkiej zaoceanicznej konkwisty, emancypacji rozumu, tworzenia się kolosalnych fortun kosztem niewolniczej pracy i krwawych walk na tle religijnym, był zapewne podyktowany skojarzeniem z czasami Hauptmannowi bliskimi, w których również dochodziło do przełomowych wydarzeń i kataklizmów, takich jak pierwsza wojna światowa, rewolucja w Rosji i kryzys ekonomiczno-moralny weimarskich Niemiec jako skutek traktatu wersalskiego. *Czarna maska* miała być ekspresjonistyczną parabolą, która w historycznym kostiumie wieszczyla zbliżającą się katastrofę i dzień sądu ostatecznego. W ujęciu Hauptmanna potępiona zostaje zarówno „oświecona”, liberalna i rozpustna Północ, jak i „ciemne”, zatęchłe i skłócone wewnętrznie Południe, krótko mówiąc: Reformacja

i Ortodoksja, zwyrodniała tolerancja i atawistyczny fanatyzm. Wszelki zbytek i towarzysząca mu rozwiąłość, wzniesione na ludzkiej krzywdzie, przemocy i lichwie, są z natury złe – prowadzą do dekadencji i upadku. Plaga – czarna śmierć – pełni tu rolę Losu-Mściciela, który niczym antyczny *Deus ex machina* spada zniecka i rozstrzyga o wszystkim.

Przekaz ten, mimo celności i aktualnych odniesień, nie przekonał jednak europejskiej publiczności z końca lat dwudziestych ubiegłego stulecia. Sztuka, być może wskutek swej eklektycznej poetyki, spotkała się ze wzruszeniem ramion i od razu trafiła do lamusa.

Potrzeba było ponad pięćdziesięciu lat, aby odkrył ją na nowo – tym razem dla teatru operowego – Krzysztof Penderecki. Otrzymał w 1982 roku zamówienie z Festiwalu w Salzburgu na napisanie opery, kompozytor chciał początkowo zaadaptować *Pannę Julię* Strindberga albo głośnego w owym czasie *Amadeusza* Petera Shaffera, odrzucił jednak te pomysły, gdy tylko natknął się na wyszperaną przypadkiem *Czarną maskę* Hauptmanna. Od razu odkrył w tej sztuce wprost idealny materiał literacki dla aktualnych zamierzeń artystycznych. Odpowiadała mu przede wszystkim jedność miejsca i czasu – fakt, że cała akcja rozgrywa się w ciągu jednego popołudnia i wieczoru, i w pomieszczeniu zamkniętym – wprawdzie przestronnym, niemniej swoście klaustrofobicznym. Ponadto inspirował go istniejący w sztuce „akustyczny” drugi plan – coraz to dochodzące z zewnątrz rozmaite hałasy i dźwięki: a to wrzawa krążącego wokół domu pochodzą karnawałowego, a to kuranty kościelne, a to zwykłe, lecz pełne niepokoju odgłosy stukania, szmery i pospolite wrzaski. Mogła z tym korespondować wariacka muzyka Hadanka wykonywana na scenie oraz oratoryjne *Dies Irae* i liczne motywy i frazy chorałów i pieśni religijnych, podejmowane przez występujące postaci. Krótko mówiąc, sztuka stwarzała ogromne pole do popisu dla kompozytora, który w tok muzycznej narracji mógł wplatać zarówno kryptocytaty z muzyki dawnej, średniowiecznej i barokowej, jak i autocytaty z dzieł własnych, napisanych wcześniej, takich jak *Polskie Requiem* czy *Te Deum*.

Tak więc libretto nie stanowiło właściwie problemu. Penderecki wraz z Harrym Kupferem, przyszłym reżyserem premiery, dostosował po prostu tekst sztuki do potrzeb widowiska operowego. Polegało to z jednej strony na dokonaniu odpowiednich skrótów (usunięto mniej więcej jedną czwartą tekstu – głównie wypowiedzi na tematy historyczne, religijno-filozoficzne i społeczne), a z drugiej, na wprowadzeniu różnego rodzaju powtórzeń i tak zwanych refrenów. Zmieniono też nieco zakończenie – na bardziej radykalne

i wyraziste. W wersji operowej – poza Perlem, „Żydem wiecznym tułaczem” – nikt nie pozostaje przy życiu.

Prawykonanie *Czarnej maski* odbyło się 15 sierpnia 1986 roku w Salzburgu, po czym inscenizacja została przeniesiona do Opery Wiedeńskiej. Rzecz została przyjęta entuzjastycznie. Według jednego z niemieckich krytyków muzycznych, Horsta Koeglera, publiczność, zgotowawszy Pendereckiemu owację na stojąco, uczciła go prawie jak Richarda Straussa po premierze jednej z najsłynniejszych jego oper – *Salome* według Oscara Wilde’a. Rzeczywiście, między tymi dwoma dziełami można dopatrzeć się podobieństw. Podkreślano również, że Penderecki odnowił tym utworem formę „oper literackiej”. Wkrótce po inscenizacji salzburskiej zrealizowano *Czarną maskę* w Ameryce, na deskach słynnej opery w Santa Fé.

Polska prapremiera, w oryginalnej wersji językowej – pod dyrekcją Mieczysława Dondajewskiego i w reżyserii Ryszarda Peryta – miała miejsce w Poznaniu w 1987 roku, a w wersji polskiej – rok później, w Warszawie. Dzieło to wystawiła również w 1998 roku Opera Krakowska.

CZARNA MASKA

(Die Schwarze Maske)

libretto opery Krzysztofa Pendereckiego
na podstawie dramatu Gerharta Hauptmanna
pod tym samym tytułem

przełożył Antoni Libera

OSOBY

SILVANUS SCHULLER, burmistrz z Bolkenhain

BENIGNA, jego żona

ARABELLA, młoda Mulatka

RÓŻA SACCHI, zaufana gospodyni domu Benigny

JEDIDJA POTTER, jansenista, służący w domu burmistrza

FRANÇOIS TORTEBAT, hugenot, ogrodnik w domu burmistrza

DAGA, służąca burmistrza

LÖWEL PERL, żydowski kupiec, przyjaciel burmistrza

ROBERT DEDO, opat ksiączęcy z Hohenwaldau

PLEBAN WENDT, pastor z Bolkenhain

HADANK, organista

HRABIA EBBO HÜTTENWÄCHTER

HRABINA LAURA HÜTTENWÄCHTER

SCHEDEL, radny z Bolkenhain

DOKTOR KNOBLOCHZER, radny z Bolkenhain

JOHNSON, Murzyn

GŁOS, alt

Akcja rozgrywa się w 1662 roku. Luty, około 12-iej w południe.

Na scenie półmrok; na dworze – zadyмка śnieżna i ciemno.

Stary, elegancko ubrany służący Jedidja wprowadza Löwela Perla, który – w futrze i okutany szalem – przyjechał właśnie saniami pocztowymi.

JEDIDJA Proszę, niech pan wchodzi, panie Perl. Czekamy tu wszyscy na pana.

PERL Niestety przedłużył mi się pobyt w Brunshwiku i Hanowerze.

JEDIDJA *odbierając futro* A co w Haarlemie? Co w miłym Amsterdamie?

PERL O, kiepskie interesy.

JEDIDJA Doprawdy? Są powody do obaw?

PERL Bądź spokojny! Twój kapitał wzrósł o jedną trzecią.

JEDIDJA Bóg zapłać! To promień łaski w tym mroku.

PERL A co u was, Jedidja? Wszyscy zdrowi?

JEDIDJA Pan burmistrz zdrow.

PERL A jaśnie pani?

JEDIDJA Właściwie trudno powiedzieć. Sam się pan wkrótce przekona.

Na galerii ukazuje się Arabella. Za nią idzie François Tortebat.

ARABELLA Masz przynieść kwitnące kwiaty: hiacynty i tulipany. Ciotka Benigna tak rozkazała.

FRANÇOIS Jak można kwiatom rozkazać, aby nagle zakwitły, gdy nie ma słońca i zima?

ARABELLA Jak ciotka rozkazuje, to musi tak się stać.

FRANÇOIS Madame peut commander, mais l'accomplissement est chose de Dieu.

ARABELLA Mów po niemiecku! Nie rozumiem twojego żargonu. Czemu nie pali się w kominku?

JEDIDJA Bo nikt nie rozpałił.

ARABELLA To właśnie cały Jedidja! – To co tu właściwie robisz?

JEDIDJA Służę panu Perlowi.

ARABELLA Löwel Per! Chwała Bogu! Skąd się pan tutaj wziął?

PERL Prosto z pocztowych sań. Nogi mam jak dwa sople.

ARABELLA Nareszcie! Jest pan wreszcie! Tęskniliśmy za panem. A więc nareszcie będzie przy stole dziś wesoło!

PERL Po prawdzie, to wesoło nie wygląda ten kraj. A jak się mają sprawy pani szanownej ciotki?

ARABELLA U ciotki Benigny wszystko w najlepszym porządku.

PERL Przywiozłem ci piękne błyskotki z wielkiego świata. Ale nic o tym nie mów. Udawaj, że nic nie wiesz. Żeby nie denerwować drogiego nam burmistrza.

ARABELLA Och, miły Lewku, droga Perełko, szepnij mi chociaż co to. *Perl wyjmuje z kieszeni etui, otwiera je i pokazuje dziewczynie zawartość. Arabella klaszcze z radości.* O Boże! Ale cicho!

W eleganckim stroju domowym wchodzi burmistrz, Sylwan Schuller.

SCHULLER A więc to prawda: Löwel Perl!

PERL Nie sposób mnie uniknąć, nie sposób się obejść beze mnie. Beze mnie nie da się żyć, panie burmistrzu.

ARABELLA Dzień dobry, wuju.

Obejmuje i całuje Schullera.

SCHULLER Dzień dobry, moje dziecko, jeśli tak można go nazwać. Jedidja, świece! I rozpal ogień w kominku! Już sama pana obecność rozświetla trochę ten dzień.

PERL Czyżbym świecił jak próchno?

SCHULLER *do Arabelli* Idź do ciotki i powiedz, kto się tu u nas zjawił. Przywiózł pan może jakieś nowe odmiany tulipanów?

PERL Przywiozłem panu o wiele lepsze rzeczy.

SCHULLER Przeczuwam, że zbankrutuję. Trzydzieści lat tej wojny spustoszyło ten kraj.

PERL To prawda. Niderlandów nie da się z tym porównać.

SCHULLER Holendrzy cieszą się wolnością. Tu pokój zmienił niewiele. Kraj jest wprost wyludniony. Niech się pan cieszy, że nikt na pana nie napadł. Poza tym, od lat niewidziane, znów grasują tu wilki. François! – Słyszysz, François! – Idź i powiedz służącym, aby dla pana Perla przygotowali pokój.

PERL To ten stary hugenota François?

SCHULLER *potakując* Wzorowy chrześcijanin. Wzorowy hodowca kwiatów.

PERL *do François* Pozwoli pan, Tortebat, że serdecznie pana pozdrowię. Wszystkiego najlepszego!

FRANÇOIS *klaniając się uniżenie* Merci, monsieur, merci...

PERL *do Schullera* Czemu pan tutaj żyje, choć mógłby pan żyć gdziekolwiek: w Paryżu, w Amsterdamie, w fantastycznej Wenecji.

JEDIDJA *stawiając na stole świecznik z płonącymi świecami* Pan burmistrz nie chce nawet słyszeć o Amsterdamie.

SCHULLER Jedidja, co ty mówisz!

JEDIDJA To właśnie, co powiedziałem.

SCHULLER *do Perla, z rozbawieniem* Twarde orzechy daje mi czasem do zgryzienia. No cóż, holenderskie maniery... *Wchodzi Róża Sacchi.* O, Róża! Co cię sprowadza?

RÓŻA Pani burmistrzowa prosi pana na górę. Jego Wielebność, opat ksią-
żący z Hohenwaldu, już tam jest.

SCHULLER Jak długo?

RÓŻA Od jakiejś godziny. Ogląda nowe obrazy.

SCHULLER Czy widzisz, kogo tu mamy?

RÓŻA Pan Perl! Pan Löwel Perl!

PERL Jak pani to robi, Róžo, że z roku na rok młodnieje?

RÓŻA Och, zwodzi pana półmrok! Bardzo się cieszę, że pan przyjechał.
Benigna, jak o tym się dowie, na pewno odzyska siły.

PERL Czyżby nie była zdrowa?

SCHULLER Nie, nie jest chora... w zasadzie...

RÓŻA A więc przyjdziecie panowie? Czy mogę was zapowiedzieć?

PERL No, a książący opat? Czy można tak? Czy wypada?

SCHULLER To młody i prosty człowiek. Ma ledwo trzydzieści lat. Jest sy-
nem kupca z Augsburga. Idź, Róžo, zaraz przyjdziemy. *Róža, podeksycytowa-
na, wychodzi szybkim krokiem.* Jedidja, jeśli się gniewasz, to przyślij mi kogoś
innego.

JEDIDJA Czemu miałbym się gniewać?

SCHULLER Będziemy dzisiaj jeść – tu, przy okrągłym stole. *Do Perla*
W południe, koło dwunastej, mają się tu pojawić hrabiostwo Hüttenwächter.

PERL Hüttenwächter? Przepraszam, pierwszy raz słyszę nazwisko. Któż to
taki, burmistrz?

SCHULLER Walczy z kłusownikami. Poza tym lubi pić, łąsy jest na kobiety,
uwielbia pieczeń z jelenia, a wino doprawia pieprzem.

PERL A więc to luteranin.

SCHULLER Owszem. Tak samo jak ja.

PERL To jak on zniesie opata?

SCHULLER Nie ma obawy. Benigna zaprowadziła tutaj prawdziwy ład
wyznaniowy.

PERL Królewska dama, zaiste.

SCHULLER Ona jest ponad tym wszystkim. A zresztą pan ją zna: znał pan
ją, jeszcze zanim została moją żoną.

PERL Odkąd została wdową po starym van Geldernie.

SCHULLER Zdecydowała się przyjechać tutaj ze mną. Godne podziwu,
prawda? Na takie dzikie odludzie, w dodatku wyniszczone przez wojnę religij-
ną. Kobieta, co miała u stóp całą bogatą Holandię! Cóż więc dziwnego w tym,
że wszyscy garną się do niej – garną jak ćmy do światła! Przygotowałem

dziś dla niej maleńką niespodziankę: kuranty, o które pan kiedyś wystarał się w Utrechcie, zamontowano w końcu na wieży miejskiego kościoła i dziś, o czym ona nie wie, zagrają po raz pierwszy.

JEDIDJA Pokój dla pana Perla jest już przygotowany.

PERL *do Schullera* Pójdę się więc odświeżyć. Pozwoli pan. Na razie.

Jedidja otwiera drzwi, przepuszcza Perla i wychodzi za nim. Schuller zostaje sam. Z rękami założonymi do tyłu przemierza kilkakrotnie komnatę. Nagle przystaje.

SCHULLER Gdyby Bóg mi ją zabrał, dla potępionego byłaby to kara ponad miarę.

Przechadza się dalej, wreszcie wychodzi. Wchodzi Jedidja i François. Z okrągłego stołu usuwają ozdoby. Jedidja przygotowuje nakrycia stołowe.

JEDIDJA Przebierz się, François. Będziesz mi pomagał podawać do stołu.

FRANÇOIS Umarli z głodu rozkładają się w grobach, a tu się będzie hulać.

JEDIDJA Za holenderskie pieniądze. Perl mi powiedział, że mogę się bawić do woli.

FRANÇOIS Jesus sit tibi gloria.

JEDIDJA Przebierz się, François. A ty to co? Nie zakopałeś złota, gdy przez twój kraj ciągnęły krwawe hordy?

FRANÇOIS Bóg mnie uchronił od grzesznych pieniędzy.

JEDIDJA A czemuż to pieniądze mają być grzeszne?

FRANÇOIS Wszelkie bogactwo jest grzeszne.

JEDIDJA A czyż ja jestem święty? Jestem grzesznikiem. Czyż nie biję się w pierś, prosząc o zmiłowanie?

FRANÇOIS Ci, co łakną bogactwa, wpadają w sidła chciwości.

JEDIDJA Czy ja łaknę bogactwa?

FRANÇOIS Sam powiedziałeś, co przekazał ci Perl. Co się tak na mnie patrzysz? Nie patrz tak na mnie, Jedidja! Ty masz zły wzrok, Jedidja. Ma rację żona burmistrza.

JEDIDJA Ech, głupia! Głupia gęś! *François cofa się szybko, robiąc znak krzyża. Jedidja dalej nakrywa do stołu. Kacierzom usługiwać! Papistom usługiwać! Niech ich zaraza pochłonie! Książętom piekiel usługiwać!*

Wchodzi Róża Sacchi.

RÓŻA Jest tutaj Perl?

JEDIDJA Myje się, płucze usta i szoruje zębiska.

RÓŻA A gdzie jest pan?

JEDIDJA Tu i tam, tu i tam, po galerii chodzi sam.

RÓŻA O co ci chodzi, Jedidja?

JEDIDJA „Krzyccie, szepty! Płyńcie, słozy!” A skąd ja mogę wiedzieć? Jak długo już jego wielebność siedzi u burmistrzowej?

RÓŻA Czyś ty oszalał, Jedidja?

JEDIDJA *dalej nakrywając do stołu* „Ryczcie, smoki wy przekłete! Bijcie w górę, ognie piekła! Wrogi, niszczone mnie ze szczętem! Lżyj, potwarców zgrajo wściekła!”.

Wychodzi.

RÓŻA Skończysz w domu wariatów. I to już niedługo. *W eleganckim stroju domowym wchodzi Perl. Róża podbiega do niego.* Szukałam właśnie pana! No, chwała Bogu, jest pan! Ma pan coś dla nas? Błagam! Ona odchodzi od zmysłów i chyba oszaleje, jeśli nie dowie się zaraz, czego się ma spodziewać.

PERL *podając list* Ciągłe tego samego. To ciągle ta sama śpiewka.

RÓŻA Jaka ta sama śpiewka?

PERL Forsa! – Forsa i forsa!

RÓŻA Więc znowu jest na wolności?

PERL Tak, uciekł. Kraty więzienia nie powstrzymały go.

RÓŻA Widział go pan?

PERL W Hamburgu. Wiedział, jak mnie odnaleźć.

RÓŻA Acqua in bocca! Sza!

Wychodzi. Z jednej strony wchodzi hrabia i hrabina Hüttenwächter oraz pleban Wendt, a z drugiej idący im na spotkanie Schuller.

SCHULLER Witaj, hrabio! *Do pastora* Witaj, czcigodny panie! Od samej waszej osoby robi się tutaj jaśniej! *Przedstawiając gościom Perla* Pan Löwel Perl, właściciel firmy handlowej, z przedstawicielstwem w Pradze, Hanowerze i Amsterdamie.

EBBO Czy my się znamy?

PERL Niestety, nie miałem zaszczytu.

Wchodzi Arabella.

ARABELLA *do hrabiny* Ciotka prosi do siebie. Zaprowadzę tam panią. *Arabella i hrabina Hüttenwächter wychodzą.*

EBBO *do Schullera* Zalotne ma spojrzenie ta twoja siostrzenica. Oczy jak tysiąc i jedna noc.

SCHULLER Nieszczęsne dziecko. Ma sporo białej krwi. Mijnher van Geldern, pierwszy mąż Benigny, wypatrzył ją na statku handlowym.

EBBO Jest tu opat książęcy, jak słyszę.

SCHULLER Nie winno to jednak zakłócić pokoju religijnego, jaki panuje w tym domu.

EBBO Z pewnością, choć trudno doprawdy żyć w zgodzie z tym młodocianym świętoszkiem.

SCHULLER Syn kupca. Krewny Fuggerów.

EBBO O każdą piędź ziemi muszę się szarpać z klasztorem. A i u dam tracimy nagle względy.

SCHULLER Choć dzień ponury, hrabia, jak zwykle, w doskonałym humorze.

W ozdobnej liberii wchodzi François i nalewa gościom wino. Przez salę przechodzi Daga.

EBBO A cóż to za śliczne dziewczątko?

SCHULLER Podoba się hrabiemu? – Dago, podejdz tu, proszę. *Daga zatrzymuje się, ale nie podchodzi. Dlaczego nie podchodzisz? Daga podchodzi, kłania się i z opuszczoną głową patrzy na swoje wysmukłe palce. Do Ebba* No, już wystarczy? *Do Dagi* Możesz odejść.

Daga wychodzi.

EBBO Niebywałe! Tak pewnie artysta przedstawia sobie niepokalaną panienkę.

SCHULLER Cudem ocalona z pożogi i epidemii. Wyciągnięto ją z zasypanej piwnicy. *W drzwiach ukazuje się Jedidja, trzymając płonący świecznik. Przytrzymując drzwi, toruje drogę Benignie Schuller oraz towarzyszącym jej gościom: opatowi księżęcemu, hrabinie Hüttenwächter i Arabelli.* Witam uniżenie w naszych niskich progach!

BENIGNA *do plebana* Witaj, czcigodny pastorze!

PLEBAN Gdyby nie pan hrabia, nie byłoby mnie tutaj. Wykopał mnie z zaspy.

BENIGNA Witaj, hrabio! No, ale przede wszystkim pan, drogi panie Perle! Jak się pan ma i jaką miał pan podróż?

PERL Kto jest o czasie, nie mógł mieć złej podróży.

BENIGNA A więc prosimy do stołu. Jedidja, nie stój tak przede mną. Stań za mną! *Do opata cicho* On ma jakiś hipnotyczny wzrok.

FRANÇOIS On mógłby zabijać wzrokiem nawet chiens et des chats.

Zajmują miejsca przy stole. Po lewej stronie Benigny siada Opat, a po jej prawej hrabia Ebbo. Na lewo od opata: hrabina Hüttenwächter, Pleban, Schuller, Perl i Arabella. Schuller podnosi się z miejsca, za nim wstają inni.

SCHULLER Pozwólcie, że odmówię cichą modlitwę.

Po chwili wszyscy siadają. Jedidja i François podają do stołu. Biesiadnicy zaczynają jeść.

EBBO Czy znacie drugi taki dom w tym księstwie, gdzie tylu obcych sobie ludzi siedziałoby przy jednym stole?

OPAT Rozumiem pana, jaśnie hrabio, i całkowicie się zgadzam. Spośród rozlicznych cnót i zalet naszej Egerii zawsze największy podziw budził duch pojednania, tolerancja.

EBBO Egeria, czyż nie była boginią?

PLEBAN Jeżeli dobrze pamiętam z lekcji łaciny, była ona nocną doradczynią króla Numy.

EBBO A zatem dzięki ci, nasza bogini Egerio, że w tych ponurych czasach zwyciężonych walk religijnych, które, co tu ukrywać, bynajmniej nie ustały – pomimo zawartego pokoju westfalskiego i uzyskanej przez nas swobody wyznaniowej – że dajesz nam w tym czasie parę godzin wytchnienia.

PERL Czy rzeczywiście tak jest? Mamy chwilę wytchnienia?

EBBO *do Perla* Najlepszym na to dowodem jest pana obecność tutaj: obecność przy tym stole.

PERL Moja obecność przy stole jest najwyżej dowodem tego, że w ogóle jestem. Nie dowodzi natomiast pokoju religijnego.

Wszyscy się śmieją. Wchodzi Hadank, kościsty, kaleki człowieczek w płaszczu, w wieku około czterdziestu lat.

EBBO *wpatrując się w dekolt Arabelli* Ach, te Mulatki, Mulatki!

HADANK *z pretensją* Panie Schuller, jak mam to rozumieć? Powiedziano mi, że obiad będzie o pierwszej. Pierwszej jeszcze nie ma, przyszedłem nieco wcześniej, a wy w najlepsze już jecie.

EBBO *wciąż zwrócony ku Arabelli* Jest o czym mówić! Drobne niedopatrzenie. To niezbyt grzeczne robić wszystkim wymówki. *Do Arabelli, cicho* Ach, te Mulatki, Mulatki!

BENIGNA Mistrzu, przywitaj się, proszę, i zapomnijmy o wszystkim.

HADANK Nie przyszła dziś pani na lekcję. Jak mam to sobie tłumaczyć?

BENIGNA Sam pan widzi, ilu mam dzisiaj gości.

EBBO *do opata, półgłosem* Może wasza wielmożność wie, jakim prawem on sobie pozwala na tak bezczelną mowę?

OPAT Zapewne prawem geniusza, jaśnie wielmożny hrabio.

BENIGNA Proszę, niech pan już siada, nieoceniony mistrzu!

HADANK Nie będę państwu przeszkadzał.

Wychodzi.

SCHULLER *uspokajająco* Spokojnie, nie ma obawy, poszedł tylko zdjąć płaszcz.

BENIGNA To władca królestwa dźwięków. Niestety, długo się nim nie nacieszymy.

PLEBAN Muzyk i organista, ma w sobie iskrę bożą!

BENIGNA Ofiara nietolerancji! Wygnaniec! Wypędzony! Gdy tylko się znajdzie w Holandii, będę mu stawiać pomniki.

EBBO *ironicznie* A więc gdy znów tu wejdzie, czy mamy bić mu pokłony?

BENIGNA Nie zaszkodziłoby. Niewielu jest tego godnych.

PLEBAN Jego ostatnie *Te Deum* jest wprost niesamowite!

Hadank wraca i zajmuje wyznaczone miejsce przy stole.

HADANK A wiecie państwo, że znów wróciła czarna śmierć?

PLEBAN Niech Niebo nas ma w swej opiece!

EBBO Czy mogę prosić o pieprz? Jest świetny na czarną śmierć.

HADANK Wszędzie widzi się zdechłe szczury.

PLEBAN To rzeczywiście zły zwiastun.

SCHULLER Niech Niebo nas ma w swej opiece!

JEDIDJA *mimowolnie, w przestrzeń* „Zapada nocy cień! Lecz w końcu czarny mrok zmieni się w jasny dzień”.

BENIGNA Co ty tam mówisz, Jedidja?

JEDIDJA Słowa kościelnej pieśni.

FRANÇOIS Ja też widziałem zdechłego szczura. Leżał na progu.

EBBO Mnie też się przypomniała kościelna pieśń: „Im głębiej w czarnym smutku tkwisz, tym cięższy musisz dźwigać krzyż”. *Wychyla wielki haust wina.* Dziś już powszechnie wiadomo, jak zginął Wallenstein.

PLEBAN Dla nas, dla protestantów, to najstraszniejszy cios.

HADANK Wszystko od a do z uknuł ten hofrat z Wiednia, ten tłusty urzędas Schlick.

PLEBAN Za panowania Friedlanda żaden Hiszpan czy Szwed nie postawiłby nogi w Rzeszy.

HADANK Katolik i Irlandczyk wbili mu sztylet w pierś.

SCHULLER W każdym stadzie znajdzie się czarna owca.

OPAT Kościół nie odpowiada za krwawe porachunki bezwzględnych potęg świeckich.

Z kościoła dochodzą dźwięki kurantów.

EBBO A cóż to takiego?

SCHULLER *do Benigny* Zawsze z taką błogością słuchałaś tych kurantów w kościele w Amsterdamie, że poleciłem i tu zainstalować takie – w wieży naszego kościoła.

PLEBAN *rozpoznawszy melodię, zaczyna śpiewać* „Z otchłani tej przyzywam Cię, wysłuchaj mego głosu! I zechciej spojrzeć, Boże, co / tu sprawił grzech i straszne zło, i zmiłuj się nade mną!”.

BENIGNA *wtórując, drżącym głosem* „Z otchłani tej przyzywam Cię...”. Wiem, że chciałeś jak najlepiej, ale wzruszenie, jakie mnie ogarnęło, jest ponad wszelką miarę.

ARABELLA Zupełnie jak kuranty w Niewe Kerk w Amsterdamie, naprzeciw naszego domu!

Wchodzi podniecona Róża Sacchi.

RÓŻA Słyszysz pani? Zupełnie jak kuranty w Niewe Kerk nad tamą!

Jedidja niosąc ciężką, srebrną tacę z naczyniami, zatrzymuje się w pół drogi do stołu, zaczyna dygotać i upuszcza wszystko. Naczynia tłuką się.

SCHULLER I coś narobił! Zwariowałeś?

JEDIDJA Nie zostanę tu chwili dłużej! Wilki, pożary, rabunki, czarna śmierć!

PERL Jedna niespodzianka pociąga czasem następne.

HADANK Takie kuranty zawsze uważałem za barbarzyńską muzykę.

EBBO To, że działają na wszystkich tak mocno i przejmująco, to się dla pana nie liczy?

ARABELLA *śmiejąc się histerycznie* Wybacz, ciociu, ale strasznie mnie śmiesz ponura mina wuja!

Śmiech Arabelli działa zaraźliwie. Całe towarzystwo wybuchu niepohamowanym śmiechem. Służący dalej podają do stołu, a biesiadnicy jedzą i piją.

SCHULLER Pozwoli wasza wielbność, że wzniosę toast za wasze zdrowie. *Wszyscy wstają.*

OPAT Stokrotne, stokrotne dzięki. *Wszyscy siadają.* Weneckie szkło?

SCHULLER Tak jest, z Wenecji.

OPAT Zna pan Wenecję?

SCHULLER Niestety nie. Lecz tutaj, wasza wielbność *wskazuje na Perla* siedzi, że tak go nazwę: prawdziwy kupiec wenecki.

EBBO O ile się nie mylę, jest sztuka *Kupiec wenecki*.

BENIGNA Ale pan, drogi Perl, niewiele ma z tamtym wspólnego.

PERL Obawiam się, droga pani, że innych kupców nie ma.

OPAT To znaczy takich, którzy nie ściągają tak długów?

PERL Tak, którzy nie ściągają w ten sposób swoich długów.

OPAT No-no, nie przesadzajmy. I kupcy okazują chrześcijańskie miłosierdzie.

PERL Mógłby wasza wielbność wskazać kogoś takiego?

OPAT Chociażby kupcy chrześcijańscy.

EBBO A kościoły, klasztory – czyż nie ściągają długów?

OPAT Nasz gospodarz, na przykład, i dobrodziej nas wszystkich, czyż wy-
ciąłby bliźniemu kawałek mięsa z piersi?

SCHULLER Ależ, wasza wielbność!

HADANK Cóż, mięso ludzkie ze wszystkich jest gatunkiem najtańszym.

PLEBAN Na Boga! Pan chyba mówi o handlu niewolnikami.

EBBO *wciąż patrząc w dekolt Arabelli* Ach, te Mulatki, Mulatki!

ARABELLA Ja jestem niewolnicą. Niech mnie pan kupi, hrabio.

EBBO O, żadna cena za ciebie nie byłaby za wysoka!
Za sceną rozlega się ostry krzyk kobiety. Po chwili wpada Daga.

BENIGNA Co to? – Co ci się stało?

DAGA Ktoś w czarnej masce... tam...

BENIGNA Kto?... Co takiego?... Mów-że!
Wbiega Róża Sacchi.

RÓŻA Ona mówi, że ktoś... w czarnej masce na twarzy... przeskoczył
przez mur ogrodu.

DAGA Ktoś w czarnej masce na twarzy...

BENIGNA Ktoś w czarnej masce?

DAGA Jak smoła...

BENIGNA ...przeskoczył przez mur ogrodu?

HADANK Najpierw kupiec wenecki, a teraz karnawał wenecki.

RÓŻA O Boże, ona mówi, że ktoś w czarnej masce na twarzy przeskoczył
przez mur ogrodu.

EBBO To jakiś zapustny żart. Zapustna czarna maska.

DAGA Czarna, zupełnie czarna... i straszne grube wargi.

HADANK Więc jeszcze i Maur wenecki!

PERL I taka sztuka jest. Jest sztuka *Maur wenecki*.

HADANK Chciałem ją wziąć na warsztat: napisać do niej muzykę.

PERL Poślubił córkę doży, po czym zadusił ją w łóżku.

SCHULLER *głaszcząc Dagę po głowie* Uspokój się, maleńka! Uspokój się, kochanie!

Przyzywa gestem François, po czym wychodzi z nim, aby wyjaśnić sprawę.

EBBO Wenecki Maur zabił żonę? A dlaczego to zrobił?

HADANK Jak to dlaczego? Z zazdrości! *Półprzytomną Dagę wyprowadzają kobiety. Na scenie oprócz Jedidji zostają hrabia Ebbo, Perl, Pleban, Hadank i Opat. W końcu to nic dziwnego, że w takim domu co chwila jawią się ludziom upiory.*

OPAT Że niby w jakim domu? Co chce pan przez to powiedzieć?

PLEBAN Mnie tam to nie przeszkadza. Ja w upiory nie wierzę.

EBBO A ja z nich po prostu kpię!

HADANK Wasza wielebność nie był... nie był tu nigdy w podziemiach?

PLEBAN Ma pan na myśli szkielety oparte tam o ścianę?

OPAT Owszem, słyszałem o tym, ale nie byłem tam.

JEDIDJA Gdyśmy tu zamieszkali, pan kazał je usunąć.

PLEBAN Ten dom, zanim pan burmistrz wprowadził się do niego, sam wyglądał jak szkielet.

HADANK I czemu taka kobieta zgodziła się tu zamieszkać?! Kompletnie nie pojmuję.

OPAT Przepelnia ją wielka potrzeba czynienia dobra, ot co!

HADANK Ma kryształowy głos.

PERL Mówi we wszystkich językach.

HADANK Muzyka – śpiew i taniec – nie sprawia jej żadnych trudności.

EBBO I nogi ma, jak mówią, wprost oszałamiające. *Do opata* Czy prawdą jest, wasza wielebność, że zamierza dokonać darowizny na rzecz klasztoru?

OPAT Możliwe. Nic o tym nie wiem.

EBBO A skąd właściwie pochodzi – i kim jest Arabella, tak słodko pachnąca piżmem?

PERL Zaadoptował ją stary Mijnhen van Geldern.

EBBO Świetna partia, jak mówią.

HADANK Ale już nie tak świetna, jaką była Benigna...

PERL Wychodząc za Schullera, wносиła mu w posagu prawie nienaruszoną fortunę van Gelderna.

PLEBAN Miał siedemdziesiąt lat, gdy pojął ją za żonę, a ona – osiemnaście.

EBBO Nie ma się więc co dziwić, zwłaszcza gdy się ją zna, że starowina tak szybko wykończył się i kipnął.

PERL Był bardzo schorowany.

EBBO Chociaż mówi się również...

PERL Wiem, co się mówi, ale... dowodów na to nie ma.

EBBO ...że stary Mijnhen van Geldern nie umarł zwykłą śmiercią.

PERL A więc ta plotka dotarła nawet i do tej dziury!

PLEBAN Owszem, dotarła tu.

OPAT Ściszcie głosy, panowie. Zapominacie chyba, w którym domu jesteście.

EBBO Nie ma takiej potrzeby. Benigna zna mój charakter i jest przyzwyczajona do moich ekstrawagancji.

Benigna wraca. Jest uspokojona, a nawet nieco rozbawiona. Za nią Schuller, tak samo odmieniony, jakby się umówili. Szybko zacierają do stołu i zajmują swoje miejsca.

BENIGNA Czarna maska została zdemaskowana. Siedzi w kuchni i w najlepsze zajada.

EBBO Więc jednak karnawał wenecki!

SCHULLER *do François* Podajcie nautilusa! Napełnijcie kielichy! Głupia, przesądna służba!

EBBO *wyrażnie podchmielony* Pocieszył już pan swoją... maleńką podopieczną?

HADANK Ładne dziewczynki pięknieją, kiedy są wystraszone.

PERL Więc co ją tak wystraszyło, jeśli wolno zapytać?

SCHULLER Istotnie, ktoś w czarnej masce, kto wszedł do ogrodu przez mur.

FRANÇOIS Ślady na śniegu wskazują, że ma ogromne stopy.

EBBO A zatem intruz ten nie siedzi jednak w kuchni.

SCHULLER W kuchni siedzi zziębnięta i wyglodniała maska, której daliśmy jeść.

FRANÇOIS Ten w kuchni to żadna maska, tylko zwykły kominiarz.

PLEBAN A więc to był kominiarz?

FRANÇOIS Gdyby to był kominiarz, to ślady byłyby z sadzy, a wcale takie nie są.

EBBO Na szczęście z tym sztyletem o trzech morderczych ostrzach nigdy się nie rozstaję.

Wyciąga sztylet z pochwy.

PERL Czy mógłbym go zobaczyć?

EBBO Jeśli mi go pan wydrze. Inaczej nie ma mowy.

OPAT Okropny z pana człowiek! Ale ściemniło się już! Chyba więc trzeba wracać.

SCHULLER Ależ, wasza wielbność! Jeszcze wczesna godzina! Nie-nie, wasza wielbność nie umknie mi tak łatwo! A zresztą musimy jeszcze omówić wiadomą sprawę. Nie może po raz kolejny pozostać w zawieszeniu.

OPAT Wszystko jest w zawieszeniu. Żyjemy w zawieszeniu. Lecz oczywiście jestem do pana dyspozycji, jeśli pan sobie życzy.

Przez salę przelatuje puszczyk. Konsternacja.

HADANK Co to takiego było? Jakby anioł przeleciał.

EBBO Anioły nie rzucają tak ponurego cienia.

HADANK A tam na dworze, co to? Co tak gwizdże i kwili?

SCHULLER Jedidja, co ty wyrabiasz? Co ty robisz z ustami?

JEDIDJA To jest ptak śmierci.

PLEBAN Tak lud nazywa tu puszczyki.

LAURA Przebrzdęte ptaki! Nie znoszę ich! To właśnie ten ich krzyk tak mnie kiedyś przeraził, że poroniłam dziecko.

Wchodzi Róża.

RÓŻA *wskazując na Jedidję i François* Niech służący coś zrobią: zgraja masek jest w sieni!

BENIGNA Drzwi nie były zamknięte?

RÓŻA Widocznie ktoś w roztargnieniu zostawił je otwarte.

SCHULLER Zostawić otwarte drzwi!

Rusza w stronę drzwi. Nagle wpada do sali tanecznym krokiem nienaturalnej wysokości postać, która zaczyna tańczyć wokół stołu. Tancerz od stóp do głów spowity jest w czarny płaszcz, a w miejscu głowy ma trupią czaszkę, na którą nasadzony jest czarny kapelusz z odgiętym szerokim rondem. Benigna traci panowanie. Schuller zawraca.

SCHULLER Benigno!

OPAT Pani burmistrzowo, co się z panią dzieje?

BENIGNA Nie, nic... nie, nic...

EBBO *do Benigny* Co pani jest?

BENIGNA Nie, nic...

Trzymając lewą ręką za przegub Opata, a prawą – za ramię Hrabiego, osuwa się zemdlona.

ARABELLA *podsuwając jej flakonik pod nos* Ciociu! Sole trzeźwiące!

BENIGNA *dochodząc do siebie* Już-już, to tylko chwila... taka przelotna słabość. Niech zaraz tu przyjdzie Róża.

RÓŻA Jestem, jestem, madame. Jestem tu cały czas.

BENIGNA Chwilę, chwilę spokoju! Zaraz mi przejdzie, na pewno. Tylko, wieloebny ojcz, proszę cię, błagam, nie odchodź! I pan, kochany hrabio, niech pan też nie odchodzi. Drodzy panowie i panie! Nie odjeżdżajcie jeszcze! Nie chcę, aby ten dom znów stał się pusty i głuchy.

Wychodzi odprowadzana przez Różę i Arbellę.

SCHULLER Pozwólcie państwo, że się oddalę na chwilę i położę wreszcie kres tym wszystkim niesmacznym żartom.

PLEBAN Pomogę panu, burmistrz.

Schuller, Pleban i François wychodzą.

EBBO *do Laury* A ty powinnaś chyba pomóc żonie burmistrza.

Laura wychodzi.

JEDIDJA *obserwując lot puszczyka* Kołuje, kołuje, kołuje.

EBBO To wprost niesamowite!

OPAT I jeszcze do tego ten upiór!

PERL Pozwólcie, że będę, panowie, czynił honory domu. Zapalmy na galerii i chodźmy obejrzeć obrazy.

EBBO Doskonale! Tak, chodźmy! *Spostrzegłszy na kredensie napełniony nautilus* Niezwykłej urody ten puchar!

PERL Wspaniały! To nautilus. Ze złota najwyższej próby. Wykuty przez samego Wentzela Jamnitzera.

EBBO Napełniony po brzegi.

PERL Kto chciałby go wychylić?

Ebbo chwyta puchar obiema rękami i wypija jego zawartość.

HADANK Gdzieś tutaj stał kiedyś klawikord.

OPAT Tak, też go widziałem. – O, teraz stoi tam obok.

HADANK Niech muzyka rozwieje tę przykrą atmosferę.

Wychodzi, po czym rozlegają się dźwięki klawikordu. Jedidja odbiera z rąk Hrabiego puchar i zaczyna go czyścić jedwabną chustą.

JEDIDJA *wybuchając nagle, jakby był sam* „O, głowo krwią zboczona...”
Zamiera na chwilę, po czym wraca do siebie i przerażony cofa się, kłaniając się przesadnie, a zarazem przesywając opata straszliwym spojrzeniem. Do opata szeptem Antychryst!

OPAT Czy on jest przy zdrowych zmysłach? O co właściwie mu chodzi?

EBBO *do opata* Jak sprawy z panem burmistrzem? Czy jest porozumienie?

OPAT Nie da się odpowiedzieć prostym „tak” albo „nie”.

EBBO A czy wiadomo ojcu, że tytuł własności dóbr, o które chodzi, jest sporny?

OPAT Pan burmistrz nic o tym nie mówił.

EBBO Dowodzą tego niezbitce papiery, które posiadam. Tych trzydzieści ogromnych włók zagarnięto niegdyś mym przodkom.

OPAT Gdyby więc miał być proces, to klasztor, wielmożny hrabio, was miałby za przeciwnika?

EBBO I to takiego, który nie cofa się przed niczym!

OPAT Przypuszczam, że taki proces kosztowałby majątek.

EBBO Zostałem oczerniony przed panią burmistrzową. Lecz dzień ten się jeszcze nie skończył.

OPAT Został pan oczerniony? Przez kogo, jeśli wolno? Co pan chce przez to powiedzieć?

EBBO Odpowiedź na to pytanie nie zniosłaby światła dnia. Obaj to dobrze wiemy. Potrafię się jednak odplacić.

OPAT Nie wiem, o czym pan mówi. Mówi pan zagadkami. Co to za dziwne hałasy?

EBBO Czy chodzi ojcu o to, co wyprawia ten muzyk, ten zwariowany kantor?

OPAT Nie, to brzmi jak stukanie: jakby kto wbijał gwoździe.

EBBO W tym domu jest coś, co pręży się do skoku. Jeszcze jest na uwięzi, ale się pręży do skoku.

*Niepostrzeżenie wchodzi piękny Murzyn o harmonijnej budowie ciała i szlachetnym sklepieniu czaszki. Lat około czterdziestu; na skroniach siwizna. Przecho-
dzi wolno przez salę, nie spuszczać wzroku z obecnych tam mężczyzn. Przy stole
przystaje na chwilę i odciska na obrusie swą rozcapierzoną dłoń. Przechodzi dalej
i jak bezszelestnie wszedł, tak też opuszcza pomieszczenie.*

OPAT przerażony Widział pan?

Z palącym się świecznikiem w ręce wchodzi Jedidja. Rozgląda się lękliwie.

JEDIDJA Mam zaprowadzić panów na galerię.

EBBO *do Jedidji* W tym domu są przebierańcy. – Albo coś tutaj knujesz, albo jakiegoś świństwa dołałeś mi do wina!

JEDIDJA Proszę, wasza wielbność! Proszę, wielmożny hrabio!

*Oświetlając im drogę, puszcza ich przodem i sam wychodzi. Wchodzi Beni-
gna, trzymając w ręce list przywieziony przez Perla. Jest wzburzona.*

BENIGNA *gwałtownie* Przeczytałam ten list. Niech Johnson da mi spokój. Oto moja odpowiedź. Przecież pan wie – pan jeden – ile dla niego zrobiłam i do jakich poświęceń byłam dla niego zdolna. Czegóż nie wycierpiałam! Ileż wylałam łez, nim przyszła na świat Arabella! A teraz jeszcze muszę strzec ją przed tym potworem. Byłam mu wierna jak nikt! Nie mogę jednak dopuścić, aby przez całe życie wykorzystywał mnie, żądając ciągle złota. Uważał mnie – i słusznie – za swoją niewolnicę. Ale ja wtedy miałam zaledwie piętnaście lat! A osiemnaście w chwili, gdy ujrzał mnie w tańcu van Geldern. I wtedy ten czarny pies, niezwykle chytry i chciwy, po prostu siłą mnie pchnął w ramiona van Gelderna. Krocie roztrwonił na grę, a drugie tyle przepił i przeputał z dziwkami. Lecz przyszło opamiętanie. Van Geldern był człowiekiem szlachetnym i roztropnym. Choć wiedział, czym dzieckiem jest moja śniada córka, zaadaptował ją i zrobił wszystko, co można, aby zapewnić jej najlepsze wychowanie. To właśnie wtedy pojęłam, jaki może być człowiek. I na tym potknął się Johnson. Bo jeśli nawet z początku uległam kilka razy jego zwierzęcej żądzy, to jednak w końcu stanowczo przeciwstawiłam mu się, a nawet namówiłam samego van Gelderna, by nic już dla niego nie robił i skończył raz na zawsze z tą podszytą szantażem bezczelną żebranią. Wie pan, co z tego wynikło i czym się to skończyło. Straciłam przez to męża. *Reagując na grę Hadanka* Błagam, niech pan uciszy natchnionego Hadanka i pośle go na galerię. Nie da się przy tym mówić! *Perl wychodzi. Muzyka milknie. Perl wraca.* A ten okropny łomot... jakby kto młotkiem stukał. Co to takiego jest? Przecież nie ma tu teraz żadnego robotnika. *Dzwoni dzwonkiem na służbę. Wchodzi Jedidja.* Kto wbija ciągle gwoździe? To ma się zaraz skończyć! *Jedidja wychodzi.* Więc na czymśmy to stanęły?

PERL Na tym, gdy się to stało: gdy zaszła ta straszna rzecz. Lecz kto się tego dopuścił? Kto zabił van Gelderna?

BENIGNA *w porywie* Jak to kto! ON! Nikt inny. Chociaż temu zaprzecza. On, ojciec mego dziecka!

PERL Tak pani twierdzi...

BENIGNA Ja wiem! Zakładał – i jak najślusniej – że spadek po van Geldernie w całości przypadnie mnie, a wtedy będzie już mógł czerpać z niego garściami. Na szczęście musiał wiać. Deptali mu już po piętach. Lecz wie pan, co to za typ: on nawet wtedy próbował uzależnić mnie jakoś i czerpać z mego majątku. Przegnałam go jak psa i odtąd nigdy już nie ważył się stanąć przede mną. Uczepił się wtedy pana, bo wiedział, gdzie pana szukać. I pan mi przekazywał te jego żądania-groźby. I radził mi pan płacić, aby go obłaskawić. Pan

wie, co to były za sumy. Mógł za nie żyć jak pan – ze służbą i kucharzem – do końca swego życia. Nie zdawał sobie sprawy z ogromu tego majątku i myślał, że bez reszty obędzie mnie ze skóry. Tymczasem spotkałam Schullera, który pokochał mnie prawdziwie świętą miłością, i wysłał za niego za męża. Ale nie żyję z nim. Widzi pan w tym coś złego? Podsunęłam mu Dagę. On milczy, ale cierpi, widać to gołym okiem. Podziwiam go za to i wielbię! Ależ tak, kocham go! Wiąże nas miłość duchowa. Zrodziło się we mnie pragnienie całkiem innego życia. Chciałam usunąć się w cień i żyć w odosobnieniu. Przestał na to bez słowa. On by mi nieba przychylił! I tak zjechaliśmy tutaj. I proszę, nawet tutaj Johnson wdziera się z listem. Dalej nienasycony, żąda widzenia z córką. Jak mogę przed nim kryć jego rodzoną córkę? Lecz on chce zniszczyć Schullera, który o niczym nie wie: nie wie, że Arabella jest moim... moim dzieckiem! Jeśli się o tym dowie, jeśli dotrze do niego, że ja żyłam z Murzynem, to chyba się zabije. Ja dłużej tego nie zniosę! Ja tego nie wytrzymam!

GŁOS ZA SCENĄ Mors stupebit et natura
cum resurget creatura.
Judi canti responsura.
Dies irae, dies illa.

Wzburzona Benigna podchodzi do stołu i spostrzega na obrusie odcisk dłoni pozostawiony przez Murzyna.

BENIGNA Co to jest?

PERL Ktoś odcisnął swą dłoń, którą umazał w sadzy.

Wchodzi Jedidja.

JEDIDJA Jaśnie wielmożna pani, nikt gwoździ tutaj nie wbijał. Stukanie pochodziło od kuli kominiarza, który czyścił przewody – właśnie tu, nad kominkiem. A to szuranie czy szelest pochodziło od miotły: po prostu ktoś zamiatał.

BENIGNA Przeraza mnie ta dłoń! Przeraza mnie ten stukot! Przeraza mnie każde głupstwo! Wydaje mi się, że wszyscy krzywią do mnie swe twarze. Ten hrabia! Ten opat i pleban! Co za potworne maski! Wietrzę tu jakąś zмовę. Duszno mi jak w mogile. Co tu się dzieje? Co będzie?

PERL Czy wezwać lekarza?

BENIGNA Kto tutaj idzie?

JEDIDJA Pan burmistrz.

BENIGNA *do Perla* O tym tu – ani słowa! Niech mnie pan przed nim nie wyda!

Wybiega.

SCHULLER Jak bawią się tam na górze?

JEDIDJA Skończyli oglądać obrazy. Właśnie zasiedli do kart.

SCHULLER Mają wino i piją?

JEDIDJA O, aż nadto, bez miary!

SCHULLER Ja także bym się napił. Nalej mi. Duży kielich. *Do Perla* Kazałem przeszukać dom. Od strychu do piwnicy. Ten idiotyczny żart zrobił nam ktoś ze służby. Teraz już wszystkie drzwi są zamknięte na klucz. Lecz płakać mi się chce...

PERL Nie można tak, burmistrzu! Chodźmy do nich na górę. Pijmy i cieszyć się życiem...

SCHULLER „Bo jutro przyjdzie śmierć” – nie tak to idzie dalej? Mój drogi Perlu, jak wiesz, długo nie miałem żony, ale dopiero teraz, kiedy wreszcie ją mam, czuję się opuszczony i samotny jak nigdy. Właściwie jakbym był wdowcem. A spełniam jej wszystkie życzenia! Spisuję testamenty nieomal pod dyktando. Rozdaję całe hrabstwa – ot tak, jednym podpisem. A wszystko to tylko po to, aby wyżebrać u niej chociażby płomyk nadziei. *Wchodzi Daga*. Daga? Czy szukasz czegoś? Podejdź tu, moje dziecko. *Daga podchodzi*. *Schuller głaszcze ją po głowie i policzkach*. Ładna, nieprawdaż? Prawie jak rzeźba grecka. I jak rzeźba milcząca. A do tego posłuszna. Ma oddanie we krwi. Kocha i daje się kochać. Spędzona z nią noc oczyszcza i czyni mnie nieco lepszym. A jednak mimo to...

Jedidja przynosi wielki puchar wina. Schuller wypija je duszkiem. Z góry słychać muzykę, odgłosy tańca, klaskanie i śmiechy.

SCHULLER *wypiwszy wino, z desperacką rozkoszą* No, dużo, dużo lepiej!

JEDIDJA Panna Arabella tańczy.

SCHULLER Przywiózł pan coś... dla tego miłego dziecka?

PERL Rzecz jasna! Proszę bardzo.

Pokazuje sztuki biżuterii.

SCHULLER Wspaniałe! Fantastyczne! A więc chodźmy na górę!

Schuller i Perl wychodzą, oglądając precjoza.

JEDIDJA *odprowadzając ich wzrokiem i zaciskając pięści* Rozpusta! Orgie pogańskie! Na górze i na dole! *Odwraca się i spostrzega Dagę*. *Patrząc na nią ponuro, podchodzi do niej blisko*. I ty też, Abisag!

DAGA *do siebie* A gdy jeźdźcy wtargnęli...

JEDIDJA Tak-tak, widzę, widzę: bułany koń, a na nim ta, co na imię ma Śmierć. A za nią piekło, piekło!

DAGA Ojca sznurem do drzewa...

JEDIDJA Nie miałem kobiety od lat, od prawie dwudziestu lat. A Jezus tak powiedział: „Jeśli chcesz być bogaty, to u mnie nakup złota, oczyszczonego w ogniu”. I tak też uczyniłem. A teraz, Abisag, ciebie chcę nim obrzucić!

DAGA W oczy wbijali mu palce, a w ciało wbili nóż...

JEDIDJA Co powiedział nasz Pan? „Bądź dzielny i wspieraj tych, którzy idą na śmierć”. I tak też uczyniłem. Biada ci, Abisag! Tyś nałożnicą króla! Niech wieje wiatr, niech sypie śnieg i niechaj noc zapada!

Otwiera wysokie okno łukowe. Do środka wpadają tumany śniegu. Jednocześnie dochodzi jakaś wrzawa i wołanie na rynku.

GŁOSY Pali się, pali! Na pomoc!

JEDIDJA Co tam? Co tam się dzieje?

GŁOSY Ratunku! Napad! Mordują! Ratunku, Würgsdorf się pali!

JEDIDJA *zamykając okno* Przeklęty kraj! Piekielny kraj! *Wciska* *Dadze talerze i sztuce.* Masz! Trzymaj! Wynieś to! „Burza, ogień, czart i śmierć, cóż mi zrobić mogą?” *Obładowując wciąż Dagę* Zabieraj te naczynia, te czary nieczystości, które kuszą do grzechu. Precz z nimi, precz z tą ohydą! *Wypycha Dagę, a zostawszy sam, śpiewa* „Bóg osłoni łaską mnie przed ich złością srogą!”. *Przerywa, nasłuchuje, po czym znów śpiewa* „Bóg, co syna swego dał, by nas grzesznych zbawił”.

Milknie, odwraca się i z przerażeniem rozgląda się wokół. Wreszcie kuli się, tak że wchodzący właśnie Pleban i Hrabia nie spostrzegają go. Pleban jest spokojny i zachowuje się godnie, natomiast Hrabia jest wyraźnie pijany.

PLEBAN Niesamowite! Nie do wiary!

EBBO A co czcigodny ksiądz myśli! Ten opat to łajdak skończony! Szubrawiec spod ciemnej gwiazdy. Najpospolitszy oszust z podejrzanego rodziny pokątnych augsburskich kramarzy! Wasza wielbność wie, że on, ten klecha... tutaj... *Szepta coś Plebanowi do ucha.* A tak mi przysięgała! Wśród pocałunków, pastarze... wśród najgorętszych uścisków... i to nie z mojej winy... że zrobi, co w jej mocy, abym odzyskał te ziemie zagarnięte mym przodkom! I co, wielbny ojcze? Teraz połknie to klasztor!

PLEBAN „Królestwo moje nie jest z tego świata”.

Wychodzą przez przeciwległe drzwi.

JEDIDJA Pater noster qui es in coelis... *Chwiejnym krokiem podchodzi do stołu i chwyta nautilus.* Pater noster qui es in coelis...

Wchodzi Murzyn, ten sam co poprzednio. Niezauważony przez Jedidję staje tuż za nim, po czym kantem ręki uderza go mocno w kark. Jedidja osuwając się, obraca się ku niemu.

MURZYN Poznajesz mnie? Poznajesz... Nie ty mi otworzyłeś sypialnię van Gelderna?

Wychodzi chyłkiem. Jedidja z nautilusem w ręce osuwa się na ziemię. Leży za stołem, tak że go prawie nie widać. Tymczasem przez te same drzwi, przez które przed chwilą wyszli, znów wchodzi Hrabia i Pleban. Idą w kierunku przeciwnych drzwi. Hrabia coraz bardziej wzburzony.

EBBO Trzeba otworzyć mu oczy! Ja muszę burmistrzowi otworzyć wreszcie oczy! Jeśli się nic tu nie zmieni, zrobię to osobiście. Powiem mu, jak nikczemnie jest tu oszukiwany. Gdy chodzi o taką sprawę, dyskrecja się dla mnie nie liczy. O, ten przebiegły lis oberwie z obu łuf! O, nie ucieknie mi ten chytry opat przez okno z upolowaną gęsią! Niech pan uważa, pastorze!

PLEBAN Niesamowite! Nie do wiary!

Wychodzą przez drzwi, przez które weszli za pierwszym razem. Do sali wpada Hadank, ciągnąc za sobą Różę Sacchi.

RÓŻA Nie, mistrzu, proszę, nie!

HADANK Daj mi swe piękne, słodkie usta! Graciosa coeli, Rosa!

RÓŻA Ani są piękne, ani słodkie. A serce mi mdleje z trwogi.

HADANK Chcę być z tobą szczęśliwy!

RÓŻA Cicho! Tutaj chyba ktoś jest.

HADANK Nie ma nikogo, Rózo.

RÓŻA Jestem pewna, że jest.

HADANK Masz lepszy słuch ode mnie?

RÓŻA Choć niczego nie widzę i niczego nie słyszę, a jednak czuję to.

HADANK Podjąłem dziś decyzję: chcę być z tobą szczęśliwy. Mam w sobie iskrę bożą. Nie będę się dłużej dusił pod tym trupim całunem.

RÓŻA Pod trupim całunem! To straszne!

HADANK Chcę być z tobą szczęśliwy! Zabieram cię z sobą, Rózo! Graciosa coeli, Rosa!

RÓŻA Klnę się na Boga i świętych: w tym pomieszczeniu ktoś jest!

HADANK Nie obawiaj się, Rózo! Nie ma się czego bać! Ja dobrze wiem, kim jestem, i wiem, kim jesteś ty! Nie opieraj się dłużej. Czemu się grzebać za życia? Umartwiać się? Zamurować? Jak zakonnica w klasztorze?

RÓŻA Nie mogę zostawić Benigny! Lecz chodźmy już stąd, na Boga! Tutaj ktoś jest, ktoś jest! Zimno mi, cała drzę. *Wołając do przyległego pokoju* Jedidja, chodź tu i sprawdź, czy w tym pokoju ktoś jest!

HADANK Jedidja jest na górze. Usługuje tam gościom. Więc czemuż to nie możesz opuścić tej kobiety?

RÓŻA Nie mogę i nie opuszczę. Nigdy, przenigdy i nigdzie!

HADANK To jeszcze się okaże. Przymuszę cię do tego.

RÓŻA Chodźmy już stąd! Nie zwlekaj!

Wychodzi, ciągnąc za sobą Hadanka. Znów rozlega się dźwięk kurantów.

Wchodzą Benigna i Schuller.

BENIGNA *reagując na dźwięk kurantów* Nie zniosę tego dłużej!

SCHULLER Benigno, co cię tak drażni?

BENIGNA Gdy słyszę te kuranty, to widzę van Gelderna leżącego na marach.

SCHULLER Jedidja!... No, gdzieżeś jest? Leć do kościoła i powiedz, aby to zatrzymano. *Do Benigny* Zaraz przybędą tutaj adwokat i notariusz. Twej woli stanie się zadość. Twój dar na rzecz klasztoru nabierze dziś mocy prawnej.

BENIGNA Ciężkie są moje grzechy! Do czegoż ja cię namawiam!

SCHULLER Jak anioł może grzeszyć?

BENIGNA Chcę stąd wyjechać, natychmiast! Wyjechać! Jak najszybciej!

SCHULLER Oczywiście, Benigno! Dokąd? Proszę, rozkazuj.

BENIGNA Przyjdź do mnie dzisiaj w nocy. Chcę w pełni do ciebie należeć. Chciałabym cię przebłagać!

SCHULLER Przebłagać? Mnie? Benigno! Przynosisz mi samo szczęście!

BENIGNA Chcę cię przebłagać, Sylwanie. Przebłagać chcę cały świat! Pragnę się wypowiedzieć i prosić o wybaczenie. Nieszczęsny, biedny van Geldern! O, powinieneś mnie przegnać! Jak przegania się zmiję. Wtedy byłbyś szczęśliwy. Chodź, obejmij mnie mocno! Chodź, obejmij i całuj! Albo nie, uciekajmy! Światła, Sylwanie, światła! Ja potrzebuję światła!

SCHULLER Jedźmy więc do Wenecji! Przez Pragę, Wiedeń i Graz.

Obejmuje ją. Wchodzi François.

FRANÇOIS Oh, excusez moi! Pragnę zaanonsować, że przyszedł już pan Schedel i pan... nie, nie potrafię wymówić tego nazwiska.

Benigna wrywa się z objęć Schullera i szybko wychodzi.

SCHULLER Zaprowadź ich niezwłocznie do mego gabinetu i pójdz po jego wielbność.

Wychodzi innym wyjściem niż Benigna. François zgina się przed nim w ukłonie. Kiedy zostaje sam, prostuje się i zaczyna się rozglądać.

FRANÇOIS *najpierw głośno, po czym coraz ciszej* Jedidja, gdzieś ty się zaszły? Zaraz przyjadą tu goście? Mam sam usługiwać tym drabom?

Rozglądając się, wychodzi. Wchodzą Benigna i Róża.

BENIGNA Mów, co widziałaś! Nie ukrywaj!

RÓŻA Raczej wyczułam, niż widziałam.

BENIGNA No, powiedz wreszcie, co takiego?

RÓŻA Coś okropnego... potwornego...

BENIGNA Coś potwornego?

RÓŻA Tutaj za każdą ścianą, za każdą szafą czy drzwiami czai się zbrodnia i grabież.

BENIGNA Co ty mi opowiadasz? Mów prawdę! To nie to! Tobie chodzi o niego! Wiedziałam, przeczuwałam!

RÓŻA Benigno, co wiedziałas? Na Boga, co ty mówisz?

BENIGNA Wiedziałam to od razu, gdy tylko dostałam ten list.

RÓŻA Co wiedziałas? I skąd?

BENIGNA Powiedział mi to mój puls. Łomot mojego serca. Ten wicher, co w okna bije. Te wszystkie cienie na ścianie. Stąd właśnie o tym wiem. Że on już tutaj jest. Że nie ma już przed nim ucieczki.

RÓŻA Perl nie potwierdza tego. Mówi, że jesteś chora i powinnaś najrychlej wyjechać z tej trupiarni.

BENIGNA To nieprawda, to kłamstwo. On dobrze wie, jak jest! Albo ty, Rózo, kłamiesz. Błagam, nie kłam mi teraz!

RÓŻA Powtórzę ci dokładnie, co mi powiedział Perl: „Zaprzęgać konie pocztowe i jechać. Jechać natychmiast!”. To znaczy: burmistrz i ty.

BENIGNA A zatem to jest prawda! Nie ma już wątpliwości. A zatem Johnson tu jest!

RÓŻA Powiedziałam ci tylko, co powiedział mi Perl.

BENIGNA On tutaj jest, to pewne. Więc może się zdarzyć nieszczęście. O, ja go dobrze znam! Wiem, do czego jest zdolny. Co to jest jego gniew, nienawiść, zawiść, rozpacz. Schuller nie jest już tutaj ani chwili bezpieczny. Jest teraz w gabinecie, pertraktuje z opatem. Idź tam i powiedz mu wszystko. Mnie możesz zostawić samą. Tylko błagam cię, zrób coś, aby natychmiast wyjechał.

RÓŻA Nie, nie zostaniesz tu sama! Jedidja! – Niech wzywa poczmistrza! Jedidja! François! Futro dla jaśnie pani!

BENIGNA *nagle zmieniona* Nie, Rózo, ja nigdzie nie jadę! Jeśli on jest w tym domu, nikt mnie do tego nie skłoni. Nikt, nawet anioł czy diabeł. Muszę go chociaż zobaczyć. Choć raz, ostatni raz. Jeśli on jest w tym domu, muszę go chociaż ujrzeć. Jestem jak zwierzę, wiem o tym. Tak zresztą o mnie mówił. Bita, poniewierana, nie przestaję się łaścić. Johnson to zbiegły niewolnik. A ja od kogoś wiem – od kogoś, kto jak on pojony był octem i żółcią – że cały swój majątek van Geldern zbił na wyzysku i handlu niewolnikami.

RÓŻA Benigno, dość, nie mów tego!

BENIGNA A dlaczegoż by nie? Właśnie że będę to robić! Rzucę mu świat do stóp! Prowadź mnie zaraz do niego! Lub jego przyprowadź tu! Wyrzuć te kreatury! Te wszystkie mizdrzące się trupy! I zostaw mnie sam na sam – w najbliższej karczmie lub stajni – z tym łotrem, z tym nikczemnikiem!

RÓŻA Ciebie trzeba skępować! Tyś chyba oszalała!

Próbuje skępować szalejącą Benignę. Podczas szamotaniny Benigna spostrzega nagle trupa Jedidji i zamiera z przerażenia.

RÓŻA zaskoczona tą zmianą Benigno, co ci jest?

BENIGNA jakby budziła się z chwilowego zamroczenia Nie-nie, to wszystko nieprawda! To majaki, to sen! Zbudź mnie, Rózo, potrząśnij, i powiedz mi... co to jest?

Róza podąży za wzrokiem Benigny i spostrzega trupa Jedidji.

RÓŻA Jedidja! A więc to ty... zapłaciłeś za wszystko.

Obie wybiegają. Przez chwilę scena jest pusta. Z góry słychać muzykę. Spod domu wzywają Jedidję.

GŁOSY Jedidja! Jedidja! Jedidja!

Wchodzi Schuller i otwiera okno.

SCHULLER Kto krzyczy? O co chodzi?

GŁOSY Gdzie jest Jedidja Potter? Nie możemy go znaleźć!

SCHULLER Pewnie siedzi w najbliższym szynku. *Zamyka okno.* Jakbym słyszał krzyki kobiety.

Wchodzi Hrabia.

EBBO *głośno śpiewa* „Raz pewien mnich z jabłoni padł. Widziałem sam, jak pacnął...”. Pogłoski się szerzą jak trujący czad...

Wchodzą radni miejscy: Schedel i Knoblochzer oraz Hadank i Pleban.

HADANK Znowu pojawiła się czarna śmierć.

PLEBAN Czy coś się stało? Wszystkich nagle obleciał strach.

SCHULLER Jak gdybym słyszał jakiś krzyk.

HADANK Ja też słyszałem krzyk.

SCHEDDEL I ja.

Wchodzi przerażona, pobladła Róza.

SCHULLER Rózo, gdzie jest Benigna?

EBBO Trzeba chwycić za broń!

HADANK Psy na łańcuchach szaleją.

EBBO Trzeba chwycić za broń!

SCHULLER Rózo, gdzie moja żona?

RÓŻA U siebie. Chce spowiednika.

SCHULLER Spowiednika? A po co?

PLEBAN Jestem. Już idę do niej.

RÓŻA Nie, ona chce prawdziwego... innego spowiednika.

EBBO Jasne, trzeba jej posłać tego kramarza-oszusta!

SCHULLER Za pozwoleniem, hrabio! Proszę natychmiast zamilknąć! Przekracza pan wszelkie granice!

EBBO Sądzi pan, że ja nie wiem, co stało się przed kwadransem? Coście tam w trójkę uknuli: pan, notariusz i opat?

SCHULLER Spisaliśmy akt darowizny i podpisaliśmy go, cóż w tym nadzwyczajnego?

EBBO Kosztowna to darowizna, wyjątkowo kosztowna.

SCHULLER Darowizny na ogół nie są tanie jak barszcz.

PLEBAN Ale ta jest, jak mówię, wyjątkowo kosztowna. Bo wyłudzona podstępem: w łóżnicy pewnej damy... wysoko postawionej.

SCHULLER Co pan chce przez to powiedzieć?

EBBO To właśnie, co powiedziałem!

KNOBLOCHZER Chciałbym prosić o głos.

LAURA *do Ebba* Jedźmy już, każ zaprzęgać!

KNOBLOCHZER Chciałbym prosić o głos. Nie ma już wątpliwości: w mieście panuje śmierć. Ludzie jak opętani biegają po ulicach, rzucają się na śnieg i wiją jak w konwulsjach... *Spostrzega martwego Jedidję za stołem.* A to co? Kto to jest? Proszę natychmiast się cofnąć!

PLEBAN Ktoś martwy lub nieprzytomny.

KNOBLOCHZER Proszę go nie dotykać!

EBBO Wygląda mi na złodzieja.

PERL Nautilusa ma w ręku.

SCHULLER To mój służący Jedidja.

KNOBLOCHZER To czarna śmierć, moi państwo. Wypowiedziała nam wojnę.

LAURA Uciekajmy! Na pomoc!
Biegnie jak szalona do drzwi.

EBBO *egoistycznie* Chcemy natychmiast stąd jechać.

SCHULLER *pochylony nad Jedidją, wyjmując mu serwetę z ręki* Więc jedź pan! Jedź do diabła! Albo rzuć ci w twarz tę zadżumioną szmatę!

EBBO Mnie? Ty stary rogaczu! Handlarzu żywym towarem! Spróbowałbyś tylko, lichwiarzu!

Cofa się, przewraca krzesło i wychodzi, trzaskając drzwiami.

PLEBAN Pijaństwo całkowicie odebrało mu rozum.

Goście miotają się w panice, biegnąc od drzwi do drzwi i nakładając na siebie okrycia.

SCHULLER A więc ziemia to piekło? Wszystko tonie we mgle.

CHÓR Dies irae, dies illa.

Solvat saeculum in favilla.

Wbiega Róża i nerwowo szepce coś na ucho Schullerowi. Wchodzi Opat. Jest poważny i uroczyście dostojny. Schuller jak porażony.

PLEBAN Ten dom wyraźnie się wali. U progu stoi Dzień Sądu.

HADANK Co z panią burmistrzową?

OPAT Signory Róży Sacchi nic tutaj już nie trzyma.

HADANK Pani Benigna umarła?

OPAT Tak, zakończyła żywot.

HADANK Tak nagle? Co się stało?

OPAT Zmarła pewnie na dżumę.

PERL W delirycznej gorączce targnęła się na swe życie?

CHÓR Confutatis.

Schuller biegnie na górę. Po chwili słychać strzał.

Confutatis maledictis,

Flammis acribus addictis:

Voca me cum benedictis.

Oro supplex et acclinis,

Cor contritum quasi cinis:

Gere suram mei finis.

CZESŁAW MIŁOSZ

Kwestie narodowości i patriotyzmu

1. Kwestie narodowości i patriotyzmu są częścią tego, co Paul Valéry nazywał *les choses vagues*, rzeczy mgliste, a każda próba zachowania precyzji w tej dziedzinie rozbija się o różnorodne nastawienia, dyktowane przez uczuciowe przywiązania. Nigdzie indziej jednostka nie bywa narażona na tak wielką presję społeczną, niż kiedy dana wspólnota narodowa od najmłodszych lat kształtuje i indoktrynuje młode pokolenie.

2. Pod pewnymi względami nasze stulecie można uznać za laboratorium, które pozwala obserwatorowi przyglądać się grupom narodowym *in statu nascendi*. Grupy te trzymają się swojego języka, przeciwstawiając go językowi dominującemu i swój własny język uznają za podstawowy rys oddzielnej narodowości. Czasami język ten ma za sobą podziwu godną przeszłość literacką. W Europie tak jest w przypadku języka walijskiego, gaelickiego, katalońskiego, flamandzkiego, chorwackiego, langwedockiego, bretońskiego i baskijskiego. Czasami jednak dany język musi walczyć, by uznano go za język, a nie tylko dialekt, którym posługują się ludzie niewykształceni. W tej kategorii umieścić można języki, które pojawiły się w XIX wieku, na przykład niektóre języki słowiańskie i bałtyckie. Najnowszym przybyszem okaże się prawdopodobnie białoruski, którego pierwszą gramatykę opublikowano tuż przed pierwszą wojną światową.

3. Tym, którzy posługują się językiem dominującym, nie podobają się narodowe aspiracje innych grup językowych. Najczęstszym podejściem jest poczucie wyższości i pogarda dla stojących niżej pod względem kulturowym. Niemieckojęzyczna inteligencja w imperium habsburskim pogardzała językiem czeskim jako mową służących i wieśniaków; Rosjanie mieli skłonność do traktowania ukraińskiego i białoruskiego jako nie więcej niż zabawne dialekty; Polacy z pobłażaniem odnosili się do litewskiego, białoruskiego i ukraińskiego, podobnie jak Francuzi traktowali prowansalski i bretoński.

Takie poczucie wyższości znajduje jednakże odpowiednik w poczuciu niższości, powszechnym dla grup językowych, które zmagają się z dominacją językową. Jest to potężny czynnik psychologiczny tłumiący ich aspiracje, a ich powodzenie zależy w dużym stopniu od umiejętności przełamania szacunku

dla danej tzw. kultury wyższej. Wyłonienie się narodów bałtyckich po pierwszej wojnie światowej było dowodem wielkiej siły ducha, ponieważ Estońcy i Łotysze musieli wyzwolić się spod władzy niemieckiej, którą posługiwały się klasy wyższe, Litwini zaś spod władzy języka polskiego, którego używała tamtejsza szlachta. Czasami do poczucia niższości dołączają się względy praktyczne, które sprawiają, że powstanie narodu jest bardzo trudne lub niemożliwe. W Bretanii rodzice mogą obecnie posyłać dzieci do szkoły prowadzonej w ich rodzimym języku, ale tylko nieliczni korzystają z tej możliwości, ponieważ wolą zapewnić młodemu pokoleniu dostęp do bardziej uniwersalnej kultury francuskiej, a nie zamykać je na prowincji. Z tego samego powodu promotorzy języka kreolskiego, używanego w życiu codziennym przez około osiem milionów mieszkańców skolonizowanych przez Francję wysp, mieli wielkie trudności, by przekonać swoich braci, że w miejscowych szkołach nauka powinna być prowadzona po kreolsku, a nie po francusku, co oznaczało oczywiście, że podręczniki, jak również wielkie dzieła humanistyki należy przetłumaczyć na język kreolski. Presja możliwości, jakie otwierają się przed dzieckiem chodzącym do rosyjskiej szkoły, choćby w domu posługiwało się ono językiem miejscowym, jest dobrze znanym czynnikiem wspomagającym rusyfikację w Ukrainie i Białorusi.

4. Aby docenić siłę współczesnego nacjonalizmu lingwistycznego, nie trzeba przedstawiać jego historii. Wbrew licznym przewidywaniom, intensywność tego zjawiska najwyraźniej się wzmacnia i okazuje się ono spoiwem społecznym tam, gdzie pękają inne rodzaje spoiwa. Jesteśmy świadkami postępującego procesu atomizacji społecznej, zarówno na Zachodzie, jak i na Wschodzie, a jego przyczyną jest głównie zwycięstwo czy potencjalne zwycięstwo cywilizacji konsumpcyjnej, jak również osłabienie ideologii. Dlatego też można bezpiecznie zakładać, że w nadchodzących dekadach będzie następował stały wzrost patriotyzmu językowego, zwłaszcza związanego z „porrzywanymi” narodowościami.

5. Zasada samostanowienia narodów, ogłoszona po pierwszej wojnie światowej na konferencji pokojowej w Wersalu, natychmiast ujawniła swoje słabe punkty i sprzeczności. Na obszarze dawnych sporów terytorialnych między Polską a Rosją respektowania swoich praw zaczęły się domagać trzy nowe organizmy: Litwa, Białoruś i Ukraina. System carski odmawiał prawa istnienia Białorusinom czy Ukraińcom, podobnie jak carscy generałowie walczący przeciwko rewolucji. Innego zdania był jednak Lenin, który popierał koncepcję federacji republik narodowych, koncepcję, jak wiemy, nietożsamą w teorii

i w praktyce. Zachodni mężowie stanu, wrażliwi na dane statystyczne i na swoje zasady, pozytywnie przyjęli powstanie niepodległych państw bałtyckich. Na południe od nich wyznaczyli linię wzdłuż etnicznej granicy pomiędzy Polakami i ich słowiańskimi sąsiadami ze Wschodu, tzw. linię Curzona, która dzisiaj pokrywa się zasadniczo z granicą Polski. Jednak w rezultacie wygranej przez Polaków wojny polsko-sowieckiej z 1920 roku niepodległa Polska otrzymała znaczne terytoria zamieszkałe przez Białorusinów i Ukraińców. Wprawdzie tym, którzy znaleźli się po polskiej stronie granicy oszczędzony został koszmar kolektywizacji i deportacji, a jednak ich szanse na rozwój narodowy okazały się ograniczone, byli prześladowani i dyskryminowani.

6. Zasada samostanowienia jest wewnętrznie sprzeczna na obszarach etnicznej i językowej mozaiki. Ze względu na silny element polski na wschód od kraju, dziedzictwo w dawnej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, Polska okresu międzywojennego traktowała swoje wschodnie prowincje jako integralną część państwa, a jest prawdą, że ich dwa główne miasta, Wilno i Lwów, były enklawami polszczyzny. Ten pogląd miał znamienne konsekwencje podczas drugiej wojny światowej. Podpisując w 1939 roku pakt o nieagresji z Hitlerem, Stalin otrzymał w charakterze łupu wschodnią część Polski, którą Moskwa definiowała jako zachodnią Białoruś i zachodnią Ukrainę. Polski rząd emigracyjny w Londynie stanął na stanowisku, że zwycięstwo aliantów musi doprowadzić do przywrócenia Polski w jej przedwojennych granicach. Skoro wojna rozpoczęła się od ataku Niemiec na Polskę, wydawało się to logiczne. Niestety takie stanowisko byłoby nie do utrzymania, gdyby obowiązywała zasada samostanowienia, ponieważ Polska otrzymałaby ponownie znaczne terytoria obce językowo. Stanowisko Stalina w kwestii wschodniej granicy Polski paradoksalnie było zbieżne z linią Curzona.

Wymuszone przez Stalina na aliantach rozwiązanie kwestii terytorialnych ukazuje odwrotną, nieludzką stronę przyjęcia modelu państwa jednolitego etnicznie. W 1939 roku duże obszary zachodniej Polski zostały włączone do Rzeszy i nastąpiły masowe deportacje Polaków, by stworzyć przestrzeń dla niemieckich osadników. Miasta w całej niemieckiej strefie okupacyjnej podzielone zostały na trzy jednorodne strefy: niemiecką, polską i żydowską. Zakończenie wojny natomiast przyniosło coś wręcz przeciwnego. W 1945 roku miliony ludzi zostały wykorzenione w rezultacie przymusowego exodusu Niemców z tej części Niemiec, którą przyznano Polsce i Polakom, opuszczającym swoje miasta i wioski na Wschodzie.

7. W jaki sposób Polak albo Rosjanin powinien podchodzić do istnienia Białorusi i Ukrainy, jako do formalnie autonomicznych republik, które mają nawet reprezentację w Narodach Zjednoczonych? Pomijam tutaj resentymenty, które pozostawiła długa i tragiczna historia tego zakątka Europy. Istnieją silne dowody na to, że republiki te są po prostu fasadą dla systematycznej rusyfikacji byłych posiadłości Korony Rosyjskiej. Nowe dane, opublikowane w okresie rządów Gorbaczowa, ujawniają dramatyczny brak szkół uczących w języku ukraińskim i podobny brak szkół na Białorusi, tak że w Mińsku, stolicy Republiki Białoruskiej, nie ma ani jednej białoruskiej szkoły. Podobna dyskryminacja dotyczy liczby książek wydawanych w tych językach.

Duża część polskiej opinii publicznej, pozostająca pod wpływem ideologii tzw. Narodowej Demokracji, ma skłonność do rozmawiania o stosunkach polsko-rosyjskich tak, jak gdyby nie było Ukraińców ani Białorusinów, lub jak gdyby byli oni skazani na zniknięcie. Po stronie rosyjskiej podręczniki do historii, które prezentują zachodnie prowincje imperium carskiego jako ziemie odwiecznie rosyjskie, propagują nietrudny do odgadnięcia sposób myślenia, skoro obrońcy praw narodowych są zsyłani do Gułagów i zamykani w więzieniach. W Polsce w ostatnich latach pojawia się pewna nowa orientacja. Istnieje duże zainteresowanie i sympatia dla najbliższych sąsiadów ze wschodu. Choć jest to krok w dobrym kierunku, w moim przekonaniu nie pozostaje on całkiem wolny od pewnych trwałych elementów odwiecznego polskiego ekspansjonizmu, tzw. idei jagiellońskiej, dlatego na miejscu Litwina, Białorusina czy Ukraińca byłbym ostrożny, podobnie jak byłbym ostrożny wobec wyrazów miłości ze strony Rosjan, którzy uzależniają tę miłość od uznania przewodniej roli ich narodu.

Mój przyjaciel (pominę milczeniem jego narodowość) obruszył się, kiedy podniosłem te kwestie. „Jaki jest sens – zapytał – mnożyć partykularyzmy, wymyślać coraz to nowe nacjonalizmy i w ten sposób tworzyć nowe podziały między ludźmi? Czy nie lepiej jest, żeby na tej planecie istniało kilka większych języków, które dobrze służyłyby wymianie idei, a w ten sposób przysłużyły się koncepcji kultury uniwersalnej? Dlaczego baskijski zamiast hiszpańskiego, dlaczego ukraiński zamiast rosyjskiego?”

Jestem przekonany, że nie jest to opinia odosobniona, a stoi za nią poważny filozoficzny spór o istotę człowieczeństwa: czy powinniśmy odzierać człowieka z przypadkowych cech miejsca, rasy, z rodzimego języka, aby rozważyć nasz rodzaj jako taki, bez ograniczania się powierzchownymi różnicami? Czy też przeciwnie, powinniśmy uznawać różnicę za konstytutywną

cechę ludzkości? Od epoki romantyzmu, kiedy to Niemcy wynaleźli wątpliwą ideę „ducha narodu”, nikt nie zajmował się tym problemem, który dziś nabiera aktualności w obliczu duchowej pustki, jaka przytłacza anonimową ludzką masę. Mówiąc pragmatycznie, przywiązanie do wioski, do prowincji, do rodzimego języka, do historii wcielonej w tym języku, ocalała godność jednostki. Można to zaobserwować, zwracając uwagę na zachowanie ludzi, którzy bronią sprawy języka skazanego na to, że nigdy nie będzie służył jako podstawa osobnej narodowości, np. języka hawajskiego, którym posługuje się dzisiaj kilkaset osób, albo języka langwedockiego. Ludzie ci są mniej wyalienowani niż ich sąsiedzi, którzy przyjęli język przychodzący z zewnątrz. Ta sama obrona godności jest rysem charakterystycznym masowych ruchów narodowych, jak na przykład ostatnio w Armenii. Powtórzę tutaj sąd, jaki na temat swoich sąsiadów, mieszkańców Republiki Białoruskiej, wygłosił pewien Litwin z Wilna: „Oni tańczą, jak im Rosjanie zagrają, i mówią po rosyjsku z powodu stuleci zacofania, dlatego że się wstydzą swojego chłopskiego rodzimego języka. Muszą najpierw osiągnąć wyższy poziom ekonomiczny, a potem, za jakieś dziesięć lat, zaczną zdobywać narodową pewność siebie”.

lata 90.

CZESŁAW MIŁOSZ

„Skorzystam z przywileju poety...”

przełożyła Magdalena Heydel

1. Skorzystam z przywileju poety i w swoich uwagach odwołam się do osobistego doświadczenia. Urodziłem się przed pierwszą wojną światową, a wiek XX w dużym stopniu pokrywa się z czasem mojego życia. Z powodu tak zwanego przyspieszenia historii byłem świadkiem przemian, które pod względem tempa nie miały sobie równych w żadnym poprzednim stuleciu.

2. W moim dzieciństwie powóz ciągnięty przez konia był najpopularniejszym środkiem transportu, a umiejętność zaprzęgnięcia konia była odpowiednikiem dzisiejszej sprawności w prowadzeniu samochodu. Samochód (być może samochód japoński) niech posłuży za symbol wszystkich zmian wprowadzonych dzięki technologii. Co jednak stoi za zwycięstwem technologii na skalę planetarną jeśli nie zwycięstwo pewnego niewielkiego obszaru nad potężnymi kontynentami? Współczesna nauka i technologia narodziła się bowiem kilka wieków temu na małym zachodnioeuropejskim półwyspie, by stopniowo podbić Amerykę, Azję, Afrykę, Australię i podporządkować sobie w dużym stopniu cywilizacje oparte na innych zasadach.

3. Dorastałem, marząc o podróżach do dalekich, egzotycznych krajów. Wciąż jeszcze powszechne było wówczas pojęcie egzotyki, a jak wskazuje pochodzenie tego słowa od greckiego *exo* – na zewnątrz, zakładało ono podział krajów na te, które znajdują się w strefie wewnętrznej, i te w strefie zewnętrznej, to znaczy ukształtowanej przez inne cywilizacje. Podział ten rychło odszedł w przeszłość. Kiedy pierwszy raz podróżowałem do Azji jako małe dziecko, z ojcem, który pracował jako inżynier w służbie rządu rosyjskiego, Syberia, dokąd się udaliśmy, nie była zbyt egzotyczna, chociaż Japonia z pewnością tak. Dzisiaj, podróżując do Japonii, nie czuję, że udaję się do strefy zewnętrznej, chociaż mam nadzieję, że wasz kraj zachowuje tyle ze swych tradycji i indywidualności, by zaspokoić ciekawość dziecka, które kiedyś zbierało znaczki z egzotycznych krajów.

Tekst wykładu wygłoszonego w Osace we wrześniu 1983.

4. Unifikacja planety postępuje szybko, ponieważ wszystkie systemy polityczne, również te, które są sobie przeciwne, powołują się na naukę. Każde dziecko, bez względu na to, gdzie żyje, otrzymuje wykształcenie wpajające mu naukowy obraz świata. Powinniśmy zdać sobie sprawę z poważnych konsekwencji tego faktu. Nauka nie zajmuje się wartościami ludzkimi. Świadomość, że nauka zagraża tym wartościom, ufundowanym w istocie na przeciągu wielu wieków przez religię, stanowi sam rdzeń europejskiego kryzysu intelektualnego w XIX stuleciu, którego najlepszymi przykładami jest twórczość Dostojewskiego i Nietzschego. Kryzys ten miał zostać uniwersalizowany i pod tym względem ludzkość w wieku XX odgrywała dramat, którego scenariusz został przygotowany dla pewnego ograniczonego obszaru geograficznego. Nietzsche przewidywał wszak „nihilizm europejski”, a nie „nihilizm światowy”. Ruchy rewolucyjne naszego stulecia wychodzą z założeń wypracowanych podczas wspomnianego kryzysu w Europie. Dlatego jako profesor interesuję się szczególnie historią intelektualną XIX wieku w Europie.

5. Żywe obrazy pierwszej wojny światowej i rewolucji rosyjskiej, na które spoglądałem oczyma dziecka, wyjaśniają, dlaczego jestem gotów zgodzić się z Pauliem Valérym, kiedy powiada: „Odkryliśmy, że cywilizacje są śmiertelne”. Do XX wieku bowiem, a mówiąc precyzyjnie w Europie do roku 1914, cywilizacja, w której się żyło, brana była za oczywistość, nigdy, żeby tak powiedzieć, nie spoglądało się na nią z zewnątrz, poza rzadkimi przypadkami jasnovidzwa pisarzy i myślicieli. Owo poczucie śmiertelności poszczególnych cywilizacji w okolicach połowy wieku wzrosło, by objąć cały nasz gatunek, który zrozumiał, że sama Ziemia jest śmiertelna. Obce cywilizacje galaktyczne stworzone przez *science fiction*, które pojawiały się, wzrastały, rozpadały i ginęły w kataklizmach, są dowodem świadomości nieznaney naszym przodkom.

6. Złowroga i niezrozumiała siła przychodząca z zewnątrz do mojej wioski, do mojego domu, wyrywająca mnie z codziennych zwyczajów i zmuszająca do robienia tego, czego robić nie chcę – taka może być definicja historii. W tym świetle Kafka wyraża istotę XX wieku. Patrzy on na bezradną jednostkę, stojącą wobec siły, która jest nadludzka o tyle, o ile nie została stworzona przez Boga, lecz przez człowieka, a jednak siła ta jest nadludzka, ponieważ nie da się wskazać nikogo, kto mógłby wziąć odpowiedzialność za jej wyroki. Pochodzę z tej samej Europy Środkowo-Wschodniej co Kafka i byłem poddany, tak jak i inni ludzie w Polsce, potwornościom przybierającym formę obcych inwazji, rządów policji politycznej i irracjonalnego zachowania biurokracji. Gdyby mnie zapytano, co jest najtrudniejszym problemem dla poety XX wieku,

odpowiedziałbym: dowiedzieć się, czy i jak można pokonać uczucie bezradności wobec samozwańczych wysłanników Historii.

7. W tym wieku kolonializm przypuszczalnie dobiega kresu. A jednak praktyki stosowane w koloniach przez panów, którzy nigdy nie posłużyliby się nimi u siebie, zostały przeniesione z wielkim zapalem do niektórych wysoko rozwiniętych krajów. Z tego powodu opowieść Josepha Conrada o białym człowieku w Afryce, *Jądro ciemności*, opublikowana w 1902 roku, nabiera znaczenia profetycznego. Podział społeczeństwa na rasę panów i na tubylców, którzy jako podludzie, zwierzyzna łowna, są poza prawem, położył fundamenty programowego ludobójstwa w Europie. Pomysł wydzielenia na kontynencie afrykańskim stref wpływu dla potęg kolonialnych niewątpliwie przyczynił się do zastosowania tej samej metody na kontynencie europejskim, wobec czego miliony tubylców stały się przedmiotem handlu politycznego. Pierwszy przypadek takiego handlu miał miejsce w ramach paktu podpisanego w 1939 roku przez dwu dyktatorów, Hitlera i Stalina, i ustanowił wzorzec, który należało obalić w wyniku drugiej wojny światowej, ponieważ wojnę tę wypowiedziano w imię wzniosłych zasad. Stało się inaczej, a Europejczycy, których zwycięscy sojusznicy nie zapytali o zdanie, odkryli, że o ich losie zdecydowano ponad ich głowami. Podziały na panów i tubylców, jak również strefy wpływów, tak typowe dla okresu kolonialnego, zostały odtworzone.

8. Unifikacja planety następuje na wielu poziomach, nie tylko politycznym, na którym można o unifikacji mówić wyłącznie z ironicznym uśmiechem. Bez względu na to, czy prawdą jest, że wojna to polityka prowadzona innymi środkami, czy też odwrotnie – że polityka to wojna prowadzona innymi środkami, obie te maksymy można zastosować do opisu sceny międzynarodowej ostatnich kilku dekad. Ani Liga Narodów, ani Narody Zjednoczone nie były w stanie zapewnić zwykłemu człowiekowi promienia nadziei. Rozdzwięk między głoszonymi celami tych organizacji i ich szlachetnym charakterem – z jednej strony, a działaniami ich członków – z drugiej, może stać się nieustającym źródłem zdumienia, i trudno jest wyjaśnić, dlaczego wszyscy tak łatwo nauczyli się uznawać klęski tych organizacji za oczywistość. Dzieje się tak przypuszczalnie dlatego, że są to organizacje nie narodów, lecz rządów, a nasz wiek był świadkiem utraty wiary w rządy. Nie zanosi się tymczasem na powstanie planetarnego parlamentu, w którym wybrani w wolnych wyborach deputowani z różnych narodów rozmyślaliby, jak żyć w pokoju.

9. Wiek XX dokonał pewnych szczególnych odkryć, takich jak wojna wypowiedziana nie tylko armii innego kraju, ale także jego ludności

cywilnej; rewolucja organizowana przez zawodowców, której rezultatem jest wszechwładne, scentralizowane państwo; obóz koncentracyjny jako środek niszczenia milionów istot ludzkich, które nazwano wrogą rasą lub klasą. Będziemy ten wiek pamiętać również jako stulecie nacjonalizmów. Próbując jednak zdefiniować to słowo, stajemy wobec wielkich trudności. Nacjonalizm bowiem wyrasta zarówno z pragnienia jednego narodu, by dominować nad innymi, jak i ze słusznego pragnienia podbitego ludu, by wyzwolić się spod obcej dominacji. Mamy więc nacjonalizm ciemieńców i nacjonalizm ciemionych. Również ten drugi wykazuje znaczną złożoność. Karmiony resentymentem i poczuciem niższości, wzywa on do zadośćuczynienia i często prowadzi do wypaczonego obrazu rzeczywistości. Z drugiej strony, poczucie tożsamości narodowej wzmaga przywiązanie do tradycyjnych wartości i do historii własnego kraju, pomagając w ten sposób zachować łączność między pokoleniami i zrównoważyć ogólną tendencję czasów współczesnych do zamieniania istot ludzkich w jednostki statystyczne.

10. Zarysy wieku XXI są dla nas zagadkowe i tak być musi. Wszelkie przewidywania będą ekstrapolacją, to znaczy będą zakładać, że obserwowane trendy są trwałe, ignorując możliwość nagłych zwrotów. To mogłem sprawdzić w doświadczeniu. Jednak wróżenie z kryształowej kuli niesie jeszcze inne niebezpieczeństwo, a mianowicie takie, że przepowiednie mogą spełniać się same. Przewidując trzęsienie ziemi, nie wpływamy na zachowanie planety, sprawy ludzkie tymczasem są wrażliwe na nasze wizje przyszłości, ponieważ historia w procesie powstawania składa się z niepoliczonych drobnych ludzkich działań.

11. Książka Raymonda Arona *Koniec wieku ideologii* ukazała się mniej więcej trzy dekady temu i wątpię, czy wszystkie jej założenia znajdowały wówczas potwierdzenie. A jednak jesteśmy w istocie świadkami stopniowej erozji doktryn politycznych, które w danym momencie wyglądały jak nowe technologie, teraz natomiast przypominają puste skorupy. Ekstrapolując, możemy oczekiwać, że ten proces doprowadzi do niczym nieprzesłoniętej nagiej siły politycznej i militarnej, która ukaże się bez ponętnych zasłon takiej czy innej doktryny.

12. Erozja ideologii pojawia się, jak się wydaje, wraz ze swego rodzaju chorobą, dotyczącą metafizycznego rdzenia religii instytucjonalnych pod wpływem nauki i technologii. Można to zaobserwować zwłaszcza na przykładzie chrześcijaństwa. Powstała w ten sposób próżnia duchowa budzi poczucie głębokiego nieszczęścia, ludzie będą więc starali się ją zapełnić. Czym – możemy

tylko snuć domysły. Być może poszukiwaniami spoza ortodoksji religijnej, sztuką, także emocjonalnym podejściem do przeszłości swoich miast i krajów, wzmożoną lojalnością patriotyczną. Różne formy nacjonalizmu mają, jak się wydaje, przyszłość jako odpowiedzi na abstrakcyjny charakter wielkich wielonarodowościowych imperiów.

13. Postęp w unifikacji planety jest przypuszczalnie nieunikniony, podobnie jak wzajemne zapładnianie się Zachodu i Wschodu. Nie mogę powiedzieć niczego o problemach Północ – Południe. Co do przewidywań dotyczących prób politycznej unifikacji Ziemi, należą one do kategorii niebezpiecznych. Niestety najbardziej logiczny, ale jednocześnie najgroźniejszy byłby plan stworzenia jedynego planetarnego państwa, a ponieważ mogłoby to nastąpić wyłącznie w drodze podboju, niebezpieczeństwo jest zbyt wielkie, by się nad tym nie zastanawiać.

CZESŁAW MIŁOSZ

„Rozmyślałem o strefie pośredniej...”

Rozmyślałem o strefie pośredniej, w której żyją ludzie, na pewno niezrozumiałej dla rozumnych istot z innych światów, ponieważ nie stawia się w niej pytań i nie udziela się odpowiedzi.

Jeżeli nie ma bogów, to po co Boże Narodzenie, dlaczego cywilizacja techniczna przypomina sobie raz do roku mit o bogu rodzącym się jako człowiek?

Jeżeli są bogowie, to Stwórca Wszechświata przybrał postać mieszkańca Ziemi, żeby umrzeć śmiercią okrutną, i czyż dzień pamiętny nie powinien upłynąć w nabożnym milczeniu, a nie w hałasie neonowego festiwalu?

ok. 1970

Prezentowane teksty ukażą się w 2020 roku w Wydawnictwie Literackim: Czesław Miłosz, *Z archiwum. Wybór publicystyki z lat 1945–2004*, pod kierunkiem Aleksandra Fiuta zebrali, odczytali z rękopisów, zredagowali i opracowali: Mateusz Antoniuk, Stanley Bill, Karina Jarzyńska, Ewa Kłodziejczyk, Marzena Woźniak-Łabieniec.

ALEKSANDER FIUT

„Pisane było”?

Zagłębianie się w archiwa Czesława Miłosza jest prawdziwą przygodą – fascynującą, pełną niespodzianek i nieoczekiwanych zasadzek. Można zajrzeć do poetyckiej retorty i odnajdywać ślady mozolnego stopniowego wyłaniania się wierszy z pozasłownej magmy. Można te zapisy traktować jako uzupełniającą część dorobku pisarskiego poety, tym ważniejszą, że dotąd nieznaną. Można wreszcie podążać w nich tropami spraw dotychczas z jakichś powodów przemilczanych lub zaszyfrowanych, uznawanych przez autora za zbyt intymne, by je upubliczniać. Lekturze tej, z jednej strony, towarzyszy moralna niewygodność, bo przecież wkracza się w cudzą prywatność, z drugiej – natrętne pytania: dlaczego te, a nie inne teksty pozostały w szufladzie? Przez przeoczenie, niedbałość, a może z ukrytym zamysłem? Na ile ich cel był jedynie użytkowy, a ich znaczenie sprowadzało się do określonej chwili, a na ile zostały przeznaczone dla przyszłych czytelników? Jaką pośmiertną grę z tymi odbiorcami podejmuje autor? W jakim stopniu dąży do tego, by zmodyfikować, a może nawet zburzyć swój nazbyt pomnikowy wizerunek?

Niepublikowane materiały archiwalne Miłosza, poza wszystkim, świadczą wymownie o rozlicznych uzdolnieniach noblisty oraz jego umiejętności występowania ze swobodą w wielorakich rolach, a także biegłym i swobodnym uprawianiu rozmaitych gatunków. Pozostały w archiwach, obok – ukończonych lub nie – rękopisów wierszy, teksty wypowiedzi okolicznościowych, wykładów i odczytów, wygłoszonych po polsku lub w obcych językach, wśród nich znakomity wykład w Osace z września 1983 roku. Znaleźć tam można barwne reportaże, na przykład *W Dolinie Tais*, analizy literackie, w rodzaju wnikliwego studium o *Poemacie dla dorosłych* Adama Ważyka, oraz ważne polemiki, jak choćby *Dlaczego myliła się Hannah Arendt*. Są nawet przykłady *political fiction*, w rodzaju *Kroniki polskiej* i *Kroniki litewskiej*, napisanych na początku lat dziewięćdziesiątych, gdzie Miłosz „relacjonuje” wybór Jerzego Giedroycia na króla Litwy! Mnie najbardziej zafrapowały teksty autobiograficzne, które pozwalają z innej perspektywy spojrzeć na osobę Miłosza, zarazem otwierają także odmienne konteksty, w których umieścić można jego twórczość. Należą do nich: fragment z dziennika z 1946 roku zatytułowany *Historia londyńska*,

szkic *O Herbercie*, napisany po śmierci autora *Pana Cogito*, wreszcie rozrachunek z własnymi życiowymi decyzjami pod tytułem *Nie powinienem był**, który powstał około 2003 roku. O dwóch poprzednich pisałem gdzie indziej, tutaj ograniczę się do uwag o ostatnim z wymienionych.

*

Czego zatem poeta nie powinien był zrobić, a zrobił? Tryb warunkowy – tak chętnie używany przez Miłosza w wierszach – zakłada hipotetycznie inne rozwiązania, odmienną decyzję, wywołany skutkami dokonanego wyboru alternatywny zwrot losu. Zdawać by się mogło, że *implicite* zawiera się w tym rozrachunku z własną przeszłością jawny lub ukryty wyrzut sumienia, poczucie winy i potrzeba ekspiacji. Nie dziwiłoby to u poety, który niejednokrotnie zarzucał sobie sumienie zbyt skrupulatne i wyrażał obawę, że ulega pokusie *delectatio morosa*. Przeświadczenie, że dokonane uczynki czy podjęte decyzje winny zostać poddane moralnej ocenie, nie dochodzi tutaj jednak do głosu. „Winowajca” nie staje przed trybunałem własnego sumienia, trybunałem zbiorowej etyki czy Sądem Bożym. Przeciwnie, taka perspektywa czy możliwość w ogóle się nie pojawia! Poeta z góry wyklucza możliwość takiego osądu, a zatem jakby powątpiewa w trwałą, niewzruszalny i ponadczasowy system moralny. Z pewnością Miłosz odżegnywał się od postawy moralisty, ponieważ nierzadko podważał własną niewinność, kwestionował swoje uprawnienia do oceny kogokolwiek, ironią kwitował drapowanie się w katkańską togę. Nie był przecież relatywistą, jakkolwiek dobrze znał te pokusy. Co zatem oznacza „Nie powinienem był”? Zarzut braku sprostania postulatowi bycia do końca w zgodzie z sobą samym, kierowania się wewnętrznym kompasem etycznym, niezależnie od okoliczności? Do odpowiedzi zbliża wypowiedziane na początku wyznanie: „Nie powinienem był – mówi do siebie stary człowiek rozpamiętując swoje błędy. A kiedy tak rozpamiętuje, spostrzega, że niektóre błędy były zrozumiałe albo nawet nieuniknione. Co do ich następstw, to nawet teraz trudno zdobyć się na jednoznaczną ocenę i w ogóle ta cała przeszłość jest krainą przeróżnych »co by było gdyby«, co jak wiadomo, jest raczej bezpłodnym rozmyśleniem. Ta kraina kiedyś męczarni i dramatycznych decyzji z perspektywy wygląda trochę komicznie”.

* Tekst patrz: Czesław Miłosz, *Z archiwum. Wybór publicystyki z lat 1945–2004*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020.

Jakież zatem były owe błędy? I dlaczego wydają się z jednej strony „zrozumiałe” i „nieuniknione”, a zarazem nadal trudno zdobyć się na ich jednoznaczny ocenę? Już sama ich lista może zaskakiwać, a przynajmniej głęboko zastanawia. Jak skrupulatnie wylicza Miłosz, nie powinien: „pisać książek na tematy polityczne, a popełniłem ich dwie. *Zniewolony umysł i Zdobycie władzy*”; „służyć w dyplomacji Polski Ludowej”; „zrywać z Polską”; układać antologii polskiej poezji we własnym przekładzie na angielski oraz pisać podręcznika historii literatury polskiej dla amerykańskich studentów, wreszcie „studiować prawa”.

Z pewnością praca w dyplomacji Polski Ludowej, zwłaszcza w okresie stalinowskim, zasługiwała na moralne potępienie. W rozmowie ze mną Miłosz samooskarżycielsko stwierdził, że był to rodzaj prostytucji, „nie przez to, co robił, bo nic złego nie robił, ale przez sam fakt”. Ale dlaczego błędem była decyzja o emigracji, nie mówiąc już o napisaniu głośnego studium o formach społecznej mimikry i moralnego znieprawiania inteligencji oraz powieści, która bez osłonek opisywała brutalne wprowadzanie do Polski systemu komunistycznego? Chyba żeby uznać, że lepiej, subtelniej i ostrzej intelektualnie to samo wyraził w poezji: w *Traktacie moralnym* i *Dziecięciu Europy*. Natomiast zupełnie niezrozumiałe jest uznanie za błąd przygotowania we własnym przekładzie antologii *Postwar Polish Poetry*, która wywarła przecież spory wpływ na młodszą generację wybitnych amerykańskich poetów, takich jak choćby Robert Hass, Robert Pinsky, Edward Hirsch, Jane Hirshfield. Podobnie budzi zdziwienie uznanie za błąd decyzji o studiowaniu prawa! Krótko mówiąc, poza wszystkim uderza w tej liście brak jakiegokolwiek hierarchii oraz dbałości o choćby częściowe zrównanie gatunkowego ciężaru popełnionych błędów życiowych.

*

Swój rozrachunek Miłosz zaczyna od wyjaśnienia, że *Zniewolony umysł* był dziełem katastrofisty. Jak jednak ten wieloznaczny termin rozumieć? „Dla wielu dzisiejszych czytelników książek – konstatuje – wiek XX dziwnie się kurczy. Wygląda to tak, że najpierw była normalność, potem z wybuchem wojny zaczęła się nienormalność i wreszcie w jakiejś tam dacie normalność powróciła”. Tymczasem, według Miłosza, „normalność” jest stanem przejściowym, ludzkiem trwałością, „poszczególni ludzie rodzą się, dorastają, umierają w jakichś przerwach czy lukach światowej historii, a potem spadają na nich wydarzenia czy wyroki, na które jednostki nie mają żadnego prawie wpływu”. Jest to zatem wizja dziejów o wyraźnym fatalistycznym zabarwieniu, odwołująca się do koncepcji wiecznego powrotu, tyleż wywiedziona z dwudziestowiecznych

doświadczeń mieszkańca Europy Środkowej, ile ograniczona wyłącznie do perspektywy ofiary historycznych kataklizmów. Jednym słowem, jest to wizja obecna już we wczesnych wierszach Miłosza i powracająca w całej jego twórczości. Zdumiewa jej trwałość w pisarstwie obejmującym prawie stulecie! Jakby dla Miłosza mniejsze i mało przełomowe znaczenie miała transformacja Europy po 1989 roku, jakby wcale nie wierzył w trwałość tego ładu polityczno-społecznego, zapowiadał, pośrednio, następną katastrofę.

Aby swoje widzenie historii podsumować i przybliżyć przyszłym czytelnikom, Miłosz dokonuje syntezy dotychczasowych przeświadczeń. W jego prezentacji katastrofizmu stale jest obecne przenikanie się teraźniejszego i przeszłego, wyraziście uświadomionego i niejasno przeczuwanego. Stop tworzą życiowe doświadczenia, autokomentarz do napisanych dzieł oraz diagnoza postawiona całemu XX wiekowi. Powracają zatem odwołania do *Biesów* Dostojewskiego i pism Nietzschego jako dzieł zapowiadających dwudziestowieczną moralną katastrofę, stanowiącą konsekwencję „śmierci Boga” i zwycięstwa nihilizmu, czyli „przerażającego wewnętrznego chłodu i pustki”. Miłosz zastrzega się, że w młodości nie czytał Nietzschego, ale jego rozumienie historii kształtowało doświadczenie lat trzydziestych, czyli, jak pisze, „zbliżająca się katastrofa miała dla mnie wymiary eschatologiczne i odchodzenie od chrześcijaństwa odbywało się równoległe z załamaniem się kapitalizmu i demokracji”. Pozostawały w jego pamięci „rzenie I wojny światowej, krach na giełdzie nowojorskiej i masowe bezrobocie w krajach Europy oraz masowe głosowanie zrozpaczonych Niemców na Hitlera”. Odnotowuje, że wzory katastrofizmu w literaturze polskiej zawierały już wcześniej *Nie-Boska komedia* Krasińskiego, pisma Zdziechowskiego, powieści Witkacego, wiersze Czechowicza, *Bal u Salomona* Gałczyńskiego oraz *Bal w operze* Tuwima. Wpisana w literaturę fatalistyczna wizja historii znajdowała przy tym bezpośrednią, jakże jaskrawą ilustrację w inwazji Związku Sowieckiego na Zachód. Splotały się tutaj rozmaite wątki: zdawała się ona być potwierdzeniem atawistycznych lęków przed najazdem Azji, zapowiedzi Dostojewskiego czy spełnieniem przeczuć Witkacego. Właśnie w ten sposób pojmował ją Miłosz, oglądając wkroczenie Armii Czerwonej do Wilna w 1940 roku oraz do Gószyc w roku 1945.

Wyznaje: „Aparat władzy komunistycznej budowany w Polsce był dla mnie, żeby posłużyć się terminologią rosyjskiego pisarza, aparatem drobnych Wierchowieńskich juniorów, Szygalowów i Smierdiakowów”. Stawia pytanie: „Więc dlaczego i ja chciałem grać z nimi?”. Wyraża przekonanie, że nie było to wyrazem dwulicowości, lecz zasadniczej niewiary w odbudowę demokratycznego

ładu Europy, zresztą w ocenach tego intelektualności polscy nie różnili się od intelektualistów zachodnich, skoro partie komunistyczne Francji i Włoch stały wówczas wpływową i potężną siłą polityczną. Dodaje przy tym ważną uwagę: „Gdybym jednak dzisiaj pisał *Zniewolony umysł*, mniej kładłbym nacisku na »ukąszenie heglowskie« i wiarę w konieczność historyczną, a bardziej na obyczaję towarzyskie pewnych zbiorowości”. Jak przypomina, w lewicowym środowisku intelektualnym ówczesnej Warszawy brakowi wiary w wybuch trzeciej wojny światowej towarzyszyły „wstręt i lekceważenie” wobec polskiej emigracji. „Wstręt i lekceważenie, bo – wyjaśnia Miłosz – byli to ludzie, którzy przegrali i reprezentowali tamtą Polskę, która przegrała, a co więcej ponosiła odpowiedzialność za bohaterski powstańczy zryw i ruiny Warszawy w 1944 roku”. Obecnie mało się o tym pamięta, że presję środowiska, wzajemne oddziaływanie na siebie osób zamkniętych w dosyć wyizolowanych grupach, kisenie się we własnym sosie swoistego środowiskowego „getta” umacniały domy literatów czy domy pracy twórczej. Trafność tej obserwacji potwierdzają powojenne losy takich pisarzy, jak choćby Andrzejewski, który przez partyjnych kolegów, Wirpszę, Woroszyńskiego, Borowskiego, został w Szczecinie „przekonany” ideologicznie do budowy nowego ustroju.

Miłosz zwraca uwagę, że pisarze wyjeżdżający za granicę dokładali starań, jak Herbert, by nie odcinać sobie drogi powrotu. Jego zdaniem, „W niektórych wypadkach to się nie udawało wskutek głupoty konsularnych urzędników. Tak było z Hłaską, Mrożkiem, Aleksandrem Watem”. Nie bez racji spostrzega, że „w środowisku krajowym wiadano, że Zachód nie lubi reakcjonistów, i że ciekawia go tylko literaci zamieszkali w Polsce. A ci nieszczęśni emigranci, choćby stawali na głowie, nikt na Zachodzie nie udzieli im uwagi”. Sam zresztą niebawem miał tego doświadczyć, kiedy po decyzji pozostania na emigracji zaczął być w komunizujących środowiskach intelektualnych Paryża ostracyzowany, a publikacja *Zniewolonego umysłu* natrafiła na poważne trudności.

Próbując z kolei wyjaśnić, dlaczego służył w dyplomacji Polski Ludowej, Miłosz wylicza wielorakie motywy. Powiada, że skoro „emigracja tak samo jak i moich kolegów mnie mierzyła, to było jednak jakieś wyjście”. I z całą prostotą wyznaje: „Uniknąłem w każdym razie przez to czegoś bardzo złego, co spotykało licznych starających się o legalne wyjazdy na Zachód tj. rozmów z UB. Byłem postacią fasadową i żadni ubecy mnie nie indagowali. Prawdopodobnie pomagała mi w tym autentyczna niechęć do londyńskiej emigracji”, otwarcie dodając: „Bolesne są to sprawy, ale powinny być poruszone”. *Zniewolony umysł*, przypomina, spotkał się z nieprzychylnym przyjęciem środowisk

emigracyjnych, a nawet Jerzy Giedroyc, który tę książkę wydał, uznawał ją za „użyteczną choć fałszywą”. „Fałszywą, bo tam, gdzie działał strach i oportunizm”, jej autor wprowadził „głębokie powody ideologiczne”, stąd „rozumowania w niej zawarte były udziałem tylko bardzo wąskiej elity i dlatego czytali ją z zapalem komuniści do tej elity należący”. Z perspektywy czasu Miłosz dostrzega, że „powodem posądzeń o to, że pisał książkę jakiś kryptomarksista”, był wpisany w to dzieło fatalizm lub katastrofizm, zaś ukryte motywy o charakterze eschatologicznym czy religijnym mógł uzupełnić dopiero w *Ziemi Ulro*. Ostatecznie wyraża obawę, że tematyka *Zniewolonego umysłu* „jest skazana na stopniowe wietrzenie [...] I być może to studium znajdzie się w rozdziale pt. »Katastrofizm« razem z Witkacym i Orwella 1984”. I konkluduje: „ale gdybym go nie napisał, nie zmieniłby się przez to sąd o mojej poezji, czyli raczej nie powinienem był zdobywać się na taki wysiłek zawrotny, jeżeli zmierzyć go ilością wypalonych papierosów”.

Cały wywód najwyraźniej adresowany jest do przyszłych czytelników. Z założeniem, że historyczne okoliczności nie będą dla nich czytelne, i z obawą, że z czasem poddane zostaną fałszującym je uproszczeniom. Pojawia się pytanie, na ile rekonstrukcja dawno minionego jest rezultatem – świadomego lub nie – projektowania obecnej wiedzy w przeszłość. Granica okazuje się płynna, skoro Miłosz zastrzega, że pisząc *Zniewolony umysł*, kładł nacisk na odmienną problematykę od tej, którą z całą ostrością dostrzegł dopiero z dystansu, a która była przecież w książce obecna. Czy osąd Miłosza nie jest nazbyt surowy? Warto przypomnieć, że *Zniewolony umysł* nadal znajduje gorliwych czytelników na całym świecie. Różne formy zniewolenia umysłu i znieprawiania serc przez ideologię, czy wielorakie postacie politycznej mimi-kry, nadal występują, a studium form i sposobów zdobywania władzy nie ma wyłącznie znaczenia historycznego świadectwa.

Dlaczego Miłosz „zerwał z Polską”? Wyjaśnia: „Kiedy już zdecydowałem się na służbę rządowi satelickiego państwa, podpisałem cyrograf, jak ostrzegł mnie Jerzy Putrament: »Pamiętaj, podpisujesz pakt diabelski«. Ale nie wrócił na stałe do kraju, jak choćby jego kolega z „Żagarów”, Jerzy Zagórski. Usprawiedliwiający się, dodaje, że Polska, z której wyjeżdżał w 1946 roku, nie była jeszcze Polską stalinowską, a zachodzące w niej później polityczne zmiany bardzo głęboko poruszyły go moralnie. Ważna też była atmosfera „zimnej wojny”, „kiedy przeskoczenie było bardzo trudne, bo każda strona kontrolowała swoją zwierzynę”. Otwarcie wyznaje: „Gdybym wiedział, co mnie spotka, pewnie nie podjąłbym takiej decyzji”. Miał przecież zostać „naczelnym poetą

Polski, a tutaj – jak stwierdza, bijąc się w piersi – pycha każdego poety jest najbardziej smakowitą przynętą. Czułem się słaby i mało odporny na takie pokusy”. Nie mógł także do końca powiedzieć, jak wydostał się z Polski, po odebraniu mu w 1951 roku paszportu. Odzyskał go dzięki Natalii Modzelewskiej, „patriotce rosyjskiej, która miała swoje porachunki ze Stalinem”. Cytuje jej słowa, które uznał za rodzaj moralnego zobowiązania: „Jest pan wolny, moim zdaniem poeta powinien być ze swoim krajem, ale jeżeli pan zdecyduje inaczej, niech pan pamięta, że ma pan obowiązek walczyć z nim, katem Rosji”. I dopowiada: „Mówiąc o tym, czuję, że na próżno starałbym się oddać atmosferę grozy tamtej epoki”. Motywy musiały być splątane, niejednoznaczne, uderza wszakże pominięcie bardzo ważnego, osobistego: pozostała w Stanach żonę czekał ciężki poród, zagrażający nawet jej życiu, zaś Ministerstwo Spraw Zagranicznych nie udzieliło zgody na krótki wyjazd do USA – czy to z opieszałości lub arogancji urzędników, czy to z ukrytym celowym zamiarem. To był moment decydujący. Można jedynie snuć domysły, dlaczego Miłosz o tym nie pisze – uznał tę sprawę za zbyt osobistą? Obawiał się, że w ten sposób przemówi za tezą, że emigrował wyłącznie z powodów osobistych?

Wyrzuca sobie, że pisząc *Zniewolony umysł* w Maisons-Laffitte, był dla zespołu paryskiej „Kultury” gościem uciążliwym, „robiącym im okropne awantury i nazywającym ich faszystami”. Zauważa z pewnym zażenowaniem, że jego „prowokacje i drwiny pozostawiły trwałe ślad w umyśle Giedroycia, jeżeli w *Autobiografii na cztery ręce* twierdził, że nie bardzo wierzyłem w sowieckie łagry i że byłem łagodny wobec stalinizmu”. Tymczasem o łagrach, jak pisze, dowiedział się dużo dzięki lekturom podczas swojego pierwszego pobytu w Stanach Zjednoczonych, jeszcze zanim ukazał się *Archipelag GUŁag* Sołżenicyna. Ubolewa, że „*Autobiografia na cztery ręce* jest tak ważnym dokumentem, że powinienem być po jej ukazaniu się to sprostować. No i tak jeszcze jedno »powinienem być« – zaniechane”.

Powiada dalej: „To, co wypisywano o mnie w Londynie po moim wybraniu emigracji, było z pewnością obrzydliwe i głupie, ale muszę uznać pewne racje moich przeciwników. Nie tylko rozwścieczyłem ich publikując nierozsądny artykuł *Nie* w »Kulturze«, ale atmosfera »zimnej wojny« usprawiedliwiała demonizowanie wszelkich związków z komunistyczną Polską. Przecie kiedy zjawiłem się w Warszawie przed Bożym Narodzeniem 1950 roku, warszawska kawiarnia zastanawiała się, czy jestem idiotą, czy mogę sobie pozwolić na taki przyjazd, bo mam potężne powiązania ze służbami specjalnymi. Niestety okazało się, że byłem tylko idiotą”.

W tym rozrachunku zastanawia zmiana hierarchii oraz pominięcie bardzo ważnego wątku: dlaczego Miłosz uważa swój artykuł pt. *Nie*, opublikowany w paryskiej „Kulturze” w lutym 1951 roku, za „nierozsądny”? Bo nie przewidział wówczas ataków niektórych środowisk emigracyjnych? A przecież właśnie tam, wpadając w ton niemal historyczny, pisał, że jego decyzja pozostania na Zachodzie jest rodzajem artystycznego samobójstwa, stanowi bowiem odcięcie się od czytelników krajowych, jedynych, u których mógł znaleźć uznanie. Nie liczył na odbiorców emigracyjnych, wiedząc, że ich upodobania estetyczne są w znacznej mierze skostniałe, ukształtowane głównie przez „Wiadomości Literackie”, a następnie „Wiadomości” londyńskie. Mylił się, bo znalazł jednak entuzjastów w wąskim kręgu czytelników paryskiej „Kultury”, a później u czytelników krajowych. Musiało jednak minąć wiele lat, bo częściowy rozgłos przyniosły mu dopiero wydania w „drugim obiegu” w latach siedemdziesiątych. Powstaje jednak pytanie: dlaczego ten tak ważny motyw niechęci do emigrowania, nawet za cenę, trudnej moralnie do usprawiedliwienia, pracy w służbie dyplomatycznej Polski Ludowej, tutaj pominął? Po latach, po zdobyciu międzynarodowej sławy ten motyw stracił dla niego na znaczeniu?

Cóż złego w tym, że się publikuje wybór poezji polskiej we własnym przekładzie na angielski? Skąd potrzeba samousprawiedliwienia? „Gombrowicz – przypomina Miłosz – był człowiekiem bardzo rozumnym i jego opinii o szkodliwości układania antologii nie można lekceważyć”. Owa szkodliwość według autora *Ferdydurke* stąd się brała, że przekłady zabierały cenny czas, który winien być przeznaczony na zajęcia intelektualnie bardziej istotne, mówiąc wprost: była to zdrada powołania. Miłosz wyjaśnia, że pragnął „pochwalić się polskimi poetami przed światem”, a swoją antologię *Postwar Polish Poetry* z 1965 roku przygotowywał we współpracy ze studentami. Następnie, drobiazgowo i pedantycznie nicując swoje ukryte motywy, dokonuje swego rodzaju bardzo ciekawej autopsychanalizy: „Tutaj jednak powstaje jakaś niestosowność, która wtedy nie była oczywista, a jednak gdzieś tam tkwiła w jakimś zakątku mojej świadomości. Bo zważywszy. Przecież uważałem siebie za znacznego polskiego poetę o bogatym już dorobku, o czym w Ameryce nikt nie wiedział. A tutaj raptem występuję jako tłumacz innych poetów, czyli jako szlachetny ich propagator. Dla tych nielicznych świadomych mojej rangi, altruista, dla innych – pokorny i niższy od tych, których tłumaczę. Szlachetne motywy zwykle są nieco podejrzane i nie jestem pewien, czy nie występowałem jako tłumacz dlatego, że byłem pewny siebie i mogłem sobie na altruizm pozwolić”.

W tym miejscu powraca do swoich stosunków z Herbertem. Pisze, że był wściekły, gdy na wieczorach autorskich przedstawiano go jako tłumacza Herberta, gdy tymczasem między nimi była duża różnica wieku, zaś autora *Pana Cogito* Miłosz uznawał za swego ucznia i protegowanego. Dzięki rozgłosowi, jaki w Ameryce znalazła antologia, także Herbert stał się znanym nazwiskiem w amerykańskich kołach literackich. Jak powiada Miłosz: „Występowałem jako dobry skaut, który robi dobre uczynki, na przykład musi przeprowadzić staruszkę na drugą stronę ulicy i nie spodziewa się, że staruszka zacznie nagle kopać i gryźć. I nie wykluczajmy wcale możliwości poniżania kogoś mimo woli, z powodu własnego poczucia wyższości, połączonego z przekonaniem o własnej szlachetnej naturze”. Samokrytycznie dodaje: „Muszę przyznać, że w naszych osobistych stosunkach nie byłem bez winy, dając upust moim ironicznym sądom o Polsce”. To stało się, jak wiadomo, przyczyną ostrego starcia pomiędzy przyjaciółmi, szczególnie na przyjęciu u Carpenterów w 1968 roku. Jak przypomina Miłosz, kiedy Herbert „upił się i wściekle mi wymyślał, bez żadnej prowokacji z mojej strony, byłem wstrząśnięty”. Nie bacząc jednak na to, wydał tom jego wierszy *Selected Poems* w przekładzie własnym i Petera Scotta, torując Herbertowi drogę do amerykańskiego rozgłosu.

Stosunki z przyjacielem najwyraźniej nie dają mu spokoju, drażny więc je dalej: „Czym można wytłumaczyć moje dalsze postępowanie wobec Herberta? Szlachetnością mojej natury, która przechodzi do porządku nad znie wagami, ponieważ polską poezję tak wysoko ceni, a Herbert jest jej ozdobą? Czy też pychą. Bo co mi szkodzi jego tak promować, przecie równy mnie nie jest”. Ważne było także i to, że nie był, jak pisze, świadom sukcesów Herberta w Polsce oraz w Niemczech i nie wiedział o jego kandydowaniu do Nagrody Nobla. Przypomina o zdarzeniu, „które potwierdza Gombrowiczowskie przestrogi”. Kiedy w latach osiemdziesiątych Jerzy Kosiński ustanowił w Nowym Jorku swoją nagrodę w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów dla mniej znanego, ale zasługującego na rozgłos pisarza, Miłosz, słysząc o finansowych kłopotach Herberta, poparł jego kandydaturę. Dodając: „Nie pomyślawszy, że to co robię, jest typowym aktem pobłażliwego patronowania, bo tu laureat Nobla daje wsparcie mało znanemu poecie”. Szlachetny i bezinteresowny gest przyjaźni odwrócił się w swoje przeciwieństwo. Herbert poczuł się bardzo dotknięty i wysłał Miłoszowi słynną kartkę przedstawiającą nogę słonia, a pod nią kurczątka, z dopiskiem na odwrotnej stronie: „Nie depcz”. „I czyż mogłem inaczej – konstataje Miłosz – interpretować wiersz Herberta *Chodasiewicz* niż jako zamierzone i planowane ukąszenie poniżonego?”

Wywodzi dalej, jak gdyby stale polemizując z Gombrowiczem: „Antologie dają powodów do różnych gniewów, temu wyznaczają za dużo miejsca, innemu za mało i zawsze jest podejrzenie, że redaktor antologii piecze jakąś swoją pieczeń, na przykład dyskretnie umieszczając swoje płody. A jednak muszę wystąpić w mojej obronie, bo przecie w znacznym stopniu były one wyrazem moich oczarowań”. Tymi oczarowaniami były – poza poezją Oskara Miłosza – wiersze Iwaszkiewicza, Białoszewskiego, Różewicza, Wata, Świrszczyńskiej i Herberta. Nie bez słusznej dumy Miłosz przypomina, że antologia *Postwar Polish Poetry* znalazła w Stanach duże uznanie i przyczyniła się do powstania w języku angielskim pojęcia „polskiej szkoły poezji”. Natomiast *Historia literatury polskiej*, jak wyjaśnia, „niestosowny czyn według Gombrowicza”, to „notatki do moich wykładów i wynik mojej rozpaczy jako profesora, bo o czym tu mówić studentom, jeżeli żadnych dzieł tłumaczonych na angielski nie ma”.

Uderzające, że poza ostatnim „błędem”, wszystkie inne przybierały formę zarzutów ze strony krytyków Miłosza. Czyżby zatem rachunek sumienia poety był sposobem samousprawiedliwienia? Może Miłosz w obiektywny i sprawiedliwy osąd swoich uczynków w ogóle nie wierzy? Ale – pozostawiając ten osąd innym – dokonuje próby wyjaśnienia nieraz nieznanych okoliczności, w jakich podejmował życiowe decyzje oraz oceny tych decyzji, a także ich daleko sięgających konsekwencji z perspektywy dziesiątków lat? Postawiony samemu sobie zarzut: „nie powinienem był”, zamienia się w pytania: dlaczego to wówczas zrobiłem? Jakie były mojej decyzji ukryte powody?

Zakończenie tego dosyć osobliwego rozrachunku brzmi zaskakująco. Miłosz powiada: „Rozważając różne niekonieczności czy błędy, nie mam zamiaru przyznawać się głośno do wszystkich. Nad jednym się tylko zatrzymam. »Nie powinienem był studiować prawa«. Co prawda z niektórych przedmiotów na tym wydziale wykładanych skorzystałem, ale na ogół dyplom magistra zupełnie mi się nie przydał. Wybór był moim zdaniem wynikiem konserwatyzmu wileńskiego, który był patriarchalny i antyfeministyczny. Niektóre studia uchodziły za męskie, inne niegodne mężczyzny, jak na przykład wydział matrymonialny, czyli polonistyka”.

Nie ukrywa, że zawstydzą go „uleganie presji środowiska i mój obraz samego siebie jako *macho*”, tym bardziej że uznawał zawód nauczyciela za mniej prestiżowy, za co go spotkała kara, skoro musiał wiele lat wykładać, i to po angielsku. Patrząc wstecz, dochodzi do wniosku, że winien był wybrać filologię klasyczną – „wtedy może wsławiłbym się przekładami klasyków greckich i łacińskich, co nie naraziłoby mnie na działania uboczne wobec mojej poezji”.

Zdradza, że studiując prawo, nie miał wyraźnych planów zawodowych, choć przez pewien czas starał się o aplikaturę adwokacką. Zupełnie coś innego okazało się ważniejsze. Wspomina: „Moje koleżanki na prawie były na ogół inne niż na polonistyce, bo prawo uchodziło za znacznie trudniejsze, czyli zabierały się do tego osoby bardziej ambitne. Było ich mało, ale rzeczywiście bardzo inteligentnych”. W tym miejscu czyni bardzo ważne osobiste wyznaczenie: „Jedną z nich była moja pierwsza miłość Jadwiga, o której nigdy nie pisałem, choć niekiedy występuje w moich utworach pod innym imieniem. Była to zresztą sprawa trwająca całe moje życie, bo kiedy odnalazłem jej adres w Polsce w latach 80., prowadziliśmy ze sobą obszerną korespondencję i jej sądów literackich bynajmniej nie lekceważyłem. Przywiązana do Wilna, wygnana stamtąd i jakby stale tam duchowo mieszkająca była dla mnie, mieszkańca Kalifornii, łącznikiem z tym miastem [...]. Czyli, jak już mówiłem, nasze wybory powodują następstwa, których nie da się jednolicie ocenić. Gdyby nie wybór prawa, może bym tej koleżanki nie spotkał, a było to następstwo o dużym dla mnie znaczeniu, które łatwo byłoby rozdmuchać do romantycznych wymiarów i ułożyć romans o wielkiej miłości młodego poety”.

*

Pośmiertna gra poety z czytelnikiem trwa zatem do końca. Nawet tutaj, w tekście pozostawionym w szufladzie, Miłosz nie odkrywa sekretu, kim była jego pierwsza miłość. Dopiero jego biograf, Andrzej Franaszek, odsłonił tajemnicę związku poety z Jadwigą Waszkiewiczówną. I nie był to bynajmniej romans na wzór romantyczny, skoro poeta swoją ukochaną porzucił i zrezygnował z małżeństwa, tyleż emocjonalnie niedojrzały, niegotowy na ustabilizowane życie, ile słuchając podszeptów poetyckiego *daimoniona*. Do końca życia, dręczony poczuciem winy, roztrząsał inny wariant swojej biografii, pytając, co by się z nim stało, gdyby się z Jadwigą ożenił i pozostał na Litwie. Przeżyłby okupację sowiecką i hitlerowską? Podzieliłby los setek tysięcy zesłanych do Gułagu? Stałby się obywatelem ZSRR? Jakie inne byłyby jeszcze, niezależnie od własnych decyzji, obroty jego losu – w sposób nieunikniony wplątanego w koło dwudziestowiecznej historii? Tak postawione pytania mogłyby stanowić swego rodzaju odpowiedź na zarzut: „nie powinienem był”. U schyłku życia tracą na swojej ostrości. Roztrząsanie okoliczności pojedynczych, osobistych decyzji zamienia się niepostrzeżenie w melancholijną medytację nad ludzką kondycją.

*

Miłosz pisał o Jadwidze Waszkiewiczównie, nie tylko używając poetyckich przebrań. Najwyraźniej to jej postać pojawia się w poemacie *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*, w konstelacji niesłychanie ważnej, bo zawierającej hipotetyczną wersję własnego życia poety – wersję (nie)możliwą do spełnienia:

Zapolować na ponowie. Pierwsza gwiazda blisko.
Otupałem buty w sieni, wchodzę z chłodu.
Stół do kutii nakryty, śliżyki i syta.
Już wie, jak mnie dogodzić, droga Jadwisia.

Liryczny obrazek Wigilii laudańskiego szlachcica – z całym rytuałem, stołem zastawionym lokalnymi potrawami – jest tyleż pełen intymnego ciepła, co z rozmysłem anachroniczny, celowo i całkowicie oderwany od brutalnych historycznych realiów XX wieku. One zaś skłaniają do ponawiania dotkliwego pytania, co kryje się w cieniu pojedynczych wyborów, których skutków nie sposób przewidzieć, a które, co gorsza, mogą wniwecz obrócić najlepsze intencje? Co lub kto pisze kapryśny scenariusz człowieczego losu: Fatum? Konieczność? Kod genetyczny? Złudzenie, że można swoim życiem pokierować? Diabeł, wierny sługa bezlitosnego przyrodniczego porządku? A może po prostu ślepy przypadek? Jakkolwiek by tę ukrytą siłę nazwać, jest niewidoczna, wszechpotężna, obojętna na ludzkie oczekiwania i złudzenia, neutralna wobec wszelkich systemów wartości. Uchylająca czy nawet podważająca wiarę w ostateczne wyrównanie rachunków moralnych po śmierci. Pisał przecież dalej:

Gdyby nie posłano mnie do nauk w Wilnie,
Co by to pomogło? Nic a nic.
I tak nie złożono by mnie w Świętobrości,
W Šventybrastis, u Świętego Brodu,
Gdzie pochowani są moi przodkowie
[...]
Pisane było, tajnym pismem genów.
Albo diabeł znad Niewiaży, niedochrzczony,
Ze mną szlachcicem grał w szachy, plenipotent
Blżej nieznanym tellurycznym mocy.

Może właśnie dlatego powątpiewał tyleż w skuteczność osądów, ile w możliwość roztrząsania następstw ludzkich uczynków na wadze dobra i zła? Owe dalekosiężne następstwa, co wiedział również z własnego doświadczenia, niejednokrotnie, gwałtownie i kapryśnie, przerywały łańcuch przyczynowo-skutkowy, plątały jego porządek, gmatwały naiwnie logiczne wyjaśnienie, obracały dobre w złe – i na odwrót. Jak się zatem przeciwstawić tej tajemniczej, miażdżącej sile? Być może – do takiego wniosku zdaje się dochodzić pod koniec życia – jedynie próbą opisaną okoliczności podejmowanych wyborów – zawsze chwiejnych, niejasnych, trudnych do zrozumienia i jednoznacznego ujęcia – nawet po długim życiu. Ale także – pieczołowicie chronioną i kulturowaną, wbrew unicestwiającej mocy przemijania, czułą pamięcią o najbliższych osobach.

Dlatego w wierszu *W mieście Salem* z tomu *Nieobjęta ziemia* z nutą zadumy dodawał:

Uparte sny przez całe lata,
Jeżeli to ma być pociechą
J.W. dla ciebie. I przepada,
Co mogło być, i milknie echo.
Na zawsze była ta utrata.

CZESŁAW MIŁOSZ

Listy do Krystyny i Stefana Chwinów

Czesław Miłosz
878 Grouse Peak Blvd.
Berkeley, California 94708

17 marca 1996

Szanowny i Drogi Panie,

Jest chyba rzecz godziwą nie przemilczać uczuć wdzięczności czytelnika, bo wiem jak bardzo każdy autor potrzebuje moralnego poparcia. Przeczytałem "Hanemana" i myślę, że napisał Pan dobrą, wzruszającą książkę. Chciałbym, żeby takie książki pisano o Wilnie, ale nie zrobią tego tamtejsi Polacy, którzy uważają Litwinów za chwilowych okupantów, a za "poważne" państwa tylko Rosję albo Polskę. Gdańsk dzięki Panu bardzo się zbliżył do mnie ale napewno i do wielu innych czytających. Bardziej niż przez tę powieść o kupowaniu grobów u Gunthera Grassa. Dzięki tedy i najlepsze pozdrowienia Panu i pani Krystynie.



17 marca 1996

Szanowny i Drogi Panie,

Jest chyba rzeczą godziwą nie przemilczać uczuć wdzięczności czytelnika, bo wiem jak bardzo każdy autor potrzebuje moralnego poparcia. Przeczytałem *Hanemana* i myślę, że napisał Pan dobrą, wzruszającą książkę. Chciałbym, żeby takie książki pisano o Wilnie, ale nie zrobią tego tamtejsi Polacy, którzy uważają Litwinów za chwilowych okupantów, a za „poważne” państwa tylko Rosję albo Polskę. Gdańsk dzięki Panu bardzo się zbliżył do mnie ale napewno i do wielu innych czytających. Bardziej niż przez tę powieść o kupowaniu grobów u Günthera Grassa. Dzięki tedy i najlepsze pozdrowienia Panu i pani Krystynie.

Czesław Miłosz

Czesław
Miłosz

ul. Bogusławskiego 6/8a
01-084 Kraków, Polska
tel. (012) 429 12 10

Krystyna i Stefan Chwinowie

Kraków, 23 listopada 1998

Szanowni Państwo,

Wiele moich podziękowań za przygotowanie mojej wizyty w Gdańsku. Oczywiście atrakcyjnymi osobami w tym mieście są dla mnie Krystyna i Stefan Chwinowie. Ale nie tracę nadziei, że jeszcze kiedyś spotkamy się na jakiejś gruntownej rozmowie. Zresztą, jak się zdaje, Pan Stefan zjawi się wkrótce w Krakowie.

Składam, oprócz podziękowań, najlepsze życzenia pomyślnej pracy nad „Tytułem”.


Czesław Miłosz

Kraków, 23 listopada 1998

Szanowni Państwo

Wiele moich podziękowań za przygotowanie mojej wizyty w Gdańsku. Oczywiście atrakcyjnymi osobami w tym mieście są dla mnie Krystyna i Stefan Chwinowie. Ale nie tracę nadziei, że jeszcze kiedyś spotkamy się na jakiejś gruntownej rozmowie. Zresztą, jak się zdaje, Pan Stefan zjawi się wkrótce w Krakowie.

Składam, oprócz podziękowań, najlepsze życzenia pomyślnej pracy nad „Tytułem”.

Czesław Miłosz

Czesław Miłosz
978 Grizzly Peak Blvd.
Berkeley, California 94708

27 kwietnia 1999

W Pani Krystyna Chwin
Ul. Amundsena 5 C 31
288 Gdańsk

Droga Pani Krystyno,

Przepraszam za zwłokę, która też z tego wynika, że zapisałem Państwa adres ale tak że nie mogłem go odczytać. Poprawiłem błędy transkrypcji. Nie mam nic przeciwko publikowaniu, ale prosiłbym o skromniejsze ujęcie, bez tego nadmiaru fotografii, który przypomina moje okropne przygody w Sopocie z winy tego dziennikarza Kassa.

Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia dla obojga państwa.



27 kwietnia 1999

Droga Pani Krystyno,

Przepraszam za zwłokę, która też z tego wynika, że zapisałem Państwa adres ale tak że nie mogłem go odczytać. Poprawiłem błędy transkrypcji. Nie mam nic przeciwko publikowaniu, ale prosiłbym o skromniejsze ujęcie, bez tego nadmiaru fotografii, który przypomina moje okropne przygody w Sopocie z winy tego dziennikarza Kassa.

Łączę najserdeczniejsze pozdrowienia dla obojga państwa.

Czesław Miłosz

**Czesław
Miłosz**

ul. Bogusławskiego 6/5a
31-084 Kraków, Polska
tel. (48 12) 425 12 10

Krystyna i Stefan Chwirowsie

Kraków, 29 grudnia 2003

Drodzy Państwo,

Sprawiliście mi przyjemność przysyłając życzenia świąteczne i noworoczne. Myślę o Was z szacunkiem i przyjaźnią. Pamiętam nasze spotkania i cenię to, co wychodzi spod Waszego pióra. Jesteście dla mnie oboje jedną z jaśniejszych stron naszego polskiego życia.

Oby ten Rok Nowy był dla Was pomyślny.

Czesław Miłosz

Kraków, 29 grudnia 2003

Drodzy Państwo,

Sprawiliście mi przyjemność przysyłając życzenia świąteczne i noworoczne. Myślę o Was z szacunkiem i przyjaźnią. Pamiętam nasze spotkania i cenię to, co wychodzi spod Waszego pióra. Jesteście dla mnie oboje jedną z jaśniejszych stron naszego polskiego życia.

Oby ten Rok Nowy był dla Was pomyślny.

Czesław Miłosz

Noty

Do listu z dnia 17 marca 1996:

Żywe przyjęcie powieści Stefana *Hanemann*, zarówno przez krytykę, jak i publiczność literacką w Polsce i za granicą, było dla nas wielkim zaskoczeniem, bośmy nie byli pewni, czy opisana w *Hanemannie* historia niemieckiego doktora z miasta Danzig kogokolwiek w 1995 roku zainteresuje. Stało się jednak inaczej. Do naszego domowego archiwum trafiło wiele listów od krytyków, pisarzy, zwykłych czytelników. Ale najbardziej zaskoczył nas list od Czesława Miłosza. To szczególnie cenna dla nas pamiątka.

Do listu z dnia 23 listopada 1998:

Październik 1998 roku. Na telefonie pali się czerwona lampka. To sekretarka automatyczna daje nam znać, że mamy wiadomość. Podnoszę słuchawkę. Słyszę głos Czesława Miłosza: – Pani Krystyno, tylko żadnych ludzi, żadnych ludzi... – Za kilka dni ma przyjechać do Gdańska.

W tym czasie wiele telefonów do nas – od polityków, z kurii, instytucji, różnych osób – z prośbą o osobiste spotkanie z Miłoszem, zgodę na obiad, kolację lub choćby krótką rozmowę...

Żołnierz straży granicznej, dowiedziawszy się, że przyszlismy na lotnisko po to, by powitać Czesława Miłosza z żoną Carol, wyraża zgodę na powitanie przy schodkach samolotu na samej płycie lotniska. Boeing ląduje z półgodzinnym opóźnieniem. Miłosz ukazuje się w drzwiach samolotu: skórzana szyprówka, brązowy szalik, wiatrówka, laska ze słoniową rączką. Przyjmuje kwiaty, ale nie pozwala, by Stefan wziął jego teczkę. Śmieje się: – Podobno w Polsce ostatnio tydzień dobroci dla zwierząt. Jakiś piesek przydrożny dostał nagrodę. – Przy odprawie paszportowej dorzucą: – Herling-Grudziński protest napisał. Czytał pan? – zwraca się do Stefana. – Nie czytałem – Stefan z trudem powstrzymuje śmiech. – Przecież gdyby nie jego głos, który przeważył w głosowaniu jury, Miłosz nie dostałby Nike, bo były spory, czy dać jemu, czy Zygmuntovi Kubiakowi za *Mitologię*. Ale po co o tym gadać? – Znacie się państwo z Herlingiem? – pytam Miłosza. Miłosz: – Pewnie, że się znamy. Ale on mi zawsze jakąś łatkę przyczepia. Tak było zawsze.

Jedziemy do hotelu „Hanza” czarną limuzyną, której użyczył nam wojewoda pomorski. Obejrzelismy wcześniej najlepsze apartamenty. Wybraliśmy ten, który nam się najbardziej podobał, prezydencki, na pierwszym piętrze,

z piękną sypialnią, salonem i dużą łazienką. Na stole ma być bukiet kwiatów i misa z owocami. Właściciel hotelu sponsoruje pobyt Państwa Miłoszów. Odprowadzamy ich tylko do windy, są zmęczeni podróżą.

W Gdańsku Miłosz ma trzy spotkania. Największe ze studentami na Uniwersytecie – tłum, nie mieszczą się wszyscy w auli. Na korytarzach telebimy. Ludzie stoją, patrzą. Gościa witają rektor i prorektor. Siadamy za długim stołem. Wazon, biało-czerwone goździki. Prowadzę spotkanie. Pytania do Miłozza podawane są na kartkach (kartki z pytaniami mam w naszym archiwum do dzisiaj). Odczytuję Miłoszowi kolejne – przyzwyczał się do brzmienia mojego głosu, a ja staram się czytać wyraźnie. Stefan niektóre pytania odkłada na bok. Bo trafiają się paskudne. Na przykład: Czy Pan jest Litwin, czy Polak? Miłosz odpowiada spokojnie, czasem żartuje, ma dobry kontakt z salą. Kiedy jednak mówi, że najważniejszą sprawą najbliższego czasu będzie spotkanie cywilizacji zachodniej z islamem, sala ryczy ze śmiechu, traktując to jako dobry żart. Ale Miłosz – poważny, wcale się tym nie peszy. Mówi z przekonaniem, argumentuje, wyjaśnia. Nikt jeszcze nie wie, że za jakiś czas będzie atak na World Trade Center.

Po zakończeniu spotkania zostajemy zaproszeni na obiad. Mamy pojechać kilkoma samochodami, chociaż miejsce biesiady niedaleko, po drugiej stronie ulicy, która biegnie koło Uniwersytetu. Miłosz prosi mnie gestem, abym usiadła w samochodzie obok niego. Przy wsiadaniu jeden z dygnitarzy uniwersyteckich odpycha mnie, a właściwie wypycha z auta, tak że boli mnie łokieć, bo chce usiąść koło Miłosza jako wyłączny gospodarz. Jesteśmy wzburzeni. – Co to za typ? – myślę – Miłosz przyjechał na nasze prywatne zaproszenie, gdyby nie moje rozmowy telefoniczne z Berkeley, nie wiadomo, czy by zechciał, bo mu na Uniwersytet nagadano różnych rzeczy, zorganizowaliśmy wszystko, łącznie z plakatami... Waham się, czy nie zostawić tego wszystkiego i nie wrócić do domu.

Prorektor C. prosi, żebyśmy tego nie robili. Ale Miłosz wyraźnie życzy sobie, abym była w aucie obok niego. Potem, przy obiedzie, na który nie przychodzi obrażony dygnitarz, prorektor dziękuje nam za organizację pobytu i spotkania z Miłoszem na Uniwersytecie i w Gdańsku.

Po obiedzie zbiorowa fotografia z Gościem. Kierowca odwozi go do hotelu „Hanza” limuzyną wojewody. Po powrocie do domu ogarnia nas poczucie niesmaku. Obiecujemy sobie, że już nigdy więcej nie zaangażujemy się w podobne przedsięwzięcie. Żadnego bezinteresownego organizowania czegośkolwiek?

A w następnych dniach spotkanie z Czesławem Miłoszem w Nadbałtyckim Centrum Kultury – masa czytelników, pytania, prawdziwy entuzjazm, podpisywanie książek i zdumiewający popis miejscowego poety, który na cześć Miłosza czyta kilkanaście strof swojego tasiemcowatego peanu. Miłosz rozbawiony, wcale mu nie przeszkadza, bije nawet brawo. Potem czyta swoje wiersze, opatrując każdy swoim komentarzem. Kolejnego dnia spotkanie z dziennikarzami trójmiejskich mediów w hotelu na Długim Pobrzeżu. Miłosz wygląda na zadowolonego.

W programie mamy też rejs z grupą przyjaciół żaglowcem „Bonawentura” po Zatoce. Płynie z nami Carol Thigpen – Miłosz macha nam z okna hotelu, kiedy przepływamy obok. Nie rezygnuje z godzin pracy – to ważniejsze!

Wieczorem spotkanie w hotelowej restauracji z widokiem na Motławę i Wyspę Spichrzów. Miłosz zaprosił nas na wspólną kolację z Marszałkiem Sejmu Maciejem Płażyńskim, którego szanuje i ceni, wraz z małżonką. Jest też Carol i my. To jeden z piękniejszych wieczorów: rozmowy, żarty, wino – pięknie spędzony czas, chociaż rozmawiamy o polskiej polityce, krzyżu Świtonia na oświęcimskim Żwirowisku i o tym, co dalej będzie z Polską!

Potem otrzymujemy list z podziękowaniami.

Do listu z dnia 27 kwietnia 1999:

List przychodzi wraz z autoryzacją zapisu gdańskich spotkań. Wzrusza nas i niepokoi. Pisany dużą czcionką, większą niż zawsze, a zapis zawiera błędy. Wiem, co to znaczy. Ale też radość – mam zgodę na publikację gdańskich rozmów i spotkań. Przypominam sobie, czego dotyczy zastrzeżenie: „tylko bez tego nadmiaru fotografii”. Nie wiem dlaczego, ale Miłosz nie jest zadowolony z książki *Aj, moi dawno umarli* przygotowanej w Sopocie, w której znalazło się wiele jego zdjęć. Przecież fotografie są szczególnie cenne! Ale on nie chce! Po chwili przypominam sobie jego osiemdziesiąte urodziny, wielką fetę zorganizowaną w Sopocie w Biurze Wystaw Artystycznych przy sopockim moło, gdzie – jak mówił Miłosz bez ustalenia z nim – podczas spotkania wjechał na salę wielki, lukrowany tort z palącymi się świeczkami, które on musiał gasić na oczach zgromadzonej publiczności. Dla uczestników tego zdarzenia – piękna chwila, ale jego wcale to nie ucieszyło. Był umówiony na uroczystość w Krakowie, bo chciał zacząć świętowanie urodzin dopiero następnego dnia, z Szymborską i znajomymi krakowiakami, a tu taka niespodzianka. Po paru chwilach wierni czytelnicy łapczywie rzucili się na tort. Świeczki zostały rozrzucone na

podłódze. Pozbierałam te, które się dało. Czasem niektóre z nich zapalałam później na naszych rodzinnych urodzinowych tortach... Te, które zostały, do dzisiaj mam w domowym archiwum.

Do listu z dnia 29 grudnia 2003:

Czesław Miłosz interesował się tym, co piszą inni, miał zwyczaj pisania listów do autorów, komentował podczas rozmów to, co napisali. Kiedy ukazały się *Kartki z dziennika*, kilka osób telefonowało do nas z wyrzutem, jak Stefan mógł tak napisać o Miłoszu, Mistrz na pewno się obrazi, będzie zasmucony, może nawet rozboli go serce... Kiedy byliśmy w Krakowie, parę osób, obrażonych, nie odpowiedziało nam na „dzień dobry”, gdyśmy się mijali na ulicy. – A jak myślicie, dlaczego? – usłyszeliśmy od kogoś. – To za te *Kartki!*

Ale kiedy na początku 2004 roku przyszedł list, sprawił nam ogromną radość. Mistrz nie był, jak widać, ani obrażony, ani zmartwiony. Przeciwnie! Znowu zaczęły się telefony od znajomych: – Co u was słychać? Kiedy będziecie w Krakowie? – A podczas kolejnego pobytu w Krakowie zaproszenia na kawę do Grand Hotelu, serdeczne uściski dłoni, gadanie. Dużo później dowiedzieliśmy się, że ktoś przyniósł mu *Kartki*... – może nawet wysłałam je ja? Prosił, aby mu je czytać – to mu czytali: i pani Agnieszka, i profesor Aleksander. No i potem ten list...

Krystyna Chwin-Lars

STEFAN CHWIN

Wiara, nadzieja i Miłosz

Kiepsko coś dzisiaj z Miłoszem... Świat się zmienił i to, co jego dręczyło, nas już przestało dręczyć? Glebą rodzajną, na której Miłosz rozkwitał, był agnostyczny inteligent, który czytał „Tygodnik Powszechny”, Kafkę, Gombrowicza, nie cierpiał komuchów i endeków, lubił mit śródziemnomorski, złożone ikony prawosławne oraz chętnie zaglądał w zakamarki religijności nieortodoksyjnej. Ale teraz? Inteligent agnostyczny z wolną wymiera, choć ozdabiał pejzaż polski dość pięknie. Cała inteligencja podzieliła się, jakby ją ktoś toporem na pół rozrząbał. Część nieortodoksyjnych powędrowała do Eklezji i pod sztandarem „Frondy” albo Toruńskiego Radia umacnia się w „religii prawdziwej”, brzydząc się Europą zgniłej i tęczowej. Część zaś ze wstrętem się odwraca od religii toruńskiej, ale wcale „Tygodnika Powszechnego” nie czyta, bo wierzeniami religijnymi sobie głowy nie zawraca. Głowy się usztywniają. Jedni w prząsnym katolicyzmie gustują, drudzy się tumanią mistycyzmami, a trzeci uważają, że ostatniej reduty liberalno-lewicowej trzeba bronić do utraty tchu.

I gdzie tu miejsce dla Miłosza? Jego glebą żyzną były bagnisto-grząskie rejony herezji, a tu mi niedawno ktoś opowiedział, że kiedy wielki Leszek Kołakowski wywiesił na drzwiach sali Uniwersytetu Paryskiego temat swoich wykładów *Dzieje herezji w średniowieczu*, żaden student paryski mu się na te smakołyki nie zapisał. A u nas, w Polsce dzisiejszej? O herezjach rozmawiać – z kim? O ich uroku dyskretno-jadowitym, filozoficzno-literacko-malarskim, co za paliwo może służyć poetyckiej myśli? Jedni uważają, że to mętne brednie, na które szkoda czasu, inni zaś głośno trąbią, że wiary prawdziwej bronić trzeba przed miazmatami przekłętą Zachodu, a nie grzebać w podejrzanych subtelnościach nie-ortodoksji. Miłosz tu nikomu nie pasuje.

Takie kłopoty miał już zresztą w młodości i w wieku dojrzałym, kiedy mu choćby Różewicz policzek wymierzył przykry, publicznie nazywając jego wiersze „ambajami od Swedenborga”, czego on sam nie zapomniał nigdy, więc Miśtrzowi Tadeuszowi nawet w roku 2000 zadedykował pouczający wiersz *Unde malum*, w którym zbeształ go jak uczniaka.

Czytali Miłosza ci, co sympatyzowali z ideą Polski Jagiellońskiej, a wyobraźnię swoją żywili mitem duchowej suwerenności Wielkiego Księstwa Litewskiego,

dziarskich chłopców od Piaseckiego nie lubili, na buddyzm przychylnie patrzyli oczami Thomasa Mertona, ale ich liczba dzisiaj topnieje w obliczu ofensywy tych, co kochają tylko „prawdziwych Polaków”, a nie jakieś wielonarodowe Kresy. Żyzna gleba, na której poezja Miłosza rozkwitała, wysycha już, dlatego nie wszystkie serca odbrzmiewają żywym tętnem jego wierszy?

A fundamenty, na których budował? Kto dziś przejmuje się teorią Darwina, która Miłoszowi spędzała sen z oczu – od dziecka? Dzisiaj dla liberałów oświeconych Darwin to oczywistość. Dla konserwy chrześcijańskiej to śmieć do wyrzucenia z programów szkolnych. Gdzież by tam nad nim poważnie rozmyślać! A dla Miłosza to był problem palący. Z jednej strony teorię ewolucji uważał za prawdziwą, z drugiej miał ją za moralną okropność – i nie wiedział, jak z tego wybrnąć. Prawdziwy kłopot! A dzisiaj? Dzisiaj powrót do Eklezji mężczyzn z pokolenia „BruLionu”, co mają Darwina za nic, nie jest żadnym problemem. Wręcz przeciwnie: Darwina kreacjonizmem świętym wypychają za drzwi, wmawiając sobie, że tak odnoszą duchowe zwycięstwo. Do tego guru duchowego zrobili sobie z Carla Schmitta, czołowego prawnika Trzeciej Rzeszy, który – cudowna sprawa – napisał *Teologię polityczną*.

I gdzież tu Miłosz? On martwił się, że wyobraźnia religijna słabnie, bo obraz świata, co nam średniowiecze dało – krzepiący i mocny – rozleciał się pod uderzeniami Oświecenia, więc pewnie młodym prawnikom powinien się podobać. Cóż, jednak do Eklezji wracał opornie i jakby pod włos. Zamiast pisać wiersze w stylu nawróconego Brandstaettera czy niezłomnego Wojciecha Bąka, zwracał się o pomoc w duchowym kryzysie do takich religijno-artystycznych dziwadeł jak Blake (co wymyślił własną teologię!), Oskar Miłosz (pół Francuz, pół Litwin, co Biblię własną układał) czy Swedenborg, który majaczył coś mistycznie o Niebie i Piekło. Toż w obliczu współczesnej Ziemi Ulro, która go przeraziła pustką duchową, powinien różaniec wezwać na pomoc, a nie takich pomocników sobie szukać, tymczasem on swoimi ścieżkami krętymi do Boga podchodził, podejrzliwie, nieufnie, a nawet z mową oskarżycielską. I to miałyby być wzór dla młodzieży naszej, której trzeba prawniczym młotkiem wbić do głowy parę „słusznych prawd” o Jasnej Górze i Narodzie, co powinny wystarczyć za całą edukację?

Był poetą religijnym, ale czy katolickim? Obrzeża wiary były jego naturalną krainą, gdzie oddychał jak ryba w wodzie, a tu już czasy obrzeży jakby mijają i trzeba się, panie kochany, wyraźnie opowiedzieć po którejś stronie – tak czy nie. Żadnych tam obrzeży! Skończył swoją drogę życiową u stóp Panienki z Lourdes, tak to przedstawił w *Traktacie teologicznym*, ale czy rzeczywiście

dobił do portu, którego szukała jego niespokojna dusza? Nad Złem za mocno rozmyślał, zamiast po prostu jak „uczciwy Polak” nienawidzić całym sercem Niemców i Ruskich? W Złu tajemnicę widział, a nie prostą truciznę z Diabłem w roli głównej? Katolicyzm – szczególnie polski, sielsko-endecki – klątką mu się wydał niewygodną dla duszy, co go w poczucie grzechu wypychało, dlatego pod koniec życia napisał zdumiewający list do Papieża, żeby mu Papież powiedział, czy w swojej poezji nie pobił. W odpowiedzi mógł przeczytać, że my – Święta Eklezja i pan, panie Miłosz – podążamy w podobnym kierunku, co znaczyło, że nie do końca idziemy razem. Katolika stuprocentowego z Miłosza zrobić się nie da, choć byli tacy – i nadal są – co próbowali. Katolicyzm nie lubi nad Złem rozmyślać takim trybem, jak on rozmyślał. Zło woli piętnować, walczyć z nim, nazywać ostro, po imieniu, bo żadnych wątpliwości nie ma, czym jest naprawdę Zło, a on chciał zrozumieć Zło świata, wpisane w samą strukturę istnienia, co go umieszczało poza nawą główną, gdzieś w pobliżu chóru i organów, prawie przy samym wyjściu z katedry, w jakiejś niszy gotycko-współczesnej.

Ale kto dziś chce rozmyślać nad tajemnicą Zła podobnym trybem, skoro ważniejsze jest, jak w takie czy inne Zło wałnąć, niż dzielić teologiczny włos na czworo, czego zresztą nigdy nie zalecała Eklezja? Duch to był niespokojny, obcy światu, gdzie większość ludzi wmawia sobie, że doskonale wie, co to jest Zło, a czyni to tylko po to, by samego siebie umieścić wygodnie po stronie Dobra. On nie miał takiej pewności. Kiedy patrzył na krwawe krajobrazy natury i historii, stawiał w wierszu *Unde malum* cierpkie pytanie: – A więc to wszystko – mówicie – wszystkie te okropności, które od tysięcy lat oglądamy, stworzył „dobry Bozia”?

Nie lubił zachodniego „świata wielu prawd”, natrząsał się z rewolty 1968 roku, która mu przypominała – błędnie – rewolucję 1917 roku, ale przecież tam właśnie, w zachodnim „świecie wielu prawd”, uwił sobie całkiem niezłe gniazdo z widokiem na Golden Gate i zbudował imponujący gmach swojego ducha. Relatywizmu nie lubił, ale to właśnie relatywizm pozwolił mu na drukowanie we Francji podejrzanej *Ziemi Ulro*, z którą w Polsce endecko-międzywojennej miałyby kłopoty. Ale dzisiaj strach przed „światem wielu prawd” rośnie w ludzkich sercach, a trudna umiejętność życia w takim świecie słabnie i wyparowuje, tymczasem jego czytelnikiem, do którego kierował swoje wiersze i eseje, był agnostyczno-chrześcijańsko-lewicowy inteligent, otwarty, poszukujący, zawieszony wśród dogmatów – ale gdzież takich dzisiaj szukać, skoro wszyscy zaczynają kochać światopoglądową twardość? Boga kochał po swojemu, ale

miał też do niego kolosalne pretensje, za co dostałby burę od każdego wika-rego. Chciał się – jak pisał do Jana Błońskiego – znaleźć w jasnogórskim tłumie na papieskich mszach, ale aborcję popierał i nawet z Szymborską poszedł na jakąś krakowską manifę. Kiedyś miał przyjaciela, księdza Sadzika, ale później żaden Sadzik się już nie pojawił. Przełożył część Biblii z wielkim oddaniem, Eklezja jednak nie dała mu *imprimatur*, choć do jego tłumaczeń odniosła się z szacunkiem. Zamiast tego napisał na starość poemat o niewierzącym księdzu, postaci, która go prawdziwie zaciekała, bo skupiała w sobie niepokoje, które jego samego nie opuszczały do końca. – Jak to się właściwie stało – pytał w poemacie *Ksiądz Seweryn* – że chrześcijaństwo europejskie zbudował pyszałek i morderca, cesarz rzymski Konstantyn?

Pytania Iwana Karamazowa dręczyły go zawsze, ale młodzi ludzie – dzisiaj? Albo wzruszają ramionami, gdy ich ktoś zapyta, czy Bóg jest, czy go nie ma, albo – gdy trafią na „nikczemnego ateistę” – biorą się do bicia pod celtyckim znakiem, albo uderzają w toruńskie śpiewy. Ciekawe, jak Miłosza czytają dzisiaj ateści prawdziwi, nieuprzedzeni, rozsądni. Czy dla ich niereligijnego ucha ta poezja dźwięczy, czy głucho milczy. Spod nóg grunt mu wyciągają ci, którzy pogodzili się z nicością, z którą on sam nie mógł się pogodzić. Ileż to hymnów o pięknie świata napisał, podkreślając każde zdanie czarnym atramentem rozpaczy, że wszystko, na co patrzy z zachwytem – szczególnie piękne kobiety – znika bez śladu. Śmierć ludzi i rzeczy... Rozpaczając, że Maryla, Justyna, Xymena, jej podwiązki i kapelusze znikły bez śladu, ratunku szukają w idei apokatastazy – dając materiał dla szyderstw Różewicza? Że niby jak świat się skończy, to wszystko powróci do istnienia w całej chwale swojej pojedynczości, rozświetlone boskimi blaskami. Ale kto dzisiaj wierzy w apokatastazę, czy choćby o niej przez chwilę rozmyśla, poza garstką metafizycznych outsiderów? Ambaje – powiedziałyby pewnie Różewicz.

Świat jest piękny, ale okropny do samego rdzenia – to przeświadczenie zżerało Miłoszowi duszę, bo jako wileński katolik nie mógł sobie poradzić z teodyceą. Ale kto dzisiaj zawraca sobie głowę jakąś teodyceą, skoro byt Boży niepewny czy nawet zupełnie obojętny? Albo – to druga możliwość, nazwijmy toruńska – każde dziecko wie, że Bóg to nasz dobry Tatuś, w co uparcie chcą wierzyć miliony przerażone koronawirusem. Dzisiaj jego poezja – nie wybrane wiersze – przemawia tylko do tych, którzy mają w sercu gnostyckie zranienie? Bez tego ani rusz? Prostoduszni katolicy niczego w nim dla siebie nie znajdują, chyba że będą się karmić samym „poetyckim pięknem jego wierszy” – i własnymi złudzeniami?

Gdy Miłosz pisał wiersz *Biedny chrześcijanin patrzy na getto*, nie mógł sobie poradzić z teologią Holokaustu, ale kogo dzisiaj zajmuje teologia Holokaustu, poza garstką polonistów, poetów i historyków, skoro – jak wszyscy wiemy – w Polsce okupowanej przez Hitlera było około miliona rodzin Ulmów, czyniących wyłącznie Boże Dobro, a żadnej karuzeli pod murami palącego się getta nikt nigdy nie widział. Zresztą za jakiś czas być może się dowiemy, że na Campo di Fiori żadni katolicy nie spalili na stosie Giordana Bruna, tylko on sam – nikczemny – spalił katolików.

Duch Miłosza rozmija się z naszym czasem, szczególnie jeśli chodzi o jego poglądy na historię. Kto chce dziś wierzyć na poważnie w jakieś „heglowskie ukąszenie”, wszyscy doskonale przecież wiedzą, że – jak nauczał Herling-Grudziński – inteligencja środkowoeuropejska lat pięćdziesiątych XX wieku stała się czerwona ze strachu i dla pieniędzy. Dla Miłosza Rosja była problemem. Bał się jej, ale też podziwiał rosyjską kulturę i robił, co mógł, by rosyjskimi dopływami wzbogacić kulturę polską. Tak myślał o bogoiskatielach – Szestowie i Bierdiajewie – ceniąc sobie rusofilskie myśli Brzozowskiego z powieści *Sam wśród ludzi*. Problemem dla niego, i to prawdziwym, był także – co jeszcze gorsze – marksizm. Ale dzisiaj? Dzisiaj miałby chyba z tym same kłopoty, no, może z wyjątkiem „Krytyki Politycznej”.

I jeszcze mu się przytrafiła przykra przygoda ze szkołą polską. Pamiętam, jak gniewnie pokrzykiwał, gdyśmy rozmawiali w krakowskiej kawiarni, że mu wyjęli ze *Świata. Poema naiwne* trzy końcowe wiersze – *Wiarę, Nadzieję i Miłość* – i w szkolnych podręcznikach zrobili z nich katolickie czytanki, a to były wiersze bolesno-ironiczne, bo – panie Stefanie – wtedy getto się paliło! Tak, wtedy, kiedy ja to pisałem – popatrywał na mnie spod siwych, nastroszonych brwi – getto warszawskie się paliło! W tym, jak szkoła go dzisiaj przedstawia uczniom, pewnie by się nie rozpoznał.

Kiedy rozmawialiśmy ze sobą, czułem, że gramy na wspólnej fali. Że on się martwi także tym, czym ja się martwię od dawna. Określało nas podobne katolickie wychowanie – jego wileńskie, moje szymanowskie, bo Mama skończyła liceum niepokalanek w Szymanowie. Łączył nas podobny niepokój, kiedyśmy się przyglądali Kościołowi i Polsce. W jednym punkcie różnił się zasadniczo. On uważał, że „człowiek współczesny” od czasów Kopernika, Lutra, Newtona i Darwina boleśnie przeżywa konflikt między religią a nauką. Ja uważałem, że on ten konflikt „człowiekowi współczesnemu” wmawia, ponieważ znałem wielu ludzi, którzy sobie tym konfliktem głowy nawet przez chwilę nie zawracali. Bo „człowiek współczesny” – realny, nie ten z esejów czy

wierszy – równocześnie wierzy bez trudu w to, że Bóg stworzył człowieka z gliny i w to, że człowiek pochodzi od małpy. Na niedzielnej mszy wierzy w to pierwsze, a na co dzień wierzy w to drugie. I nie przeszkadza mu to zupełnie, bo – jak mówi – co ma jedno do drugiego?

Był entuzjastą wypowiedzi polifonicznej, w której swój głos splatał z wielu sprzecznych głosów, rozdwojony, wielopostaciowy, niepokojący, przekonany, że taka forma wzmacnia jego talent, ale wmawiał nam (i sobie), że „człowiek współczesny” – podobnie jak on sam! – cierpi boleśnie z powodu swojej naukowo-religijnej niespójności. Że jemu samemu też duszę ta niespójność dramatycznie rozdziera. Ja uważałem, że człowiek nigdy nie był i nigdy nie będzie istotą spójną, nawet gdyby stanął na głowie, więc nie z takimi rozdzieracjami poradzi sobie bez trudu – w praktycznym, żywym życiu. Oczywiście co jakiś czas usilnie staramy się być spójną jednością – na przykład popadając w rozmaite religijne, ateistyczne czy polityczne fanatyzmy – ale z takiego samooszustwa wcześniej czy później się budzimy (?). Bo nigdy nie byliśmy i nigdy nie będziemy istotami wewnętrznie spójnymi – na szczęście. Najgorsi jesteśmy w chwilach, gdy wierzymy we wmówioną sobie spójność, wtedy gotowi jesteśmy zrobić wszystko – ze sobą i z innymi. Dlatego nie ma bardziej niebezpiecznych ludzi niż ludzie przekonani, że posiadli Prawdę, która zmienia ich w istoty zwarte i spójne do bólu.

Boże Najwyższy, trzymaj mnie od takich z daleka.

Miłosz – na szczęście – nie był jednym z nich.

ALEKSANDER FIUT

Moje spotkania z Czesławem Miłoszem
(1979 – lata 90.)



Czesław Miłosz, jego brat Andrzej i Aleksander Fiut
(z lewej), Paryż, czerwiec 1979.



Widok z tarasu domu Czesława Miłosza na Zatokę San Francisco.



Czesław Miłosz nad Zatoką San Francisco, wrzesień 1981.



Campus Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, wrzesień 1981.



Widok z okna pokoju profesorskiego Czesława Miłosza w Dwinelle Hall,
wrzesień 1981.



Czesław Miłosz z żoną Carol pod pomnikiem Bema w Budapeszcie, czerwiec 1989.



Czesław Miłosz podczas wycieczki do pałacu w Łańcucie, wrzesień 1992.



Czesław Miłosz z żoną Carol w Łańcucie, wrzesień 1992.



Czesław Miłosz w Łańcucie, wrzesień 1992.



Czesław Miłosz z żoną Carol nad Niewiażą, Szetejnie, lipiec 1995.



Widok na Niewiaź w Szetejniach, lipiec 1995.



Czesław Miłosz w Szetejniach, w miejscu, gdzie stał dwór jego dziadków,
lipiec 1995.



Czesław Miłosz nad Niewiażą, lipiec 1995.



Czesław Miłosz w Wilnie – wskazuje miejsce po drukarni,
gdzie opublikowano jego *Poemat o czasie zastygłym*, Wilno, lipiec 1995.



Czesław Miłosz na podwórzu domu przy Zaułku Literackim w Wilnie,
gdzie mieszkał na stacji podczas nauki
w Gimnazjum im. Zygmunta Augusta, lipiec 1995.



Czesław Miłosz z żoną Carol i Aleksander Fiut podczas kiermaszu
na krakowskim Kazimierzu, koniec lat 90.

SUSANA SZWARC

przełożyła Krystyna Rodowska

Na straży

Pewna kobieta (może twoja matka) ociera
sobie pot z czoła. Czyżby płakała,
lub wyciskała sok z winogron?
– Jasne, że nie – odpowiada –
moje oczy już dawno wypłakane. I przeciąga
swój modlitewny zaśpiew niczym dobry żart.

„aaa kotki dwa szare bure obydwą” –
śpiewała po polsku babcia
w piecu – jeszcze po śmierci strząsa z siebie mąkę.

„aaa kotki dwa” – śpiewają matki,
córki, lalki wyczerpane
życiem w eterze i muzyką.

I wciąż słyhać „aaakotkidwa” – z ust rzucanej o ścianę,
ze stopami zbryzganymi błotem,
a mama dodaje:
ach, jak bolą mnie nogi,
lecz ja wyuczyłam się lekcji:
jakie to szczęście – mówię –
że jeszcze są nogi które mogą boleć.

A więc tańczmy. Ona z kieszeni wyciąga
pudełko od zapalek wiecznego śniegu.

Ścieg po ściegu wyszywam jej odpoczywanie,
kotkidwa kiedy indziej śpiewałaś

i kłamałaś,
lecz ja wyuczyłam się lekcji:
twoje ziemie obiecane istnieją.
Są na przykład odgłosy miłości
ciał złączonych, obojętnych na skandal.
Są ptaki z piórami jak litery.
(I śmiejemy się z tych słodkich kłamstewek).

I sam na sam ze sobą (za oknami)
osączamy na sicie winogrona.

Kiedy indziej znów kotkidwa i nie wiemy
co to znaczy,
lecz ta piosenka brzmi po prostu groźnie.
Jest wspomnieniem wyjętym z biblioteki
pieców.
Przyświecamy sobie
latarką. Na marginesie widnieje notatka:
niech dzieciom naszym bardziej się poszczęści.

z tomu Bailen las estepas (1999, Niech zatańczą stępy)

Bezsennie krążę po domu

I

Znowu w kuchni zagotowała się woda.
(Dziwne: nie słyszałam tego szszsz, które ogłasza wrzenie)

Stronice zapisane przez Ciebie zaczynają się wspinać
jak w obcym mi śnie.
(Powiadają, że był anioł, co przeskakiwał szczeble
drabiny, coraz wyżej i wyżej). W której części Księgi jest-eś?

Powiedziałam: wieje wiatr, a ja lecę do Twoich liter.
W eterze czytam jakieś słowo, inne chwytam
ustami. Co mówisz? Co? Do mnie?

II

Wiatr wdarł mi się przez okno, a matka
pochyła się nad stołem.
Powiedziałam: napisz do mnie list po polsku.
– Dla kogo?
– Dla badacza dziejów.
– Co mu powiedzieć?
– Powiedz mu, że chcę wiedzieć, co się stało z umarłymi.
Powiedz mu, że chcę wiedzieć, gdzie się podzieli.
Oszukaj go. Chcę wiedzieć i kropka.
Bo jeśli już nie żyją, on ich nie odszuka.

(Matka koryguje moje myślenie. Czy na tym polega
język matczyny?)
– Przeczytaj, szybko, to co napisałaś.
(Nie potrafi: przechodząc na ten swój inny język,
przenosi się do innego kraju i litera po literze sylabizuje)

III

Zapisała trzy strony, ponumerowane: jeden, dwa, trzy.
I tym razem wiatr ucichł. Złożyłam na czworo
kartki. Do jakiej włożyłam je książki?

Jeśli tej nocy znowu zacznie padać, będę zgubiona.
Zapragnę, żebyś mi znowu powiedziała *jutro*.
Znów będę krążyć po domu. Twoja lampa wspomóżę
moją głowę i będę się śmiać w ciemnościach.

Gdzie mówiła o tej dłoni na ustach?
O krześle, wyniesionym na plac? I gdzie błogosławieństwo
tego, co odszedł na zatracenie?

Bez kwiatów wiśni

Nawiedzają cię sny Kurosawy, gdy wspominasz?
Ten mężczyzna lądujący z rozkoszą
– w przydrożnym rowie? – pytam,
a Magdalena w śmiech, bo chodzi o śnieg –
jeśli nie oprzytomnieje, nie pozbiera się, nie zbierze
sił, to skończy źle.
Teraz ja w śmiech, tyle czasu
bez śmiechu, co rozbrzmiewa
(gdy się miewa). Ciało się rozciąga, oddala.

Stapiamy się w jedno, ja z ciałem.
Do kogo należy część, co się rozdziela
na rów przydrożny i śnieg?
(To „się” naciska, jakby bez tego akcentu
zanikał sens). W czasie gdy ktoś się waha
iść dalej czy zostać
(w rowie – śniegu)
przez okno dochodzą dźwięki *cumbii*¹
i zapach *asado*²: to znowu sąsiedzi.
I z czego się tak cieszą? Czy nie widzą, że to tylko fragment,
sen, ciało, pęknięcie, krzyk? – i dlaczego
mieliby to widzieć? Mieszkają
tylko we własnym ciele, *asado* zaś nie jada
się już na co dzień.
To w Snach rozgrywa się możliwość wyjścia:
zapukać do drzwi obok, tam jest fiesta.

¹ Tradycyjny kolumbijski taniec, także muzyka latynoamerykańska z charakterystycznym rytmem.

² Grillowany befsztyk wołowy, sławne danie argentyńskie.

Psalm

patrzę w górę
nie widzę Boga
ale widzę deszcz

Pasażerowie

Zmęczyło nam się, mawiamy, chodzenie.
Parzyści, nieparzyści, na leżąco
gapimy się w gwiazdy.
Przytulam się do twoich łopatek:
Jest miejsce, gdzie można odpocząć, mówię,
i wskakujemy do wagonu.
Dzieci w pociągu bawią się: skaczą
mi teraz po żebrach,
a my śmiejemy się na myśl
o bułkach w plecaku.
Odpadki, oto czym jesteśmy tej nocy,
tego dnia. I dobrze nam z tym.
Liście z drzewa, pożółkłe, wpadają
przez okna, ozdabiają
ciała.

Jest noc, potem dzień,
skaczą wróble na gałęziach.
Jeden leci za spadającym liściem.

wiersze z tomu *El ojo de Celan* (2014, *Oko Celana*)

Nota

Susana Szwarc, urodzona w 1952 roku – poetka i prozajczka argentyńska pochodzenia polsko-żydowskiego. Autorka opowiadań, także dla dzieci, sztuk teatralnych, wystawianych w teatrach Buenos Aires. Jej wiersze i opowiadania, tłumaczone na języki: angielski, niemiecki, francuski, kataloński, także chiński – mandaryński, figurują w wielu antologiach krajowych i zagranicznych. Ostatnio tomik jej wierszy *El ojo de Celan (Oko Celana)* został przetłumaczony i opublikowany we Włoszech.

Susana Szwarc jest także czynną promotorką kultury, prowadzi warsztaty kreatywnego pisania w stolicy Argentyny i w innych miejscowościach.

Susaną poznałam w 1999 roku w Buenos Aires, podczas mojego dwumiesięcznego pobytu u rodziny, uczestnicząc także w obchodach stulecia urodzin Jorge Luisa Borgesa, na zaproszenie Marii Kodamy Schweizer, biorąc udział w Międzynarodowym Festiwalu Poezji w Buenos Aires. Od tamtego czasu stale jesteśmy w kontakcie, także telefonicznym.

Pierwodruk przekładu jej wstrząsającego wiersza *Na straży* ukazał się w 2013 roku w „Kwartalniku Artystycznym”. Przypominam go teraz, obok bloku nowych przekładów. Podświadomość poetki – jak można to wyczuć z lektury prezentowanych wierszy – wciąż przemierzają widma i pogłosy nieprzeżytej osobiście, lecz odziedziczonej traumy Holokaustu.

Krystyna Rodowska

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Domek z kart

Tragedia pandemii. Z ostrością wróciły pytania o cel i sens życia. Czy świat jest tylko płataniną kłamstw, gier i manipulacji? Ślepą ulicą, ciemnym zaułkiem bez wyjścia? Ściekiem pustki, egoizmu i złości?

To nie tylko katastrofa, cierpienie, śmierć i zniszczenie, ale także światło i łaska.

Spadły z piedestałów bożki, to było do przewidzenia, choć nie wiadomo było, kiedy i jak się stanie. Panosząca się pod ich szyldem sztuka w jednej chwili przestała istnieć.

Na drodze pod rachitycznym drzewem nie zostaliśmy sami.

Jest Pismo, działa duch i można iść dalej.

Nie czekać, nie łudzić się, ale czuć, wsłuchiwać się w głosy.

Między dobrem i złem, raz po jednej, raz po drugiej stronie, w coraz bardziej wyraźnym dążeniu.

Z wiarą, że to, co się stanie, zależy także ode mnie.

Słysząc żale i narzekania dawnych gwiazd, ich podpory i podpórki zniknęły.

Raz jeszcze okazało się, że świat to nie domek z kart.

Zbudowany na skale w rygorze dobra i zła, grzechu i miłości trzyma się mocno.

Szydzili, zamazywali i niszczyli. Co mają teraz do powiedzenia?

Mówili, że nikt z góry nie patrzy na ludzi i świat. A On jest blisko każdego, na wyciągnięcie ręki i w środku, w biednych głowach i żarliwych sercach.

Tylko trzeba słuchać, otwierać się i przyjmować.

Reszta jest działaniem i łaską.

W drodze do celu.

W nowym punkcie wyjścia.

Z pamięcią tego, co było i z nadzieją, że idzie się w dobrą stronę.

W ciemności, w szarości, wśród znaków światła.

W przemianie.

Od rozpacz do radości, dziękując za dar kolejnego dnia.

Czy nie taka była droga Becketta? W marnym czasie, w którym żył.

Szedł zamaskowany, ale wierny sobie, kto wie, czy nie najprawdziwszy i najuczciwszy z nich.

Opowiadał historie biednych, opuszczonych ludzi, mówił o nadziei w świetle Pisma widząc ich los.

W zmyślnej pułapce, z której ostatecznym wyjściem są ostatnie teksty.

Źle przegrywał, tak jak my. Będziemy starać się przegrywać lepiej, tak jak on, najlepiej jak potrafimy.

Światło nas nie opuściło. Jest z nami. Nie musimy czekać do jutra.

Wielki Piątek 2020

MAREK KĘDZIERSKI

Epoka jest niezwykła, dziwne czasy nastały

Tak, epoka jest niezwykła, dziwne nastały czasy.

Po raz kolejny w naszej biografii data urodzin Samuela Becketta zbiega się ze świętami Wielkiej Nocy. Tym razem nie przypadły one ani dzień przed Wielkim Piątkiem, jak trzy lata temu i w 2006 roku, ani, jak w 2001 roku, w Wielki Piątek – czyli tak jak jego „faktyczne” narodziny w 1906 – tylko przesunięte zostały na Wielkanocny Poniedziałek. Tym samym scena *Theatrum Mundi* oddana została papieżowi Franciszkowi, który trzykrotnie zwracał się do publiczności w pustej Bazylice i na opustoszałym placu Świętego Piotra, raz dosłownie w strugach deszczu. Do wiernych, których nie było w zasięgu wzroku.

Przez chwilę wydało mi się, że owo minimalistyczne *decorum* – w obliczu wyzwania zgotowanego ludzkości – pochodzi z jakiejś monumentalnej wersji *Końcówki*.

Wyczułem grozę przy *Urbi et orbi*, przy Drodze Krzyżowej, przy przesłaniu wielkanocnym.

W pesymistycznym wariacie Beckett, rzekomo piewca zguby ludzkości, powinien czuć satysfakcję: oto spełnia się – zdaniem niektórych – jego scenariusz. Jesteśmy na ziemi, na to nie ma ratunku, ziemia dobra jest wyłącznie dla kamieni. Wirus może pokonać ludzkość. Myślę jednak, że fakt, iż mogą się sprawdzić jego najgorsze scenariusze, nie poprawiłby Beckettowi humoru. „Nie ma już natury”, wniosek Clova, wyglądającego przez okno schronienia, w niedawnej londyńskiej wersji scenicznej *Końcówki*, odbierane nie historiozoficznie (po doświadczeniach wojny i Holokaustu) i nie jako wizja ludzkości po zagładzie nuklearnej, teraz zaczyna się odnosić do przyszłości: oto, co nas czeka w niedługim czasie.

Kogoś przyzwyczajonego do tłumów wiernych przy każdym wystąpieniu papieża rygorizm i minimalizm wielkanocnych wystąpień, skierowanych w przestrzeń bez żywej duszy, uderzy jak coś kompletnie nierealnego. Barokowe parady watykańskich oficjałów, rewie mody żywcem z *Rzymu* Felliniego zastąpiła wyciszona modlitwa zgrzebnego papieża. Współ-czującego.

Czas pandemii. Pierwszej w moim i naszym życiu. Które i tak oszczędziło nam wiele z tego, przez co musieli przejść nasi rodzice. I akurat teraz przyszło

nam redagować książkową wersję *Pułapki Becketta*. Ty zamknięty w swojej pomorskiej celi, ja w moim mieszkaniu nad francuskim morzem, do którego nie mam „dostępu”.

Nie wiemy, jak to się zakończy i co z tego wyniknie. Ja nie wiem, w jakim znaleźliśmy się punkcie. Ja nie wiem, czy ani co się rozpadło. Od początku świata coś się wciąż rozpada, rozkłada i składa, klei, na nowo. Coś rosło i murszało.

Tak zwana ludzkość może się opamięta, i po dokonaniu oceny sytuacji, do której w znacznej mierze sama doprowadziła, wiele zmieni na dobre. A może to tylko chwilowy przestój, po którym wszystko ruszy tym samym szlakiem.

Luigi Comencini zrealizował jakiś czas temu obraz zatytułowany *L'ingorgo – una storia impossibile*. Czyli *Korek. Niemożliwa historia*. Autostradą w pobliżu Rzymu sunie kawalkada aut. Nagle powstaje zator, wszyscy zatrzymują się z nieznanego powodu. Narracja filmowa przygląda się kierowcom i pasażerom kilkunastu pojazdów. Przekrój społeczny ówczesnej Italii. Związują się znajomości, przyjaźnie i animozje, nawet związki. *Ad hoc*, powstaje swoisty mikrokosmos. Śledzimy to w kapsułce bez-czasu. W pewnej chwili, po paru dniach, okazuje się, że można jechać. Zator został odblokowany. Bohaterowie błyskawicznie wsiadają do swych aut i, tak jak się zatrzymali, bez zastanowienia, ruszają z miejsca. Masa przesuwanego w oparach spalin żelastwa, wewnątrz przemieszczają się bez widocznego powodu tysiące ludzi. Kiedy pojazdy zastygają w bezruchu, ludzie jak mrówki wychodzą na zewnątrz i uwijają się wokół.

To był rok 1979, cztery dziesięciolecia później krytyczna masa prze z niesłabnącą energią. Niewykluczone, że przymusowe zatrzymanie, którego w kwietniu 2020 roku jesteśmy świadkami, może zaowocować refleksją nad tym, co się liczy, i podważeniem porządku, który jeszcze w marcu wydawał się naturalnym. Niewykluczone. Niestety, również niewykluczone, że jeszcze i tym razem psy poszczekają, a karawana ruszy dalej.

Zbyt mało wiem, żebyśmy chcieli przewidywać, jak to się skończy, lub nawet wyjaśnić dlaczego, a zwłaszcza z czyjej winy.

Beckett wystrzegał się powiedzenia za dużo, mocno się bronił, kiedy zbyt generalnie wznoszono się ponad to, co zapisał w swych tekstach. Choć one do takich wzlotów podlegały. Jego charakterystyczny komentarz: Hamm tak, jak podano i Clov, jak podano, *nec tecum nec sine te*. Razem, jak podano. Tylko za to brał odpowiedzialność.

Nie miał ambicji ciskania gromów, w moim mniemaniu – choć chciałbym, żeby było inaczej – broniłbym tezy, że był wyjątkowo sceptyczny w kwestii naprawy świata.

Żył w marnym czasie, powiadasz. Przyszłe pokolenia będą wiedziały, w jakich czasach my żyliśmy. Przez horrory wojenne przemykał się z podkulonym ogonem. Choć kiedy trzeba było, ryzykował wolność i życie, pomagając ludziom z podziemia, a po wojnie jeździł po Francji ciężarówką misji Irlandzkiego Czerwonego Krzyża. Do końca życia wspierał bezinteresownie tych, którzy wsparcia potrzebowali. Ale skwapliwie oddzielał tę część biografii od działalności twórczej. Nie miał ambicji stworzenia kosmologii, systemu filozoficznego, prawdy psychologicznej, nowej formy dramatu. Rękami i nogami bronił się przed tym, protestował, gdy przypisywano mu jakąś generalną wizję świata czy wpływu pisarza na losy świata.

Co nie znaczy, że przejęci jego dziełem mieliby się tym zniechęcać, że powinni odstąpić od misji naprawy świata, jeśli takie powołanie czują.

Ponieważ to, co mówił, głosami swoich tekstów, odnosi się do wszystkiego, całego świata. Więc czytelnik i widz może odbierać jego dzieło tak, jak mu się spodoba. Odnieść je do siebie, a także dokonać projekcji własnej wizji świata na dzieło Becketta.

Van Gogh (w liście do brata Thea z 1888 roku) wyznawał, że dawno popadłby w szaleństwo, gdyby nie podwójna natura jego osobowości – mnicha i malarza. Podobnie jawi mi się Beckett: jako ktoś, kto, aby nie popaść w szaleństwo, w obliczu świata, odwołuje się do swej podwójnej natury – mnicha i pisarza. Wykuwa (mniej więcej od roku 1960) słowa w równie rzemieślniczym skupieniu na ich substancji, jak rzemieślnik van Gogh nanosił farbę na płótno. Z równie zdumiewającym rezultatem. To niemożliwe zadanie. Z najprostszych rzeczy wywieść naturę życia. Twarz ludzką, krzesło, łaskę, brudę gliny, zwierzę pociągowe, ćmę, blask lampy, promień słońca – obrócić w *Ecce homo*.

MIROŚLAW DZIĘĆ W TV

Nocny orszak wojskowych ciężarówek
w Bergamo. Wszystko wiemy. Milczenie

gryzie nas w gardle. Łzy przyjdą
rankiem odwiniętym z całunu

czarnej jak smoła nocy.

Bielsko-Biała 22.03.2020

Ściana Płaczu, sobota

Krzeselka, sznury deszczu, sobotni
ranek. Wczoraj opuściliśmy Egipt.
W synagodze pod Ścianą Płaczu
rabini z maseczkami na ustach

śpiewają psalmy. Wtórują im ptaki.
Wirus zamknął nas w domach.
Tora nie zapisała antidotum. Pusty
plac, serce obumarłe. Szarość

obłoków cicho posuwających się
w stronę niewidzialnego światła.

Bielsko-Biała 11.4.2020, Wielka Sobota

Operacja

Niewidzialny wirus czyści nam
słowa, umysły, pragnienia obnaża
z brudu przedmiotów, z chuci zysku.
Skalpelem wycina z nas życie.
Podziwiamy precyzję jego palców.

Bielsko-Biała 12.4.2020, Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego

Ze śmierci wstał Pan i idzie
po pustych placach Rzymu, Paryża
i Moskwy. Za kotarą strachu wierni
i niewierni; opatuleni samotnością.

Ze śmierci wstał Pan i wirus
nie ima się Jego Ciała. Kostnice
pękają w szwach, wyziewy śmierci
w szpitalach obok respiratorów.

Ze śmierci wstał Pan kwietniowego
poranka. Idzie ulicami Madrytu,
Berlina, Krakowa. Nikogo tam
nie ma. Świetlisty cień rzuca

poła Jego płaszczka, zupełnie jasny.

Bielsko-Biała 12.4.2020, Niedziela Zmartwychwstania Pańskiego

KAZIMIERZ BRAKONIECKI

Spotkanie Celana z Heideggerem 25 VII 1966

W Szwarzwaldzie w Czarnym Lesie w chacie Hütte
w miejscu zwanym Górą Śmierci Todtnaueberg
filozof pangermański Heidegger zwany Hitlerdeggerem
który podziwiał piękne ręce wodza narodu Adolfa Hitlera
co mu wystarczyło żeby do końca życia pozostać nazistą
wybrał się na spacer po moczarach z żydowsko-niemieckim poetą Celanem
tak jak kiedyś wędrował z oczarowanymi studentami i oficerami SA
ścieżkami prowadzącymi do Lebensraum rasowej metafizyki
wyciągając w pozdrowieniu ręce do martwych gwiazd na nieboskłonie
które przesłaniały rozstrzelane Gwiazdy Dawida.

Podobno nic sobie nie powiedzieli bo nie mogli powiedzieć
i jeden i drugi drażyli milczenie na granicach pojmowalności języka
wiersze Celana zostały zagazowane niemiecką mową precyzji
która była jego macierzystą chociaż żydowską matkę zgładzili Niemcy
Adorno postawił pytanie jak można pisać wiersze po Auschwitz
Celan zapytał jak można być poetą niemieckim po zagładzie
niezabity poeta Różewicz szukał mistrza żeby nazwać rzeczy i pojęcia
oddzielić światło od ciemności cnotę od występku prawdę od kłamstwa
ocaleli prowadzeni na rzeź i dostali mięso-słowo żeby na targu
Logosu poszatowane tasakiem nienawiści w przerażeniu zamilkło.

Czego się poeta spodziewał po natchnionym poetycko filozofie
dla którego tylko Niemcy i Grecy zasługiwali na miano ludzi Księgi
który uznał że prawa do osoby i takiej śmierci nie mają podludzie
tym bardziej Żydzi którzy zarazili Zachód biblijnym żargonem
na jaką skruchę czekał i na jakie wyznanie winy kiedy metafizyk
w tyrolskich gaciach ciężkich buciorach wgniatał w wilgotną łąkę
zioła gwiazdy krew i splatane w błocie języki miłości-nienawiści?

Wierzyński

Tajemnica świata jest przezroczysta
jak pajęczyna między tulipanami w ogrodzie
w delikatnym i chybotliwym świetle deszczu.

Pisz tak jakbyś miał umrzeć z zachwytu
ale jeszcze lepiej z nienawiści do piękna świata
to na jedno wychodzi i tak od ciebie nie zależy nic.

Tajemnica świata jest nie do odgadnięcia
jak drut kolczasty rozciągnięty między snem a jawą
w kraju zbrukany kłamstwem i okrucieństwem.

Pisz tak jakbyś miał w masce ze zła i pamięci
wyrwać sobie otwory na oczy wielkości sumienia.

PIOTR SZEWC

Piwonie narcyzy

W ogrodzie między domem a drogą kwitły
piwonie narcyzy róże bratki goździki łąbiny
flokсы inne zdradziłem bo zapomniałem
ich imion opiekowały się nimi mrówki
i pszczoły słońce barwiło w nich promienie
gdy spod ziemi rozległ się śmiech zadrzały
drzewa poruszyły się miedze krowy pobiegły
przed siebie wtedy kwiaty zgasty

6-7 III 2020

Tablica

Co z tego że każdy dzień zaczynał się w imię Boże
że bez wariował w maju skowronki strzegły pól a wieczory pachniały
udojem
skoro pewnego dnia przestała dźwięczeć kuźnia ścięto brzozę przy drodze
bo przeszkadzała zmarli stróże Rudy i Sroka noce przestały być spokojne
jabłonie dziczały domy pustoszały pod dziurawym dachem zamieszkał
wiatr
świat stał się jak tablica z której starto litery

Strzała

Tak chciałbym żeby strzała
nie doleciała do celu autobus

rozpędza się za przystankiem
a ja z czołem przyklejonym
do szyby wpatruję się w ciebie
stojącą na skraju drogi tuż przy
krzaku jaśminu i przy ścieżce
którą mały dorosły chodziłem
machasz do mnie ręką na pożegnanie
przeszywa mnie straszne uczucie
że już ostatni raz uśmiechasz się
a może i coś mówisz szum silnika
zagłusza moje myśli właśnie straciłem cię
z oczu

1 XII 2019

TR

Nie szukałem u pana piękna szukałem
pokarmu to znaczy wskazówki rady czułem się
jak drzewko hodowane w słoiku życie bez wiatru
bez słońca bez ptaków ale pan napisał że gramatyka
poezji to gramatyka milczenia i braku

Mazowiecka 11

Trzy sfatygowane zeszyty z rejestrem nazwisk
adresów telefonów ocalały przed wyrzuceniem
na śmietnik zmarli sąsiadują tu z żywymi alfabet
łączy ich we wspólnocie jakiej sobie nie wybrali
poszarzałe kartki świecą białymi plamami ulic
ze zmienionym imieniem zdmuchuję pył przeglądam
czytam słowo przeszłość zaczyna znaczyć coś innego

ten ofiarował mi tom wierszy z tą byłem na kawie
emocje rosną podnosi się temperatura dużo się dzieje
papier trzyma się grzbietu żeby pod okładkami trwał
literacki kosmos

Skarb

Teraz tkwią przyklejone do gałęzi jak dwa uschnięte liście
siwo-czarne klejnoty które urodziła ziemia i oszlifowało słońce
pracowite i skromne dziobami przewracają grudy szukają ziarna prawdy
gdy je znajdują biorą skarb pod skrzydła i odlatują w ciemność

Pieśń skowronka

W połowie grudnia spadł śnieg i mróz
zwarzył okolicę za ogrodzeniem kroczą
głodne gawrony a przy ulicy Trop obwąchuje
wylane pomyje Boże Narodzenie za rogiem
za opartymi o ścianę choinkami od rana zjeżdżają się
furmanki konie jeszcze parują i na podwórko
niesie się ich zapach a w olejarni ruch i hałas
ojciec wsypuje do prasy gorący zmielony
rzepak zaraz olej popłynie rynienką maczam
w lepkiej cieczy palec i oblizuję słońce wysoko
otwierają się żółte pola akurat rzepak kwitnie
wiosenny wiatr porusza łodygami z płatków
zgamiam czarnego żuczka który wędruje
teraz po linii naszego życia skowronek wznosi się
na swojej pieśni przyłączyłbym się do niego

STEFAN CHWIN

Dziennik 2020 (2)

Sobota, godzina 23.14. Mój sen, dzisiaj nad ranem

Wszystko dzieje się na starym dworcu kolejowym w Oliwie, który jest równocześnie trzypokojowym mieszkaniem na Poznańskiej 18.

Siedzę w pokoju rodziców, w którym umarła Matka. Odgłos kroków na schodach. Pukanie do drzwi. Bolesne ukłucie lęku w piersiach. Mocne tupanie na progu. Otrzeptywanie butów ze śniegu. Do przedpokoju wchodzi jacyś ludzie. Zapach mrozu, mokrej wełny. Płaszcz w jodełkę, czapki z bobrowego futerka, szaliki w kratę. Mężczyzna, który wchodzi pierwszy – wysoki, postawny, z różowym wolem pod szyją, ma teczkę z brązowej świńskiej skóry i mosiężny sygnecik na grubym palcu. Poznają go, ale nie wiem, kim jest. Mija mnie, wchodzi do pokoju. Na tapczanie, przy drzwiach, ktoś leży pod kołdrą. Głowa przykryta. Nie widać rąk ani nóg. Tylko zmierzwiony zarys ciała. Pogniecione prześcieradło.

Przy stole, przy którym jadaliśmy rodzinne obiady z Matką i Ojcem, siedzi kilka osób. Mają tekturowe teuczki z numerami spraw. Kobiety w chustkach zawiązanych pod brodą, w szarych płaszczach z barankowym kołnierzem. Mężczyźni w wełnianych czapkach z daszkiem. Zrobione na drutach nauszniaki, nieogolone policzki, szaliki okręcone wokół szyi. Twarze sinawe, brodawkowate, ospowate, szare włosy, rogowe okulary, grube soczewki. Dłonie czerwone od mrozu. Paznokcie z czarną obwódką. Obłóczki pary z ust. Chcę się dowiedzieć, co złego zrobiłem, ale nie odpowiadają na moje

pytania. Przekładają papiery, coś podkreślają czerwonym ołówkiem w rozłożonych formularzach, stemplują na fioletowo kartki z czarnymi nadrukami. Tak jakby mnie nie było.

W pokoju, który wygląda jak poczekalnia dworcowa, ciemnym, bo to chyba noc, czekamy na dwóch krzesłach – K. i ja. Pojawia się kobieta w jasnym płaszczu z teczką z numerem 45, elegancka, utleniona na blond, wymalowana, z czerwonymi ustami. Ma nogi w oblepionych gnojem walonkach, w uszach słuchawki do smartfona. Mówi, żebym wstał z krzesła. Wzbiera we mnie bunt. Domagam się wyjaśnień, ale ona się dziwnie uśmiecha, kręci głową. Jej pobłażliwy, ironiczny uśmiech pojawia się na twarzach pozostałych ludzi siedzących przy stole. Wymieniają rozbawione spojrzenia.

Za oknem, na podwórku czeka dużo ludzi, całe podwórko zapchane, głowy, czapki, berety. Z tłumu wychodzą mężczyźni i kobiety w płaszczach, z torbami na zakupy, z koszami pełnymi marchwi i kartofli, obwieszeni girlandami papieru toaletowego, wspinają się na parapet, zakrzywionymi paluchami chwytają za framugę, przez okno włączają do pokoju Matki. Zeskakują z parapetu na podłogę. Dudnienie butów. Na deskach topniejące grudki śniegu. Brudna woda. Uderzenia obcasów o drewno. Dziwię się, że pokój może pomieścić tyle osób.

Potem wysoki mężczyzna z mosiężnym sygnecikiem na grubym palcu wstaje. Głową sięga do sufitu. Ma jasną, obrzękłą twarz. Ręką odsuwa wiszącą pod sufitem lampę z blaszanym kloszem, która dotyka mu policzka. Pyta mnie, a potem K.: – Dlaczego chorujecie? – Podnosi głos. – Nasze państwo nie ma pieniędzy na wasze leczenie! Zostaniecie zesłani na kwarantannę. Tam was wyleczą. Kto choruje na płuca, znieważa naszą Ojczyznę, Polskę. I zwraca swoimi sprawami głowę Matce Przenajświętszej z Częstochowy. Kardynał Wyszyński, jak się tylko dowie o waszej sprawie, da wam po łapach, że popamiętacie. Nie dostaniecie rozgrzeszenia. Na kolana i modlić się! No, już! Jan Paweł II obiecał, że pomogą wam lekarze moskiewscy. Zostaniecie otruci we wtorek nad ranem, bo jesteście za starzy, żeby żyć.

Spostrzegam, że mężczyzna jest podobny do pewnego polityka, którego znam z telewizji. Ma na sobie dwurzędowy garnitur z rogowymi guzikami. I mieczyk Chrobrego w klapie. – Mordercy – krzyczy nagle z pianą na ustach, waląc pięścią w stół. – Teraz na was kolej! Macie głosować, czy wybieracie życie, czy śmierć.

W brzuchu, wysoko pod mostkiem, czuję pieczenie.

Boję się, że już niedługo będzie bolało jeszcze bardziej. W płucach bulgocie słodka, piekąca gorycz. Lękam się wewnętrznego wylewu – nie śmierci. Nie mogę złapać oddechu. K. pochyla się nade mną. Duszę się w przezroczystej tubie respiratora. Kątem oka widzę, że ktoś zawiązał przezroczystą, karbowaną rurę na duży, puchnący supeł. Zalewa mnie nienawiść do księdza, który w dzieciństwie na lekcjach religii wbił mi do serca paniczny strach przed życiem pozagrobowym.

Wtorek, godzina 21.32. Myśli o wolności ducha

Kiedy niedawno zapytałem pewną miłą kobietę, czy czuje się dzisiaj jakoś ograniczona w swojej wolności, moja rozmówczyni odpowiedziała mi z uśmiechem: „Ograniczona? Nie czuję się niczym ograniczona. Mogę r o b i ć, co chcę”.

Ciekawe, że nie powiedziała: „Mogę m y ś l e ć, co chcę”.

Wolność ducha – jej najwspanialszy przejaw to wolność myśli – jest dobrem, bez którego doskonale obywa się większość mieszkańców Ziemi.

Istotą wolności jest konflikt z innymi. Wolność zaczyna się od słów: Nie chcę być taki jak ty. Nie chcę żyć tak jak ty. Chcę czegoś innego niż ty. Regułem twojego życia przeciwstawiam reguły własne. TY robisz to, ale ja chcę robić co innego. TY wierzysz w to, ale ja chcę wierzyć w co innego. TY myślisz o tym tak, ale ja myślę o tym inaczej.

Istotą wolności jest wolny wybór. Wolność zaczyna się od słów: chcę być taki jak ty, chcę być taki jak wy, chcę być razem z wami, przyjmijcie mnie do siebie. Naprawdę wolny jest jednak tylko ten, kto od razu dodaje: za to, że mnie przyjmujecie do siebie, nie odbierajcie mi wolności bycia innym niż wy.

Wolny jest ten, kto czuje opór zwrócony przeciwko swojej wolności. Jeśli tego oporu nie czuje, łądzi się, że jest wolny.

Wolność ducha zawsze narusza spokój grupy, rodziny, narodu, Kościoła, państwa, to znaczy wszelkiego kolektywu, który od wolności ducha zawsze woli posłuszeństwo.

Piękne jest zdanie: „Niech będzie jeden pasterz i jedna owczarnia”. Ale równie piękne jest zdanie: „Niech będzie wielu pasterzy i wiele owczarni i niech żyją ze sobą w zgodzie, nie zadając sobie wzajemnie cierpień”. Sądząc po tym, jak wygląda świat stworzony, Bóg kocha różnorodność, a nie lubi monotonii. Nie przypadkiem stworzył dziesięć tysięcy gatunków motyli – niepodobnych do siebie.

„Nie będziesz miał Bogów cudzych przede mną” – to piękne przykazanie. Ale równie pięknie brzmiałoby, gdyby Bóg powiedział do ludzi: „Chciałbym, byście mnie kochali, ale nie mam nic przeciwko temu, byście kochali też innych bogów, którzy zasługują na miłość”.

Wolność kochania to jedna z największych wolności ducha, jakie zostały nam wspaniałomyślnie przyznane przez nie wiadomo kogo.

Warunkiem wolności jest zawsze niewłaściwe korzystanie z wolności – to znaczy brud wolności. Ktoś, kto chce oczyścić wolność z najmniejszych śladów brudu, przypomina człowieka, który chce sadzić kwiaty w zupełnie sterylnej ziemi. W takiej ziemi nic nie wyrośnie.

Świat, w którym wszyscy ludzie we właściwy sposób korzystaliby z wolności, byłby światem bez wolności. To tylko dlatego, że nie wszyscy ludzie korzystają z wolności we właściwy sposób, wolność ma szansę utrzymać się przy życiu. Czyściciele wolności bywają zawsze jej zabójcami, nawet jeśli mają jak najlepsze intencje.

Prawdziwie wolny duchem jest ten, kto potrafi przeciwstawić się prawu, jeśli prawo stoi na straży zła, nawet jeśli to prawo zostało uchwalone przez większość. Niestety, wolność ducha, za którą jedni oddają życie, dla innych jest luksusem bez żadnego znaczenia.

Prawdziwie wolnym jest ten, kto obdarza wolnością innych.

Sobota, godzina 3.45. Zimny poranek. Kradną mi śmierć!

I jakże tu ich nie nienawidzić! Przecież kradną mi codziennie śmierć, namolnie wmawiając, że życie każdego z nas jest wieczne, bo jeśli nawet umrzesz, to zaraz po tym, jak umrzesz, zaczniesz – czy chcesz, czy nie chcesz – żyć po drugiej stronie! Ileż to ja razy słyszałem takie gadanie! Że żyjemy na wieki wieków w klatce wiecznego życia, z której nie wydostaniemy się nigdy. Śmierć została nam skradziona, zaprzeczona, odebrana!

Możemy sobie mówić, że nie jesteśmy zainteresowani dalszym ciągiem, ale co z tego? Oni mówią – kiedy umrzesz, będziesz żył nadal. Żadnej ulgi! Żadnego odpoczynku! Myślisz sobie naiwnie, że umierając, znikasz, że kończą się twoje kłopoty, a tu tymczasem zaraz po tym, jak skonałeś, budzą cię po tamtej stronie. Otwierasz oczy. – Hola, hola! – pokrzykują świetliste postacie. – Wstawaj z grobu! Co, chciałeś może, ot, tak sobie, umrzeć do końca? O, nie ma tak dobrze! Wstawaj i bierz się do śpiewania psalmów! Choćbyś na głowie stanął, do końca nie umrzesz nigdy. Jeszcze by czego! Żadnego końca nie będzie!

Próbuję oczyścić duszę z tego duszącego ciężaru, który został mi wbity do serca w dzieciństwie, ale nie daję rady. Ciągłe powraca ta gadka. Że nigdy nie umrzemy naprawdę, bo nasze życie nigdy się nie skończy, obojętne, czy trafisz do Nieba, czy do Piekła. I jeszcze są tacy, co takiego ciągnącego się w nieskończoność, wiecznego życia pragną. Chyba nie wiedzą, co czynią.

Wieczne życie? Wieczna radość? Wieczne szczęście? Jakież to niby mielibyśmy czerpać szczęście z przebywania przez miliony lat w towarzystwie Kogoś, kto spalił żywcem wszystkich ludzi w Sodomie i Gomorze, urządzając im holokaust za to tylko, że byli gejami! I jeszcze wymordował wszystkich ludzi falami potopu? Przebywać przez miliony lat w towarzystwie Kogoś, kto sprawiedliwie spalił, potopił ludzi, tak że nie został po nich najmniejszy ślad? I to ma być ta wieczna nagroda? Ta wieczna radość? To wieczne szczęście, na które mamy całe życie czekać? A dajcie spokój!

Piękne jest to, że żyjemy, a potem znikamy. Całkowicie. Zupełnie. Bez śladu. Gdyby ludzie mocno odczuli swoją absolutną jednorazowość, inaczej byśmy się odnosili do naszych bliźnich. Absolutna jednorazowość każdego człowieka wzywałaby nas do bezgranicznego współczucia. Dopiero wtedy nauczylibyśmy się cenić cudze życie, które pojawia się w całym wszechświecie tylko jeden jedyny raz – i znika. Jak to mówiła Mądra Poetka? Nic dwa razy się nie zdarza.

A ktoś, kto wierzy w wieczne życie, które nie skończy się nigdy? Jeśli ktoś taki chce zabić człowieka niewinnego, może siebie od razu rozgrzeszyć. Bo skoro ten zabijany człowiek po śmierci od razu trafi do lepszego świata, w którym będzie się czuł dużo lepiej niż na Ziemi, zabójstwo traci powagę rzeczy ostatecznych. Jest tylko szybkim przerzuceniem człowieka z jednego świata do drugiego – na słodkie, wieczne wakacje! Zatem – zabijając niewinnego, za zabijanie pójdziesz do Piekła, ale jego obdarzysz wieczną radością!

– Ty takich rzeczy – mówi do mnie K. – lepiej nie wypisuj w dzienniku, bo sięgniesz sobie na głowę kłopoty, a przecież chcesz mieć kościelny pogrzeb, prawda?

– Pewnie, że prawda.

Bo ja chcę mieć pogrzeb kościelny z łacińskimi śpiewami, takimi, jakie na Wielkanoc nadają w radiu z Watykanu, ponieważ niedawno przeraziłem się okropności pogrzebu świeckiego. Byliśmy na takim pogrzebie na cmentarzu Srebrzysko. Cmentarz piękny, białe brzozy, tuje, jasne niebo, ale pogrzeb... Wodzirej w czapce marynarskiej, w kusym ubranku, w adidasach podniosłym tonem wygłaszał świeckie androny, których wartość estetyczna była żadna.

A Kościół? Kościół miał dwa tysiące lat, by wymyślić obrzęd artystycznie bardzo udany. Więc śpiewy, szaty, kadzielnice, modlitwy, muzyka święta, zawożenia, witraże, gotyk i organy – muszą być. Folklor to nasz prawdziwie polski, a ja po polsku chcę zostać w ziemi zakopany – i koniec. Żadnego palenia moich kości i wsypanywania siwego popiołu do metalowego pudełka. Nigdy w życiu!

Środa, godzina 21.43. *Credo* mistyczne

Dzisiaj na przechadzce po uniwersytecie spotkaliśmy księdza N., duszpastera środowisk akademickich. I od razu rozmowa – o przeżyciach mistycznych siostry Faustyny. Ksiądz N., znawca pism świętego Jana od Krzyża, wykształcony, z grubym doktoratem o transfiguracji, spokojny, opanowany, lubi głośno śpiewać, gdy odprawia mszę, co bardzo podnosi wartość artystyczną obrzędu, bo śpiewa, trzeba przyznać, dobrze. Ma mocny, jasny baryton, którego chętnie używa przed ołtarzem. O mistycyzmie mówi z powagą, patrząc gdzieś w bok, jakby nie chciał przyznać się przed sobą, że lekceważy katolików ludowych? Doświadczenia mistyczne uznaje za dużo głębsze od mechanicznego powtarzania katechizmowych prawd przez ciemne pospólstwo, któremu duchowo z konieczności przewodzi? Zupełnie jak pisarze, którzy lubią szantażować kategoryczną opinią, że dobra literatura, proszę pana, to tylko taka literatura, która dąży do wy-ra-że-nia Nie-wy-ra-żał-nego?

Moje *credo*?

Nigdy nie iść drogą mistyków.

Uciekają od spraw ziemskich po to, żeby przeżyć upojną przygodę z Panem w roli głównej? Ach, to dyskretne obnoszenie się siostry Faustyny z tym, że jako jedyna z całego zakonu została wybrana na osobistą sekretarkę Pana? Skromny bezwstyd wyróżnionej? Skrywana pycha byłej sługi kuchennej, że została zaufaną koleżanką Najwyższego, który – jak twierdziła – osobiście przychodził do jej pokoju w nocy, zupełnie pomijając – o zgrozo! – wszystkich papieży, biskupów, arcybiskupów, proboszczów, wikarych, prałatów, żeby bez żadnych pośredników dyktować jej do ucha słowa, które ona – nie oni! – miała potem rozgłaszać po świecie?

Cóż za święta monotonia w sławnym *Dzienniczku*! U wszystkich mistyków takie same wizje duchowego zjednoczenia z Panem, szczególnie przykre, gdy kobieta-mistyczka zachłannie pragnie zjednoczyć się z boskim Oblubieńcem, bo nigdy ani duchowo, ani cieleśnie nie zjednoczyła się naprawdę z żadnym ziemskim mężczyzną?

I jeszcze to dążenie do mistycznej rozkoszy? Bo czyż nie jest rozkoszą metafizyczna przyjemność bezgranicznej bliskości? Więc w ostatecznym rachunku jednak o rozkosz, o rozkosz, o rozkosz tutaj chodzi? Rozkosz zupełnej uległości, słodkiego oddania się, roztopiania się w całkowitym zjednoczeniu z Alfą i Omegą? Czyż te wszystkie upajające ekstazy mistyczne nie biorą się z pospolitego wstrętu do zwyczajnego bytowania, które żadnych rozkoszy nie daje? Ach, uciec, uciec od wrednego życia w upojną krainę mistycznej ekstazy, która zamienia życie w cud-miód? Czyż nie dlatego mistyk dąży do upajającego kontaktu z Absolutem, że niezdolny do samodzielnego istnienia w realnym, ziemskim świecie, cierpi na chroniczny deficyt własnego Ja? Dlatego żarłocznie chce zapełnić pustą dziurę w piersiach fosforyzującym pokarmem Boskiego Światła, tonąc w absolutnej uległości ostatecznego podporządkowania? Jak ssąca pustka podłącza motor duszy do stacji benzynowej Absolutu? I nawet jeśli głodzi siebie i boleśnie biczuje, robi to po to, by wzbudzić w sobie upojną rozkosz mistycznego zachwyty?

Więc jednak zawsze chodzi o przyjemność, o przyjemność, o przyjemność, którą tylko maskuje szlachetne pożądanie „rzeczy wyższych”?

Nigdy nie iść tą drogą.

Czyż nie uczciwsze jest odzierać własną duszę z wszelkich złudzeń? Bo jeśli w ostatecznym rachunku wszelka nadzieja jest niczym innym jak tylko łakomym oczekiwaniem na odroczoną przyjemność i oznacza zawsze poniżającą kapitulację duszy?

I jeśli oni pragną mistycznie stapiać się z Alfą i Omegą, to przede wszystkim dlatego, że zniechęceni obcowaniem z żywymi ludźmi chcą przeżyć coś dużo fajniejszego niż smutne fajerwerki życia rodzinnego? W samotności upajają się własną zdolnością do duchowego zjednoczenia z Niewyobrażalnym, dyskretnie wynosząc się ponad innych, którzy takiej zdolności nie posiadają? Bo czyż prosty, ludowy mistyk, zdolny do mistycznego obcowania z Panem, nie jest lepszy od samego papieża, który co prawda ma złotą koronę Eklezji, lecz nigdy nie przeżywa żadnych stanów mistycznych, więc może tylko pozazdrościć prostakowi?

Nigdy nie iść drogą mistyków. Nigdy nie popadać w żadne stany mistycznego zachwyty. Być bliżej ludzi niż Absolutu. Chronić w sobie dar osobności i współodczuwania. Być niestrawnym dla Bytu. Wyodrębnionym ze świata jak kropla oliwy w wodach morza. Nieprzyswajalnym jak ostry kawałek żelaza. Nie stapiać się z niczym. Stawać Bytowi ością w gardle. Strzec świętego chłodu serca.

Ja? Ach, Boże miłosierny, cóż za ambicje...

A poza tym, co o tym wszystkim myśli K.?

Niedziela, godzina 21.14. Kara za grzechy

Niepotrzebny mi żaden Pan B., żeby mnie karał za grzechy. Za moje grzechy potrafię się karać sam. Mam w tym wieloletnie doświadczenie.

Wtorek, godzina 14.40. Nędzarz w windzie

Wchodzę do windy. A w windzie sąsiedzi – spod czterdziestego. Ona i on. Zmęczeni, potargani, szare ubranka. Wściekli.

– Widział pan? – mówi ona. – Widział pan tego menela? Ludzie z klatki B przepędzili go, to przyszedł do naszego zsypu. Trzeba zadzwonić po straż miejską, żeby go zabrali!

Milczę, oni też milczą, patrzą na mnie, potem znowu zaczynają: – To brudas! W ogóle się nie myje! Roznosi zarazki! Jest niebezpieczny!

Odczekuję chwilę, podnoszę głowę, mówię spokojnie: – Mnie on nie przeszkadza. Jeśli się mnie nie czepia, niech sobie żyje, jak chce.

Od razu ogarnia ich furia. Zwężone oczy, ściągnięte usta, na policzkach wypieki nienawiści.

– Tak?! Bo pan nigdy nie schodzi do zsypu, gdzie on śpi, to pan nic nie widzi! On się tam załatwia! Wczoraj wdepnęłam w gówno!

Z lekka zaostrzam ton: – Do zsypu schodzę jak wszyscy. Ale żadnego gówna nie widziałem.

Dojeżdżamy na wysokie piętro. Wychodzą z windy – wściekli, rozjątrzeni, obrażeni na mnie. Trzaskają żelaznymi drzwiami. Jadę wyżej. Dojeżdżam na dziesiąte.

Nędzarz ze zsypu? Nędzarz, który czasem śpi w naszym zsypie, nazywa się Maciej. Jest stary, kudłaty, ma siwą, rozwichrzoną brodę. Nosi na sobie parę warstw ciepłych kurtek i grube, stare myśliwskie spodnie, żeby móc spać wszędzie – na gołej ziemi. Cały dobytek wozi ze sobą na kilku wózkach dziecięcych. Trzyma w nich to, co pewnie wyciąga ze śmietników. Kłęby ubrań, pudła, plastikowe butelki, papier, sznurki, puszki, szmaty, szaliki.

Parę razy K. dała mu trochę grosza. Teraz, kiedy go widzi, macha do niego ręką. On też macha jej ręką na powitanie.

Ale ostatnio K. się przeraziła. Maciej uściśnął jej rękę. Ręka była żółtawa, czarna od brudu, popękana, z zaschniętymi skaleczeniami na grzbiecie dłoni. On się rzeczywiście nie myje i może być chory. Od tamtej chwili omijamy go z daleka.

Ale do głowy nam nie przyjdzie, żeby go przepędzić. Czasami dajemy mu trochę pieniędzy. Idzie po chodniku powoli, zgarbiony, ciągnie za sobą swoje wózki pękate od toreb, walizek i szmat. Przystaje, by chwycić oddech. Wiatr targa rozwichrzoną brodę. Ludzie udają, że go nie widzą.

A z góry na to wszystko patrzy dobry Pan Jezus.

Nędzarz Maciej wygląda jak bohater dramatów Samuela Becketta, które chętnie podziwiamy na scenach teatrów całego świata.

Ciekawe, co by powiedział Beckett, gdyby nędzarz Maciej zechciał zamieszkać w zsybie jego domu.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Fragmenty murów obronnych (3)

W tym świetle wszystko staje się istotne, do najdrobniejszej cząstki.

Jak ważny jest człowiek, skoro jest z nim diabeł, a tym bardziej – Bóg. Jak ważny jest świat, w którym jest On obecny i który zapewne jest jego tworem.

Zacznij od nowa, zacznij jeszcze raz i doprowadź do końca, nie ma innej rady i innej możliwości.

To co jest i co wydaje się, że jest. Miękki i słaby, twardy i mocny, jasny i prosty, ciemny i zawity.

Pierwsze tchnienie i serce bijące. Szare szczeliny, kamienie i kikuty ruin, kępy suchej trawy.

We wnętrzu, w głowie, to tam słyhać, stamtąd się rozchodzi.

Ciało i duch w cienistych zakątkach, ciemnych zakamarkach i w pełnym słońcu, w ukryciu i raz po raz na widoku.

Ptaki i ich głosy, których nie potrafi rozpoznać.

Szum strumienia spadającego w dół w stronę rzeki.

Otwarta przestrzeń i czas, który jakby stał w miejscu.

Połamane w zwalisko wieże i mury, niewzruszone i nieugięte.

Tu po raz pierwszy przyjęło go światło.

Głowa, ręce, tułów, nogi i duch, po coś.

Jak rozbitek wyrzucony na brzeg, w to rumowisko.

Pod niebem, które zsyła głos, bo przecież nie bierze się on spod ziemi, z wody czy z powietrza.

Słyszy go na zewnątrz i w sobie, w środku.

Nasłuchuje więc i czeka.

Chodząc w jedną i w drugą stronę, także z zamkniętymi oczami, gdy śpi.

Od krańca do krańca murów i wzdłuż rzeki, od jednego mostu do drugiego, i dalej.

Na bulwarze, po ulicach i w wąskich przejściach, przez wysokie bramy i ciasne furtki, pod najwyższym z najwyższych stropem.

W promieniach, opromieniony nimi, choć niekiedy smutny, zaniepokojony i zmartwiony.

Z uporem posuwając się naprzód, co nie raz kończy się zderzeniem z kimś, kto idzie w przeciwną stronę lub wpada na niego z boku.

Raz po raz wspina się na jedną z wież, wchodząc stopień po stopniu i dotykając muru, co dodaje sił i pewności.

Serce wali jak młotem, łapie w płuca powietrze, ale nie daje za wygraną, nie cofa się, nie rezygnuje.

Słyszy głosy dobiegające z dołu i z góry, ich strzępy, odbicia i głośne nawoływanie.

Uważa, żeby nie zsunąć się po gładkich krawędziach i nie wywrócić się, nie raz ratują go ściany.

Co jakiś czas zatrzymuje się, uspokaja oddech, wsłuchuje się w ciało i po chwili rusza dalej, do góry.

Pierwsze i ostatnie kroki to jednak jest duża różnica, coraz większa.

Niewiele ma to wspólnego z krążeniem na dole, po powierzchni, ale nie może powiedzieć, że go to mniej zadowala i wzbogaca.

Słowa, ich nieprzystawanie do siebie i przystosowanie, odwracanie się i związki w roju cytatów, parafraz, parodii, wzmocnień, osłabień, aluzji, odniesień, zahamowań, rozpędzeń, rozbić i rozłączeń, zwrotów i ruchów na wstecz i na opak, rozsnuwania w przód i do tyłu, w dół i do góry, jakby były w łącznej tkance, żyły jednym życiem, uzupełniając, łącząc i formując się, odsłaniając lub zasłaniając, rodząc się z siebie i kończąc ze sobą, spadając i wzlatując lub pełznąc, upadając i podnosząc się, w trudzie, mozole i usiłowaniu, co byłoby nie do osiągnięcia, gdyby istniały oddzielnie, same w sobie, osobno.

Stając się czymś, na co jakby czekały lub do czego dążyły, w tak ustalonym ruchu i rytmie, między biegunami, do celu.

To co schowane w jednym, odkryte jest w drugim, w relacji zwrotnej, wspólnej i w miarę spójnej, w oświeceniu i zaciemnieniu, w szarych cieniach i błyskach, raz po jednej, raz po drugiej stronie, w osobnym i zbliżonym do siebie toku, w zanikaniu i odradzaniu się, w destrukcji, dekonstrukcji i kształtowaniu, w znikaniu, przenikaniu i wzroście, w jedności.

W przymierzu spełniającym się i dokonującym jakby na przekór sobie i innym.

Mające na siebie wpływ, odsyłające do tego, co było i dające na zapowiedzi, złączone i odrębne, sprzężone ze sobą i wolne.

W duchu, który jest nad nimi i w nich, w środku.

Mieszające się, ale nie rozmazujące, a może nawet wyostrzające, coraz bardziej wyraźne.

Z natchnieniem, które jest jak światło, zjawia się każdego dnia i wypełnia, wystarczająco dużo.

Pokonując blokady, aporie i zapory, na zewnątrz i wewnątrz, żeby znowu wyjść i iść dalej.

Ratując życiodajne cząstki, które trzeba uzupełniać, redukować, wzmacniać i łączyć w nowym świetle, wsłuchując się w głos.

Jakby było się w jego głowie i w sercu, w jego skórze i w duchu, nie do rozróżnienia, jak w pustce.

Znowu ruszyłem i posuwam się naprzód, nie wiedząc, ile to będzie trwało i jak się skończy.

Wśród głosów i w milczeniu, najlepszym towarzystwie.

Nie rezygnując, nie tracąc czasu, tracąc siły, nie nadaremnie.

Świecąc odbitym światłem i o ile jest to możliwe, będąc światłem.

Każdego dnia od nowa i nie od nowa, w drodze.

W pamięci i w wyobraźni, w tym co w nich się wyświetla.

Echo głosu.

Głos echa.

Głowa, ręce, tułów, nogi i duch, tak jak na początku, krótki czas, do wykorzystania.

Pierwszy z pierwszych i ostatni z ostatnich. Naznaczony imieniem i bezimienny, niemożliwy do nazwania.

Od jednej równonocy do drugiej.

Kto to nastawia i nastraja?

W jasności i niejasności, które są nierozłączne, konieczne dla całości. Brak jednej wzmacnia drugą, tak jak brak nadziei budzi nadzieję, a brak miłości jej głód i pragnienie.

Głos jest blisko, najbliżej jak może być, w środku. Ożywiam go i wydobywam na zewnątrz, zmagam się z nim, formuję i wyprawiam w dalszą drogę.

Pełen wahań i wątpliwości skłania się to w jedną, to w drugą stronę, jakby szukał oparcia czy potwierdzenia. I przechodzi przetworzony i wskrzeszony na nowo.

Długi czas milczy, nie mówi nic i nijak nie daje się ożywić, choć na zewnątrz słyszę go wyraźnie.

Zjawia się i znika. I nie mam pewności, że wróci i znowu będzie ze mną.

Teraz, gdy jestem już w drodze, wiem, że wszystko skończy się dobrze, tak jak powinno.

Jest głos, są słowa i duch. I tyle wystarczy.

Jak najlepsi przyjaciele, a może jak ojciec, matka i siostra, bez porównania.

Rozświetla to, co przed nim, za nim i wokół niego, jakby był w mandorli.

A obok jest zło, jego pan i sługi, ciągle gotowi do działania.

Ciągną go w swoją stronę, ale on wie, co tam jest i jakie są warunki.

Wymaga to wielkiej ufności i wielkiej nieufności.

Świadectwa, że istnieje coś, co przeciwne jest pustce i ma wielką siłę i moc.

Czy odwrotnością Niczego może być Nic? Gdy świdrujesz dziury w Niczym, w końcu przewiercasz się do Czegoś. Z tego całego balastu – do dziękczynienia, z obojętności i nienawiści do miłości, ze śmierci do życia.

Niszcząc siebie, żeby siebie ocalić.

Między jednym a drugim, stając się głosem jednego i drugiego, ich życiem i nadzieją, pójdziem dalej, przemianą.

Po swoich i nie po swoich śladach, jakby w drugą stronę, ale jednak do przodu, do nowego punktu wyjścia, do celu.

Wyjaśniając i nie wyjaśniając, bo jedno i drugie wymaga tyle mówienia o sobie, ile niemówienia.

Tak jak głos, który mówi nie tylko do niego, ale także do niego i o nim.

Mówi, kto go stworzył i tworzy każdego dnia, przecież nie od nowa i nie na nowo, ale w coraz bardziej wycofujących się i coraz mocniejszych liniach.

Staje się bohaterem, który staje się nim, który wraca do siebie, do początku.

LESZEK SZARUGA

Dobrze o złu (3)

Odpowiadając na pytanie o to, czy człowiek jest przyczyną zła, Barbara Skarga powiada: „Nie wiemy, czy jest źródłem zła. Oczywiście że może być przyczyną zła, dlatego że człowiek czyni zło. Ale gdzie jest źródło zła, w czym tkwi, dlaczego zło jest na tej ziemi? Tego nie wiemy i dlatego wciąż o to pytamy”. I to subtelne i w pewnej mierze stanowiące unik rozróżnienie między źródłem a przyczyną zła wydaje się sprawą fundamentalną. Lecz zarazem nie sposób, gdy rzecz się rozpatruje w tak ogólnej perspektywie, uniknąć pytania o prawomocność tego rozróżnienia, gdyż być może rozsądniej będzie zredukować tę kwestię do przyjęcia założenia, że źródło i przyczyna zła są tożsame i rację ma Różewicz, gdy powiada, że zło bierze się zawsze i tylko z człowieka.

Jeszcze bardziej zjadliwe jednak wydaje się pytanie o to, na czym polega i czy w ogóle istnieje relacja między złem i dobrem: czy zło jest przeciwstawieniem dobra, czy raczej czymś odrębnym, a zatem – jeśli by tak miało być – niepozwalającym na twierdzenie, że zło jest brakiem dobra bądź dobro brakiem zła. Tym samym można by przyjąć, że czynienie zła nie wyklucza jednoczesnego czynienia dobra i odwrotnie – czynienie dobra nie oznacza automatycznie, że się zarazem nie czyni zła.

*

Nie wszystko zło to, co się świeci...

Bieguny ludzkich postępowań wyznaczają z jednej strony świętość, z drugiej – zbrodnia, ale to nie musi oznaczać rozpięcia życia między bezwzględnym dobrem i bezwzględnym złem. Brak dobra nie jest złem, zaś brak zła nie jest dobrem: między dobrem a złem jest luka, w której żyje większość z ludzi. Ale – nawiązując do dyskusji między Różewiczem i Miłoszem – warto przywołać wiersz Aliny Kwiatkowskiej, należący do raczej w Polsce lekceważonej kategorii poezji konkretnej:

c z ł o w i e k

Autorka wykorzystuje tu specyfikę języka polskiego – w dodatku w jego wersji piśmiennej, a nie oralnej – by zakomunikować, że zło (tu zapisane wytłuszczonym drukiem) wpisane zostało w istotę człowieka. Zło jest jego integralnym składnikiem. Pamiętając zaś o tym, że wedle Wielimira Chlebnikowa, nielubianego przez Miłosza, oraz Aleksieja Kruczonycha, utwór może się składać „z jednego słowa” (*Sadzyk sędziów*), można zapis Kwiatkowskiej potraktować jako poetycki żart, z czego by wynikało, że można ze zła żartować, bawić się nim, uczynić zeń przedmiot krotochwili. W istocie jest ten zapis skrótem czegoś, co pozornie skróтови nie powinno podlegać: mianowicie aforyzmu.

I tak przecież do pewnego stopnia jest, bo wystarczy wszak sięgnąć po tom Szyborskiej *Sto pociech*, by się przekonać, jak można czynić sobie z człowieka żarty – tyle, że określenie go jako „sto pociech” przydaje mu blasku dziecięctwa z jego kreatywnością, ale też jego okrucieństwem.

Zło wpisane w człowieka przez profesor Kwiatkowską jest jednak czymś więcej – utwór ten sugeruje mianowicie, że zło jest człowieka elementem niezbywalnym, by nie powiedzieć, iż konstytutywnym. Oznacza to jednak, że nawet czyniąc wyłącznie dobro, owo wcielone w człowieka zło w żadnej mierze nie ulega pomniejszeniu, nie mówiąc już o możliwości jego unicestwienia. Nie powinno zatem budzić oporu pozornie paradoksalne twierdzenie, że dobro może być dziełem zła i przyznać rację Miłoszowi, mówiącemu, że z człowieka zarówno dobro i zło się biorą.

Ale to, co tu piszę, to, rzecz jasna, wyraz mej niepowagi.

*

Poważny natomiast jest Paul Ricœur, gdy pisze: „Otóż cała zagadka zła polega na tym, że – przynajmniej w judeochrześcijańskiej tradycji Zachodu – pod tym samym pojęciem umieszczamy zjawiska tak na pierwszy rzut oka różne, jak *grzech*, *cierpienie* i *śmierć*. [...] Owo przeczcucie, że grzech, cierpienie i śmierć na różne sposoby wyrażają dogłębną jedność kondycji ludzkiej, prowadzi nas stopień dalej w kierunku jedynej tajemnicy nieprawości. To pewne, że dochodzimy tu do punktu, w którym fenomenologię zła zastępuje hermeneutyka symboli i mitów, które to niejasnemu i niememu doświadczeniu ofiarowują pierwsze językowe zapośredniczenie”.

Czy doświadczenie zła jest nieme? Gdy się nad tym zastanowić, pojawiają się wątpliwości. Gdy bowiem Hannah Arendt pisze o „banalności zła”, to albo się z Ricœurem nie zgadza, albo ma na myśli coś zupełnie innego. W ostateczności zło jest tym, co za zło uznamy – w tych okolicznościach

sprawca czynu, który uznajemy za czynienie zła, może w ogóle swego postępowania w tych kategoriach nie ujmować. Może po prostu sądzić, że spełnia swój obowiązek, wykonuje swą pracę czy nawet po prostu bierze udział w zabawie, przyjmując, że w jego pojmowaniu świata działania te pozostają poza osądami moralnymi. Z punktu widzenia Arendt zło, o którym pisze, nie musi zostać zdefiniowane – jest złem oczywistym. Wszakże dla sprawcy nie ma tu mowy o żadnej oczywistości: on tego zła nie widzi, nie dostrzega. Podobnie się dzieje – by przenieść rzecz w inną sferę doświadczenia – z postępowaniem myśliwych zabijających zwierzęta: nie myślą o tych uczynkach w kategoriach moralnych, a jeśli ich się do tego skłoni, znajdują wiele różnorodnych argumentów uzasadniających pożytki, jakie ich działalność przynosi społeczeństwu.

Ricœur atoli nie odnosi się w swej rozprawie do zjawisk życia: analizuje zło w oderwaniu od rzeczywistych postępowania, czyniąc zeń przedmiot subtelnej, intelektualnej analizy, w której odnosi się do mitów bądź do literatury, unikając skrętnie przywoływania konkretnych zdarzeń. Czyni podobnie, jak czyni to Zbigniew Herbert w *Przesłaniu Pana Cogito*, gdy pisze, wskazując wzorce postępowania:

idź bo tylko tak będziesz przyjęty do grona zimnych czaszek
do grona twoich przodków: Gilgamesza Hektora Rolanda
obrońców królestwa bez kresu i miasta popiołów

Co prawda Roland jest postacią historyczną i poległ podczas wyprawy łupieżczej, lecz w pieśni mu poświęconej przeobraził się w skrojoną na miarę epoki postać bohaterską, niewiele mającą wspólnego ze swym pierwowzorem.

W konfrontacji rozważań o złu spisanych przez Arendt i Ricœurą wyraźnie widać odmienność narracji budowanej w reportażu obudowanym eseistycznym podkładem oraz tworzonej w oderwanym od realiów języku filozoficznej spekulacji.

*

Pozostając na gruncie takich właśnie spekulacji, można się zastanawiać nad wzajemnym stosunkiem dwóch zdań, z których jedno powiada, że złem jest świadomość czynienia zła, ale drugie przyjmuje, że nie jest złem nieświadomość tego, iż się zło czyni. Zauważyć przy tym wypada, że w pierwszym wypadku sprawca wie, że to, co czyni, jest złem, w drugim zaś nie ma o tym

pojęcia. Jeśli zaś pojęcia nie ma, to czy można zasadnie twierdzić, że jest złą sprawcą?

Zważyć należy, że w pierwszym przypadku zarówno ten, kto osądza, jak i sprawca zgadzają się co do tego, co jest złem. W drugim jednakże owej zgody nie ma. W takiej zaś sytuacji powstaje problem, który nie sposób rozwikłać, zwłaszcza wówczas, gdy dotyczy on zjawisk realnych.

O przykłady nietrudno. Dość przywołać kwestię obrzezania dziewcząt w niektórych społecznościach afrykańskich. Obyczaj ten – możliwe, że mający moc rytuału – jest w owych społecznościach uznawany za coś oczywistego, w dodatku uświęconego tradycją. W naszej zaś kulturze traktowany jest jako czynienie zła, o czym większości przedstawicielek i przedstawicieli tamtej kultury przekonać nie sposób.

Jest to przykład dość drastyczny, ale można też wskazać inny, bliższy naszym doświadczeniom i traktowany jako oczywistość: to akt chrztu. Oto niemowlę jest zniecka polewane zimną wodą, co zapewne dla takiego organizmu stanowi szok. Nie sposób przesądzić, jakie są jego skutki w bliższej i dalszej przyszłości – nikt się badaniem tego nigdy nie zajmował, choć można sobie przecież wyobrazić subtelne rozważania psychologów dowodzących, że szok termiczny towarzyszący obrzędowi może mieć nieobliczalne konsekwencje dla emocjonalnego rozwoju człowieka. A przecież jest oczywistością w naszej kulturze, że akt chrztu jest czynieniem dobra, oczyszczeniem z grzechu.

Zapewne można też przyjąć, że wszelkie obrządki religijne nie dadzą się oceniać w porządku świeckim, w szczególności nie mogą być rozpatrywane w kategoriach świeckiego prawa stanowionego w innych wspólnotach niż ta, w której ów akt jest dokonywany. Ten nieusuwalny konflikt między porządkiem wiary i ładem praw stanowionych znamy doskonale z tragedii greckiej. Zło zatem nie da się ostatecznie wyjaśnić w kategoriach czysto filozoficznych, gdyż w praktyce życiowej podlega relatywizacji, jak choćby wówczas, gdy mowa o wojnach sprawiedliwych, czy wówczas, gdy ten sam czyn – jak choćby zabójstwo tyrana – traktowany bywa przez jednych jako dobro, przez innych zaś jako zło.

*

Czy można zatem się zgodzić z twierdzeniem, które przyjmuje, że złem jest tylko taki uczynek, który się popełnia ze świadomością czynienia zła? Mówimy wszak o złu zawinionym i niezawinionym. Oto jedna z przyczyn niepochwytności zła, której rozwikłaniem trudnił się Immanuel Kant.

Zło jest wedle królewieckiego filozofa sprzeniewierzeniem się prawu moralnemu wyrażonemu w słynnej formule, powiadającej, że „niebo gwiazdziste nade mną i prawo moralne we mnie”, prawo zaś jest zasadą, której przestrzega się bezinteresownie. Kategoria bezinteresowności wydaje się jedną z fundamentalnych w jego systemie – dość wspomnieć o wyłożonej w *Krytyce praktycznego rozumu* definicji sztuki, określanej jako „swobodna i bezinteresowna gra władz umysłowych”. Gdy chodzi o zło, Kant określa trzy sytuacje, w których dochodzi do sprzeniewierzenia się prawu moralnemu. Dzieje się tak, po pierwsze, wtedy, gdy mamy do czynienia z ułomnością natury człowieka, po drugie – gdy poczynaniami kieruje nieuczciwość intencji, co może być efektem pomieszania porządku moralnego z pożądaniami wartości z moralnością niezwiązanych, takich jak zysk czy władza, po trzecie, wreszcie, wówczas, gdy powodem czynienia zła jest złośliwość – w tym wypadku zło ma charakter absolutny. W eseju *Religia w obrębie samego rozumu* Kant podkreślał: „Jeżeli w celu zdeterminowania woli do czynów odpowiadających prawu potrzebne są inne pobudki niż samo prawo (np. żądza zaszczytów, miłość własna w ogóle, a nawet dobroduszny instykt, taki jak współczucie), to zgodność czynów z prawem jest czysto przypadkowa, bo te same pobudki mogłyby równie dobrze pobudzić do występku. Zatem maksyma, według której musi zostać oceniona jakość wszelkiej moralnej wartości osoby, jest sprzeczna z prawem, a człowiek mimo samych dobrych uczynków jest zły”. Dalej zaś podkreśla, że niszcząc prawo moralne, niszczy się wszelkie prawa, by dojść do konkluzji wyrażającej w istocie bezradność, a powiadającej, że „źródło skłonności do zła pozostaje dla nas niezbadane”.

Jedno wszelako zdaje się w tym systemie niepodważalne: zło jest immanentną cechą istoty rozumnej – tak jak rozumność jest pojmowana w kulturze chrześcijańskiej, w której być pozbawionym rozumu to tyle, co być kimś bezmyślnym lub szaleńcem. Warto zatem rozważyć jakąś inną perspektywę. Taką właśnie przyjmuje Sjoerd L. Bonting, holenderski uczony i duchowny anglikański, w latach 1985–1994 doradca NASA w kwestii przygotowania eksperymentów biologicznych na pokładzie międzynarodowej stacji kosmicznej, który w eseju *Pozaziemskie istoty żywe? Rozważania teologiczne* pisze, poniekąd nawiązując – zapewne nieświadomie – do twierdzenia Julianny z Norwich, mówiącego o tym, że *sin is behovely* (grzech jest konieczny), odpowiadając na pytanie, czy istoty pozaziemskie byłyby grzeszne i czy potrzebowałyby zbawienia: „Tommaso Campanella (1616) był innego zdania: »nie pochodzą od Adama i dlatego nie są skażone grzechem, nie potrzeba więc im zbawienia,

chyba że popełniły inny grzech». W tym dość uproszczonym wywodzie oparł się na doktrynie grzechu pierworodnego, która jest nie do utrzymania w świetle naszej wiedzy naukowej o początkach ludzkości [...] i w świetle słabości swoich biblijnych i teologicznych podstaw. Wbrew temu, ale w zgodzie z większością dzisiejszych teologów twierdzą, że opowieść o upadku w Rdz 3 nie dotyczy jednego, historycznego zdarzenia, lecz opisuje w mitycznej formie kondycję wspólną wszystkim ludziom, mianowicie ludzką ambiwalencję istoty stworzonej na obraz Boga i zarazem grzeszącej uzurpowaniem sobie równości z Bogiem. Jest prawdopodobne, że z trzech powodów dotyczyłoby to też wszelkich stworzeń pozaziemskich: (1) moim zdaniem, takie istoty będą myśleć podobnie jak my; (2) takie stworzenia otrzymają też dar wolności jako wyraz miłości Bożej, co da im możliwość nieposłuszeństwa; (3) na stworzenia te będzie wpływał chaos, który pozostał w całym wszechświecie. [...] Zatem rozsądnie wydaje się oczekiwać, że istoty pozaziemskie będą grzesznikami potrzebującymi zbawienia tak samo jak my”.

PIOTR SZEWC

Z powodu i bez powodu (58)

Lekcja przyrody

Niecierpliwiłem się na świąteczny wyjazd, dlatego na dworzec autobusowy przyszlismy wczesnym przedpołudniem. Żeby kupić bilety, trzeba było ustawić się w długiej, prawie znieruchomiałej kolejce. O której godzinie mieliśmy odjechać? Już nie pamiętam. Mama z ojcem stali w kolejce, a ja kręciłem się w pobliżu. Obok znajdowały się zatoczki dla autobusów, przy zatoczkach, przestępując z nogi na nogę, z torbami i siatkami stali zziębnięci pasażerowie. Stąd odjeżdżali do Tarnawatki, Podhorców, Jarczowa i innych miejscowości. W dużej płóciennej torbie ktoś miał indyka. Indyk wyciągnął szyję i w milczeniu rozglądał się, nie wiem, czy zdziwiony tym, co widzi, czy wystraszony. Wokół unosił się niebieskawy dym i zapach spalin z buksujących w śniegu jeliczów. Lubiłem ten zapach, więc wdychałem go głęboko. Od dymu i ekscytacji przyszlą jazdą kręciło mi się w głowie. Może i było mi zimno, bo dzień był mroźny, słoneczny, pod butami chrzęścił śnieg.

Wreszcie doczekaliśmy się biletów, ale do odjazdu autobusu zostało jeszcze trochę czasu. Za daleko było iść z dworca do drewnianego kościoła. Ruszyliśmy więc na rynek. A rynek był tuż obok. Pachniały choinki i olej rzepakowy rozlewany z blaszanych baniek do butelek. Gospodynie sprzedawały orzechy, jajka i żywe kury. Przy sprzedających kręcili się nieliczni klienci. Czasem ktoś coś powiedział. Zdawało mi się, że para, która wydobywała się z ust, zamarzała w powietrzu i białym pyłem opadała na choinki i ubrania. Nikomu się nie spieszyło, mimo że jedni chcieliby czym prędzej sprzedać, a drudzy czym prędzej kupić. Bo smakowanie oleju, decydowanie, którą kurę wybrać, wymagało spokoju i rozwagi. Dlatego kupujący przemieszczali się wolno, zatrzymywali się i zawracali. Oglądanie nic nie kosztowało, a zaliczało się do dobrych zwyczajów. Za kilka dni miał się urodzić Bóg i ten doniosły fakt przenikał gesty, słowa i niewypowiedzianą aurę. Odzywał się i we mnie, choć nie słyszałem go wyraźnie i nie umiałbym go ujawnić tak, jak czułem.

Wzdłuż chodnika stały furmanki, gospodarze nie zmienili ich jeszcze na sianie. Niepopędzane, niestrofowane, konie u dyszła ani drgnęły. Były godnymi, nieznającymi buntu sługami, ich wartość wyrażała się w sposobie, w jaki nosiły swój los. Opuszczały uszy, przymykały powieki, patrzyły w bliską lub daleką przestrzeń. Nim karpie zobaczyłem, poczułem ich zapach, zapach ryb. Prawie po brzegi wypełniały wóz. Karp na karpium, były ich setki, wrzucone między burty wozu. Żywe i nieżywe. Te, które żyły, poruszały ogonami, jakby chciały dać coraz słabszy, coraz bardziej beznadziejny znak. Miały otwarte oczy, patrzyły na wysokie, bezchmurne niebo, i na tych, którzy przy wozie przystawali. Patrzyły, ale czy cokolwiek widziały? Przystający nie kupowali. Przyglądali się, obserwowali, szacowali, jeszcze nie mogli się zdecydować. A karpie chwyciły, jakby go miały zbyt mało, mroźne powietrze. Powietrze zamiast wody. Była to lekcja przyrody przypadkowa, niepoprzedzona żadnym przygotowaniem, surowa i na swój sposób naturalna, jedna z katalogu niezliczonych spraw, jakie się dzieją na styku świata zwierząt i ludzi. Zostałbym przy furmance dłużej, ale trzeba mi było odejść, bo mama mówiła, że już pora wracać na przystanek.

10-11 III 2020

ARTUR SZLOSAREK

Notatki do zapomnianych podróży (3)

Zaczerwione strony. Spontaniczny remanent

„Wedle pewnego neopitagorejskiego filozofa, który nie wyraża się zbyt jasno, Gorgony to malaryczne napady zimnicy, a Perseusz to człowiek, który je pokonał; italskie pochodzenie mitu i po italsku nazwane w archaicznej łacinie nawroty gorączki: *februe stakne* (od *steno*, Gorgony). Nie wiem, zacznym szukać... *Febris* od *februare*, oczyszczać, bo w gorączce człowiek oczyszcza się z zaborczego demona; czczona jako bóstwo *Febris* ma dziś za sanktuarium szklany pręcik z uwięzionym Merkurym. Gorgony zamieszkiwały dżdżyste krainy, gdzie spacerując pośród szarych posągów skamieniałych ludzi i zwierząt, rozpoznamy wiele twarzy, z pewnością jest tam i nasza własna. Bardziej przekonuje mnie interpretacja, wedle której symbolem malarycznych napadów gorączki są zabite przez Heraklesa ptaki stymfalijskie, chmury o szponach z brązu, szybujące nad stojącymi wodami (Robert Graves). Jest jakieś mityczne pokrewieństwo między stymfalijskimi ptakami a ptakami ababik z Koranu – tu *febra*, tam, być może, *ospa*. (Idea latających chorób zakorzeniła się w starożytnej duszy). Komar jest jedynym owadem, którego od siebie odganiam (oczywiście nie używając środków owadobójczych), aby chronić swój sen, ale dają żyć widliszkom, a zabijam *culex*, który nie roznosi zarazków malarii. Dałbym biedactwu napić się mojej krwi, to jego bzykanie robi ze mnie mordercę. Czy to zbrodnia brzydko bzyczyć? Herodot mówi, że w Egipcie wszędzie było pełno sieci – za dnia łowiono nimi ryby, w nocy chroniły przed komarami. Po wylewach Nilu w dolinie rzeki przez całe tygodnie obowiązywała godzina policyjna – po zachodzie słońca nie wychodziło się z domu, bo nad rozlewiskami unosiły się nieprzebrane legiony ptaków stymfalijskich – nosiciele pasożyta gotowego dopełnić swego cyklu we krwi ludzkiej. Gorączka malaryczna obala chorego na ziemię – czy to właśnie jest spojrzenie Gorgony? Kto zliczy strefy malaryczne w świecie od czasów starożytnych? Ileż malarii i bagnisk musiał przemierzyć Alkuin między Akwizgranem a Rzymem, żeby napisać do cesarza Karola Wielkiego: *Jadę drogą, gdzie stale czyha zbój, który nosi imię Febry?* (*Febris* nie ma już świątyni, stała się dla chrześcijan zbójem). Zimnica rzuca

dodatkowe światło na słowa Pii: *Siena mię rodzi, Maremma zgubiła* (Czyściec, V, 134). Z g u b i ł a: nieubłagana korozja malarii. Siena to jasne, czyste, suche powietrze, które daje Pii życie, Maremma to powietrze zatrute, chorobotwórczy klimat, w którym grasują zabójcze widliszki Grassiego: *maculipennis, bifurcatus, claviger*. Żeby w pełni zrozumieć wiersz Dantego, trzeba sobie wyraźnie uzmysłowić, czym była i jest jeszcze dzisiaj Siena, a czym wczorajsza bagnista Stymfalia z jej brązowymi zjawami. Zaczny Pucinotti zadawał sobie pytanie, czy podróż koleją przez Maremmę jest bezpieczna, i doszedł do wniosku, że pęd pociągu, dym i tym podobne, rozdzierając gęsty woal miazmatów, zapobiegają chorobie. Zanim Herakles przeszył bagienne ptaki zatrutymi strzałami, wypłaszał je kołatkami (najstarszy środek antymalaryczny), jak to robi kolej żelazna mknąca po równinie między Livorno a Grosseto. Byli tacy, którzy całe życie poświęcili komarom, lekarze polujący na krwiopijców o cienistych ciąkach, na leciutkich kwiatach wieczoru; Anglik Ross i Włoch Grassi pokłócili się w końcu, kto pierwszy dokonał odkrycia (*Uwagi historyczne o sposobach przenoszenia malarii* Grassiego, wznowione w Pizie w 1967, są pełne pretensji do Rossa).

Jak ten, którego paroksyzm się zbliża
I już mu w febrze paznokcie zsiniały,
Drży na myśl samą chłodu, tak się zniża...

Tłum. E. Porębowicz

Dante przybył z Rawenny do Wenecji drogami pełnymi malarii, rozpalony od gorączki. Umarł w połowie września, kiedy febra sięgała apogeum. (Sezon malaryczny zaczyna się w marcu i kulminuje we wrześniu, znaczony w Grecji świętami na cześć Asklepiosa: Asklepiades, Eupidarie). Kiedy pisał te wiersze (*Piekiełło*, XVII, 85–87), czuł już może symptomy choroby, która miała go zgubić tak jak Pię. Śmiertelnie blady, anemiczny jak lampa bez oliwy, ze zsiniałymi paznokciami, nękany napadami gorączki i dreszczy Dante szlifuje swój Raj. Pod grubą kołdrą, wśród nieustającego dzwonięcia zębami, zrodziły się końcowe wizje podróży. Być może febra, tak jak zwiastuny padaczki, pomaga ujrzeć Boga. Artykułem z 5 listopada 1948 roku dziennik watykański obwieszczał radość z nowego Alcydesa szóstej pracy: DDT, już od kilku lat w użyciu. (Wcześniej walczono z widliszkiem, rozlewając na bagnach płonąca naftę, teraz wydano mu bezpardonową wojnę). Cienia myśli (człowiek jest zawsze ślepy, kiedy bierze się do czegoś nowego) o tym, jakie to może mieć skutki dla

środowiska i ludzi trzydzieści lat później. Napomykano jedynie, że niektóre widliszki mogą się uodpornić na DDT (co mnie cieszy). I tak się stało: na terenach malarycznych wypróbowano jeszcze potężniejsze środki owadobójcze, ale utopia całkowitego wyplenienia komarów się nie ziściła, zatruto natomiast wszystko, co malaryczne i niemalaryczne. Nasi dzisiejsi pogromcy nie są kołatką, ani strzałami bohatera, lecz chemiczną maszyną do niszczenia świata. Teoria widliszka współgra z mitem i demonologią – wystarczy nacisnąć małą ukrytą dźwignię, a staną u jego boku te dwa odległe cherubiny”.

Guido Ceronetti, *Milczenie ciała*, przełożyła Maryna Ochab

Kiedy w zwykły i nudny wtorek, 10 dnia marca bieżącego roku, Mariusz Wilk odpowiedział mi na dwa dni wcześniej zadane pytanie, jak się miewa i co słychać u niego, pytanie spowodowane rozwojem wydarzeń we Włoszech, gdzie pisarz mieszka, dowiedziałem się, że siedzi, niczym Epikur, w ogrodzie, i oddaje się lekturze *Dekameronu* Boccaccia, najlepszej, jego zdaniem, lekturze na czas zarazy. Pisał te podczernione ironią zdania z Procidy („zobaczyć Neapol i umrzeć”), podczas gdy trochę wyżej, jadąc Autostradą Słońca w odwrotnym kierunku, na północy Półwyspu Apenińskiego, którą to krainę zdążyłem już poodkrywać dla siebie, a nawet pokochać, zaczynało się nieprzewidywalne. Dzień wcześniej, w poniedziałek, byłem w Słubicach, aby dokonać przeglądu technicznego auta. Nie lubię Słubic ani Frankfurtu nad Odrą – nad Menem zresztą też. Atmosfera w mieście była jeszcze bardziej przytłaczająca niż zwykle. Coś tam ewidentnie zawisło, i wisiało nadal w powietrzu. Ciemne chmury prawie nie przepuszczały światła. Przez niewidoczne rysy w ich posiniałym granacie prószyla mżawka. Wystarczyło wejść do apteki, po witaminy, czy do Intemarché, otrzeć się więc o bliźniego, żeby zaraz poczuć wymagowany brak tchu w płucach i śliny w gardle, które wieńczyła realna jak najczystsza obsesja, potrzeba natychmiastowego przemycia rąk spirytusem. Nie dalej niż dwa dni później zamknięto granicę przyjaźni, przez co utworzyły się gigantyczne korki. Miałem więc farta, że to okresowe badanie formalne wypadło w Dzień Kobiet tudzież miało miejsce, z punktu widzenia słabo atrakcyjnego dnia dzisiejszego, o całe zaskakujące setki indywidualnych ofiar temu, jakie przez niespełna półtora miesiąca zdążyła po cichu zebrać pandemia, która zdaje się nie mieć końca, w Weneto, Lombardii i Tyrolu. Dziś jesteśmy pozamykani w domach – i na złą sprawę regularnie zalewani falami sprzecznych, nieweryfikowalnych oraz nierzadko wykluczających się wiadomości, opinii czy sądów – w sumie jednak błogostawimy ten stan, ponieważ mamy

jeszcze co jeść i pić, z kranów płynie ciepła woda i nie wyłączono nam prądu; i nadal mamy dostęp do świata, przez działającą sieć. Wielu czeka na serum, jak na zbawienie, i specjalnie nie martwi się tym, że nieodwracalnie i po cichu zwęża się ten margines wolności i praw, na którym staramy się przeżyć zadane nam, jak zagadkę i zadanie, całe życie. Ja, jako ostrożny pesymista (zapożyczam się od Grzegorza Dyducha), nie będę mówił w tym miejscu głośno, że mamy do czynienia z rodzajem wojny informacyjno-biologicznej, że dzieje się „to” (teoria) albo (spiskowa praktyka) „tamto”, ani też nie będę pokrzykiwał, że kiedy skończy się stan wyjątkowy, bo się nie może nie skończyć, to nastąpi po nim inny parawyjątkowy stan marny – nie tylko dla poetów (bo „władza zmienia formę, ale nie istotę”). Będę się raczej starał, głównie z braku dobrego rozwiązania, zachować odpowiednie proporcje, których naśladowania godnym świadectwem zdaje się być *Dziennik roku zarazy* Defoe, pod takim jednak warunkiem, że mnie pamięć nie myli... Wystarczyłoby jednak, ażeby zachować miarę, zdrowy rozsądek i nie tracić całkowicie koniecznego dystansu („nie trać obrazu”) w tej godzinie galopującej paniki, mieć na uwadze choćby taki fakt, że to *jednak* nie jakiś ściśle tajny wirus królewski („król jest nagi”), lecz malaria jest najczęściej występującą chorobą zakaźną, na którą zapada ponad dwieście dwadzieścia milionów osób rocznie i umiera od jednego do trzech milionów: głównie dzieci poniżej piątego roku życia. (WHO podaje, że roczna średnia to pięćset tysięcy zgonów). Jak mówi Prorok – nasz świat cały to choroba, ale czy ktoś pamięta dalszy ciąg tego zdania? I czy to aby nie nazbyt patetyczne? Na pewno byłoby żałosne uważać, że ktoś *wsparty na watermanie* może uzurpować sobie prawo do udzielania w chwili obecnej wiążącej odpowiedzi na *palące kwestie współczesności*. Taki na przykład intelektualista może jednak, *wsparty* choćby na montblancu, stawiać pytania, dając przez to innym do zrozumienia, że nie warto porzucać myślenia – pod żadnym pozorem i w żadnych okolicznościach; że, po prostu, nieoddawanie się niewyczerpanemu smutkowi myśli, jak by to mógł powiedzieć nieoceniony George Steiner, byłoby zanadto nieludzkie (na naszej ludzkiej ziemi). Postaram się uczynić to w niniejszym tekście i ja, w miarę swych możliwości i w formie epigraficznej, unikając celowo własnego, w tym wypadku niepotrzebnego, jak sądzę, komentarza. Jedyne, co nosić będzie indywidualne piętno, to wybór. Oto jego krótka historia. Od wielu lat staram się znaleźć przed snem kilka chwil na lekturę – sięgam często na półkę i prawie przypadkowo wybieram jakąś książkę na zakończenie dnia. (Może dzięki temu rzadko pamiętam złe sny?) Często wybrane pozycje roznoszę po domu, mam je w zasięgu ręki, zabieram z sobą,

wielokrotnie odczytuję; na wrywki, przez tygodnie, miesiące, ale już – nie lata. Uważnie i po łebkach. Głównie są to znane mi tytuły, teksty, do których lubię wracać, siłą rzeczy muszą więc być one obecne we wszystkim, co robię, świadomie i nieświadomie, i w tym, co myślę i piszę (a także w mojej przyszłości), ażeby na tych czynnościach (i jednym enigmatycznym pojęciu) zatrzymać to wyliczenie. (Jestem przekonany, ale nie mówię tego nazbyt głośno, że książki, przeczytane i nieprzeczytane, mają znaczący i niepoznany wpływ na cały obszar, nazwijmy go tak z braku lepszego określenia, fizjologii ducha – albo: na dobry lub zły stan zdrowia wewnętrznych oraz zewnętrznych organów). Widać na tym tle pewnie dobrze, że uwaga Brodskiego, z jaką zetknąłem się w młodości, powtórzona zapewne przez niego za którymś z klasyków, wedle której warto wyłącznie wracać do stu (liczba umowna) najważniejszych książek, utkwiła we mnie – jak strzała (Eleaty).

„Metodę antropocentryczną wymyślono dla przestępców i przez długi czas wyłącznie wobec nich ją stosowano. Jeszcze w 1943 roku Kongres Stanów Zjednoczonych odrzucił *Citizen Identification Act* przewidujący wystawianie dowodów tożsamości z odciskami palców wszystkim obywatelom. Zgodnie jednak z prawem, że to, co zostało wymyślone dla kryminalistów, cudzoziemców i Żydów, prędzej czy później zastosuje się wobec wszystkich innych, technika opracowana dla recydywistów objęła w XX wieku wszystkich obywateli. Zdjęcie rozpoznawcze, a przy nim niekiedy odcisk palca, stały się nierozłącznym składnikiem dowodu osobistego (swego rodzaju skondensowanego *arkusza Bertillona*), który stopniowo zaczął obowiązywać we wszystkich krajach świata. Kroku ostatecznego dokonano jednak dopiero w naszych czasach, a prace nadal trwają. Dzięki rozwojowi technologii umożliwiającej za pomocą skanerów optyczny zapis odcisków palców oraz struktury siatkówki i tęczówki, aparaty biometryczne stosuje się już nie tylko w komisariatach i urzędach imigracyjnych, ale i w życiu codziennym. Są kraje, gdzie wstęp do stołówek studenckich, do liceów, a nawet do szkół podstawowych (rzeczniczy rozwijającego się obecnie w zawrotnym tempie przemysłu biometrycznego zalecają, aby do tego typu kontroli przyzwyczajając obywateli od dziecka) reguluje biometryczna aparatura optyczna, do której uczeń w roztargnieniu przystawia dłoń. We wszystkich krajach Europy przygotowuje się nowy, biometryczny dowód osobisty (INES), wyposażony w elektroniczny mikrochip, który zawiera elementy identyfikacyjne (odciski palców i fotografię cyfrową) oraz wzór podpisu mający ułatwiać zawieranie transakcji handlowych. Ponadto w ramach

polityki rządów, w której hasła liberalne zbiegają się w osobliwy sposób z tendencją do wzmacniania struktur państwowych, zachodnie demokracje przygotowują się do sporządzenia archiwum DNA wszystkich obywateli ze względu na bezpieczeństwo i walkę z przestępczością, a także aby sprawnie zarządzać opieką zdrowotną ludności. [...] Sprowadzenie człowieka do nagiej egzystencji stało się dzisiaj faktem dokonanym w tak wysokim stopniu, że przyjęto je za podstawę tożsamości, którą państwo przyznaje swoim obywatelom. Pozbawiony nazwiska i narodowości więzień Auschwitz był jedynie wytatuowanym na swoim ramieniu numerem; współczesnego obywatela zagubionego w anonimowym tłumie i uważanego za potencjalnego przestępcę identyfikują tylko dane biometryczne, a w ostatecznym przypadku rodzaj antycznego fatum, jeszcze bardziej mętnego i niezrozumiałego: DNA”.

Giorgio Agamben, *Tożsamość bez osoby*, przełożył Krzysztof Żaboklicki

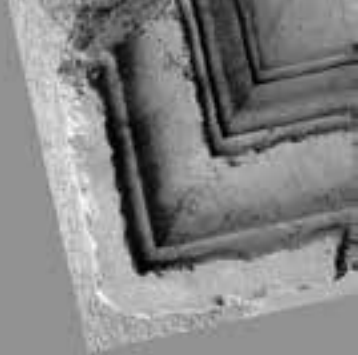
Ps 127

1. Pieśń pielgrzymia Salomona. – Jeżeli Bóg nie buduje domu, napróżno trdzą się budownicзовie nim; jeżeli Bóg nie strzeże grodu, napróżno czuwa straż.
2. Na marne wam, którzy wczesnie wstajecie, dopóżna przesiadujecie, pożywający chleb znoju; to samo daje ulubieńcowi swemu przez sen.
3. Oto darem Boga dzieci, nagrodą płód żywota.
4. Jak strzały w ręku bohatera, tak dzieci młodości.
5. Szczęsny mąż, który napełnił swój kołczan niemi; nie powstydzą się, gdy się rozprawią z nieprzyjacielem w bramie.

przełożył Izaak Cylkow



prenumerata



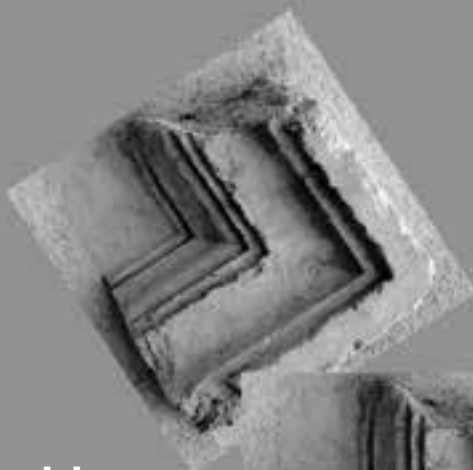
w kraju



za granicą

„Kwartalnik Artystyczny”

zawsze



i wszędzie



Podróże od zmierzchu do zmierzchu i od snu do snu

Paweł Hertz powiedział: „Dla mnie poezja jest sposobem najzwięźlejszego wypowiedania się jednostki, świadomej swojej przynależności historycznej do czasu, miejsca, obszaru kulturowego, tradycji i wspólnoty narodowej. O tej świadomej przynależności poety rozstrzyga nade wszystko czynnik językowy. [...] Poezja nie polega wyłącznie na nazywaniu rzeczy nowymi imionami. Z punktu widzenia kultury zabieg taki jest mało interesujący. Poezja jest przede wszystkim wyborem myśli... Myśli koherentnych, a zarazem indywidualnych”. Warto nadmienić, że Hertz z dużym dystansem podchodził do swojej twórczości literackiej, nie wyłączając eseistyki czy prozy fabularnej, gdyż ważniejsze było dlań zabieranie głosu w sprawach dla intelektualisty ważnych niż cyzelowanie formy, po-

szukiwanie oryginalnej frazy. W tym kontekście należy wspomnieć jego liczne prace edytorskie i translatorskie, obejmujące literaturę wieku XIX. To świadectwo niezaprzeczonego wkładu Hertza w polską kulturę.

Zarazem jednak trudno odmówić jego poezji niebanalnych metafor, obrazów zaskakujących swoją fakturą czy dopracowanej artystycznie struktury. Nie był jednak autor *Sedanu* estetycznym rewelatorem. Sięgał po rozwiązania formalnie niezłożone, świadomie realizował gatunki klasyczne (tren, elegię, pieśń, odę, list poetycki) oraz stosował tradycyjne rozwiązania rytmiczne, podkreślające śpiewność czy melodyjność języka ojczystego. W swojej pisarskiej działalności dawał pierwszeństwo rozważaniom kierowanym ku sprawom społecznym, sztuce i tradycji, ale też potrafił dyskretnie uchylić tajemnicę swojego życia intymnego. Szczególnie jego wczesne wiersze z tomików *Nocna muzyka* (1935) oraz *Szarfa ciemności* (1937) odsłaniają prywatne

oblicze autora *Sedanu*, próbującego wejść na właściwy, przez siebie wyszukany poetycki dukt. Na tym pierwszym etapie dominuje liryzm, który korzeniami sięga tradycji romantycznej i neoromantycznej.

To charakterystyczne, że wiersze Hertza z końca lat trzydziestych balansują między postawą dekadencją a afirmatywną, między adorowaniem sztuki a potrzebą łączności z naturą. We wczesnych, ale też i w wielu późniejszych utworach poetycki świat bardziej ciąży ku ciemności i nocy niż jasności i dniowi.

Nokturnowy charakter wczesnych wierszy Hertza wzmacniany jest nadto motywami śmierci, umierania, gaśnięcia, odchodzenia, tęsknoty, które tworzą mozaikę stanów ducha, ale nie są zapisem psychicznych doświadczeń człowieka. Większość utworów z tego okresu napisana została stylem wysokim, nawiązującym do tradycji liryki romantycznej i neoromantycznej, a zarazem poeta wykorzystał tropy klasyczne, za sprawą których sposób wyrażania emocji podlegał stylistycznemu ograniczeniu. Mądra rezygnacja z uniesień oraz mitygowanie stanów emocjonalnych dobrze oddają postawę mówiącego w wierszach Hertza. Jego liryczne wędrówki po Europie (*Próby, Do poety, Tristan, Nocleg, Rue Servandoni, Zaproszenie do podróży, Paryż 1939,*

Kopenhaga) również są niewolne od refleksji o przemijaniu i końcu ludzkiego życia lub tylko pewnych jego etapów, choć przecież pisał je człowiek bardzo młody, dwudziestoletni. Można by zatem postawę Hertza uznać za rodzaj manieri literackiej czy nawet pisarskiej maski, za którą ledwie rysują się przeżycia mówiącego. Wśród nich na pierwszym miejscu wymienilibym pragnienie artystycznego autentyzmu, literackiej wyrazistości i odrębności, bowiem zdolność składania fraz i wrażliwość na impulsy płynące z zewnątrz niczego jeszcze na poetyckiej drodze nie przesądzą. Sądzę właśnie, że kilkanaście wczesnych wierszy Hertza bardzo dobrze oddaje stan jego intelektualnej niepewności, wywołanej krytyczną oceną własnych poetyckich możliwości.

W kilku innych wierszach z tego samego okresu (*Do poety, Pióro, Do Safony, Baedeker, Tak się splątało*) sprawy tworzenia nabierają zasadniczego znaczenia jako literacki temat. Towarzyszy jednak tym autotematycznym rozważaniom niepewność podszyta świadomością własnych twórczych ograniczeń, które mówiący dość precyzyjnie rozpoznaje i próbuje nazwać. Co ciekawe, obok motywu pióra w dwóch autotematycznych wierszach pojawia się także maszyna do pisania jako atrybut poety.

Zwracam uwagę na ten detal obecny również w wierszu *Dwa małe traktaty filozoficzne*, choćby dlatego, że maszyna do pisania bardzo rzadko pojawia się w poezji jako narzędzie artysty; zazwyczaj jest ona ekwiwalentem czynności niewiele mającej wspólnego z aktywnością pisarską, a w szczególności z pisaniem poezji. Młody Hertz postępuje inaczej, uszlachetniając urządzenie, służące zazwyczaj do przepisywania czy kopiowania aniżeli tworzenia wierszy.

Autor konsekwentnie powraca do motywów onirycznych także w późniejszym okresie twórczości (na przykład *Dwa wiersze na dobrą intencję*, *Dwa małe traktaty filozoficzne*, *** (*Zła ciemność oczom, bezwładne ciało...*), *Wiersze paryskie*), co świadczy o szczególnym znaczeniu „snu”, „śnienia”, „senności”, „bezsensowności” jako zjawisk i procesów współtworzących poetycki, duchowy obraz jego świata. Trudno w trybie literackiej krytyki precyzyjnie wyjaśnić wszystkie aspekty użycia motywu snu i śnienia, ale warto wymienić najważniejsze. Po pierwsze, sen ma charakter stanu liminalnego, zamykającego pewien etap w życiu człowieka, a zarazem wyznaczającego moment otwarcia nowego. Dalej, przechodzenie – mniej lub bardziej dramatycznie ujęte w trybie poetyckiej wypowiedzi – od jednego

etapu życia do drugiego najczęściej oddzielone jest miarą snu lub tylko jego zapowiedzią. Po trzecie, stan oniryczny mówiącego staje się ekwiwalentem wyobraźni czy świadomości artystycznej, która w dalszym planie łączy się z postawą mówiącego wobec rzeczywistości:

Pióro me przelamane jest jak twoje wiosła.
Jest w tym zdrada towarzyszącej muzy:
Ona mnie, uśpionego, poprzez morze niosła,
Ze wzgórz pokazując piękne Syrakuzy.

Na szczątki nawy greckiej w Syrakuzach

Po czwarte, motywy oniryczne w poezji Hertza noszą także cechy projekcji zbiorowej. Na przykład w wierszu *Burza*, po raz pierwszy drukowanym w niniejszym tomie, sen wydaje się być zjawiskiem metafizycznym, które nie przynależy do doświadczeń jednego człowieka. Jest emanacją przeżyć wspólnoty ludzkiej lub całej generacji. Na koniec wreszcie, oniryczna aura jest często nieodłącznym elementem wypowiedzi lirycznej skoncentrowanej na sprawach intymnych. W *Elegii* oraz w *Elegii przed nocą* na pierwszy plan wysuwają się przeżycie miłosno-erotyczne i rodzaj nostalgicznego rozmarzenia ściśle związanego z motywiką snu, w którym mieści się również proces – z jednej strony – przemijania, śmierci, odchodzenia, rozpadu, a z drugiej – tworzenia.

Omawiany tom wzbogacony został przez Marka Zagańczyka esejem zatytułowanym *Więzień zimy*, w którym możemy przeczytać o różnych trybach lektury wierszy Pawła Hertza, choć biograficzny zostaje wskazany jako trafny. Nie chodzi wszakże o czytanie liryków przez pryzmat biografii autora *Sedanu* – choć to poniekąd narzuca się samo, a to z powodu osób, którym poeta zadedykował swoje utwory, a to z powodu wyraźnych odniesień do wędrówek po kraju i Europie – ale nade wszystko trzeba uwzględnić kontekst historyczny. Bogactwo doświadczeń życiowych pokolenia urodzonego na początku okresu międzywojnia, a dojrzewającego pod ognistą kopułą wojennego nieba, determinowało nie tylko formę poetycką, ale także dobór tematów. Krótko rzecz ujmując, dostrzegam pewien związek między strukturą wierszy Hertza a jego czasami. Otóż, omawiane liryki cechuje powściągliwość, dystans mówiącego do siebie i otaczającej go rzeczywistości. Rzekłbym, że „poetycka surowość” dominuje nad „poetycką grandilo kwencją” także wtedy, gdy autor podejmuje tematy kryzysu kultury europejskiej. Ale rezygnacja z drogi awangardzisty na rzecz artystycznej postawy dystansu i wycofania, także na polu języka poetyckiego, każe pytać o powody takiej decyzji.

Bez wątpienia wybór określonej estetyki literackiej wywołuje daleko idące konsekwencje w sposobie komunikowania się z Drugim. Być może jako edytor tekstów dziewiętnastowiecznych, znawca i admirator twórczości polskich romantyków szukał Hertz porozumienia ze swoim czytelnikiem – współczesnym i przyszłym – za pomocą języka poetyckiego, noszącego rozpoznawalne elementy uniwersalne. Imaginarium antyczne przetworzone zostało w oryginalny sposób przez autora *Sedanu* za pomocą trudnych, dwudziestowiecznych doświadczeń. To samo można powiedzieć o różnych sposobach wykorzystania dziewiętnastowiecznej tradycji literackiej w poezji Hertza. Intertekstualne gry, które podejmuje pisarz, z pewnością nie zaskakują czytelnika swoją oryginalnością, przeciwnie, autor konsekwentnie unika w swoich wierszach aury eksperymentu. W jakim zatem stopniu poezja Pawła Hertza przedstawiona w szerokim wyborze przez Marka Zagańczyka może pobudzać wyobraźnię współczesnej publiczności literackiej? Nie tyle chodzi mi o jej uniwersalną siłę, ile raczej o artystyczną wartość. *Wiersze zebrane* to książka niełatwa i wymagająca cierpliwości od czytelnika, który przyzwyczaił się patrzeć na zamknięty poetycki okres XX wieku jako na czas dominacji wszelkiej

maści modernizmów, estetycznych eksperymentów. Wiersze Hertza lokują się na marginesach głównych nurtów literatury minionego wieku, co nie znaczy, że liryczna podróż wraz z autorem *Sedanu* nie dostarcza intelektualnej przyjemności.

Maciej Wróblewski

Paweł Hertz, *Wiersze zebrane*, zebrał i posłowiem opatrzył Marek Zagańczyk, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019

Alfa, ale nie *macho*, Romeo, choć nienormatywny, Alfa bez ketmanu

Andrzejewski wraca, wraca na naszych oczach, a ponieważ jesteśmy w *momentum*, w jego pestce, możemy mniemać, iż wraca powoli. Przyjemnie obserwować ten powrót mnie i innym z pokolenia mojego i młodszego, którzy zetknęli się z Andrzejewskim wtedy, gdy nie był już wielką gwiazdą polskiej literatury (a powiadali niektórzy, że chodził, skacząc po górach czyścica); mam nadzieję, że przyjemnie i niektórym z tych, na których oczach gwiazda Andrzejewskiego jaśniała i potem bladeła. Wraca i wróżę, że zajmie (znów?) pozycję Alfę polskiej litera-

tury, a niekiedy także i Alefu, choć „alficzność” zostanie korzystnie zrewidowana: męskość Andrzejewskiego nie samca Alfa (i jako kochanka nie takiego archetypowego znów Romeo), ale na alfa pozycję wkroczy; a mówiąc Alfa, nie będziemy myśleli tylko przez pryzmat zniewolenia umysłu; strumienie Andrzejewskiego natomiast widzieć będziemy nie tylko przez pryzmat fał alfę, ale i beta; liczbą Alfa będzie 19.

Od poezji przejdźmy wszak do buchalterii. Wyliczmy niedawne oznaki „wracania”. Wraca w zbiorowym tomie *Jerzy Andrzejewski czytany na nowo* (2015), pokłosiu konferencji młodych badaczy, z których najstarszym byłem ja sam. Wraca w nowej a świetnej biografii Anny Synoradzkiej-Demadre (2016). Wraca w spektaklu *Bramy rajy* dla Teatru imienia Wilama Horzycy (2015), choć (jako że go widziałem) czekałbym na więcej. Wraca w rewizyjnych i re-wizyjnych, by tak rzec, artykułach młodszego pokolenia badaczy, szczególnie Wojciecha Śmieci i moich. Wraca w szczerym zainteresowaniu, a niekiedy zafascynowaniu młodych studentów filologii – sam promowałem dwie prace o Andrzejewskim. Powiada bardzo trafnie a aforystycznie Andrzej Skrendo w posłowiu do najnowszego wydania dzieł Andrzejewskiego: „[...] najpoważniejszy problem w czytaniu Andrze-

jewskiego stanowi zatem chyba jego niegdysiejsza sława – bywa, że traktowana z pewnym niedowierzaniem, i pospolicie owocująca oskarżeniami o koniunkturalizm. A także – uznawana chętnie za klucz do jego osobowości – megalomania”. I dalej stwierdza, że dawna sława pisarza opierała się na wykluczeniu z pola widzenia (także przez badaczy) jego prywatności, homoseksualności i alkoholizmu przede wszystkim, oraz trudnych uwikłań rodzinnych, nie tylko z żoną, ale i dziećmi (w tym nie wyłącznie własnymi biologicznymi): „[...] nieco żartobliwie mówiąc, dawna sława Andrzejewskiego przeszkadza nam w kontakcie z jego dziełem; to, co nazwać by można dziejami jego niesławy, wydaje się intrygujące”. Niegdysiejsze „marginesy” – niegdysiejsza sfera „beta” – wraca dziś jako centrum, jako „alfa”; ale alfa zrewidowana. Na kanwie tego rozpoznania Skrendy chcę dodać, że dowodem na to, że dzieło Andrzejewskiego jest dziś żywe i może jego prawdziwe docenienie, jak brama raju, mający dopiero przed nami, jest fakt, że pokolenie nieobciążone wizją dawnej sławy (alias megalomanii – alias „alfaomegizmu”) Andrzejewskiego chce go czytać, chce o nim pisać i robi to inaczej niż dotychczas. W tę strategię powrotu wpisuje się najnowsze czterotomowe wydanie *Próz wybranych* Andrze-

jewskiego z pięknym wielkim „A” na okładce (Alfa!).

Strategię tę potwierdza także wybór Andrzeja Skrendy na autora posłowie do niniejszego wyboru, jako że Skrendo Andrzejewskim się dotąd nie zajmował badawczo, jest zaś świetnym znawcą polskiego modernizmu i postmodernizmu, szczególnie poetyckiego. Jego świeże i nieobciążone spojrzenie wpisuje się w to, co piszą, piszemy o Andrzejewskim ostatnio. Kiedy powiada w pluralis: „[...] niekiedy wydaje się, że Andrzejewski w całości utopiony jest w kulturze PRL – i to nie tylko tam, gdzie jest najślabszy, ale także tam, gdzie najlepszy [...] być może dzieje się na odwrót: to my, jego dzisiejsi czytelnicy jesteśmy PRL-em naznaczeni, jak trauma wraca on do nas, wywołując kryzysy tożsamości”, to myślę, że mówi w liczbie mnogiej z uprzejmości, by tak rzec, gdyż sam (biologicznie) nie na tyle PRL-em jest przesiąknięty, a my, młodszy, jeszcze mniej (rzecz by można problematyzować, oczywiście, nie trzeba żyć długo w PRL-u, by doświadczać potem jego uporczywych skutków, biurokratycznego *danse macabre homo sovieticus*, jeśli mogę tak to określić). W istocie, jak szkicowo próbowałem to pokazać we wstępie do mojej książki *Polish Queer Modernism* (2015), omawiając krótko jako modelowy tekst *Idzie skacząc po górach*,

a co jeszcze może przyjdzie kiedyś rozwinąć, wspomniana powieść do spółki z *Miazgą* metatematycznie problematyzują zagadnienie „wielości modernizmów”, w tym unikalnego zjawiska, jakim był „modernizm środkowoeuropejski komunistyczny” (mówię skrótowo – rzecz rozwijam właśnie w swojej książce), zupełnie niezrozumiałego z pozycji rzekomo „centralnego” modernizmu paryskiego. Andrzejewski pokazał, jak owa centralna pozycja umiera (z czym wiąże się też i kruszenie się pozycji literatury jako takiej, o czym dalej). Przy takim postawieniu sprawy zmuszeni jesteśmy uznać, że Gombrowicz – na przykład – nie miał dostępu do owego mało znanego, mało nagłośnionego (wówczas, bo dziś coraz silniej narasta czy wraca on jako temat badawczy, a to oznacza właśnie dla Andrzejewskiego – choć też i Białoszewskiego na przykład – i to, że ich dzieła, czytane na nowo, mogą „wracać i narastać” wraz z takimi badaniami) i traktowanego jako marginalny modernizmu. Dopóki nie kwestionowano centralności modernizmu „zachodniego”, nasz komunistyczny środkowoeuropejski traktując jako „gorszego brata”, „słabszą kopię”, „tego, który bardzo by chciał dorosnąć, ale nie może dogonić”, dopóty przewaga Gombrowicza nad wieloma pisarzami „stać” zdawała się oczywista.

Ale to się poczyna zmieniać. I nie na korzyść czy niekorzyść jednego czy drugiego (wariantu modernizmu oraz pisarza), odstąpmy od myślenia sztafetą. Tak, przesunięcia dawnych „marginesów” nie „w miejsce dawnego centrum”, ale ku „współcentrum”, nie substytucja, a „współkonstytucja” (?), to dotyczy nie tylko Andrzejewskiego, ale jest szerszą strategią, *signum temporis*, możemy nawet powiedzieć. I powrotowi Andrzejewskiego sprzyja.

Nowy czterotomowy wybór proponuję uznać za objaw „normalizacji” (przy wszelkich zastrzeżeniach, jakie to piętnujące słowo może budzić) obecności Andrzejewskiego. W jakim sensie? Nie jest to bowiem edycja, która rozstrzyga ważne problemy edytorskie andrzejewskologii. A tych jest sporo. I należy je, znowuż, buchalteryjnie wyliczyć. Po pierwsze, palącą potrzebą jest wznowienie, krytyczne wydanie debiutanckiego tomu opowiadań *Drogi nieuniknione*; słyszałem, że ktoś nad taką edycją pracuje. Ale słyszałem to pięć lat temu. Po drugie, a bardzo zasadnicze: niezbędne jest pierwsze krytyczne wydanie powieści, która przyniosła wielką sławę autorowi, czyli *Popiołu i diamentu* – najlepiej w serii Biblioteki Narodowej (lub w każdym razie w podobnej konwencji), gdzie w r e s z c i e moglibyśmy porów-

nać pierwodruki prasowe (pt. *Zaraz po wojnie*) z wersją pierwotną oraz z kolejnymi wydaniem, wszystkie albowiem późniejsze wznowienia – a nakłady ich idą chyba w miliony – opierają się na, niestety, wersji przerobionej w głębokim stalinizmie! Któż opracowałby taką edycję lepiej niż Anna Synoradzka-Demadre? Jakkolwiek ja sam sympatii dla tej powieści mam akurat mniej (niż wobec innych dzieł pisarza), to z pewnością potrzebujemy krytycznej rewizji tego tekstu zarówno od strony „artystycznej”, jak i od strony mitu, którym się on stał w kulturze PRL-u. Po trzecie, czekamy bardzo na „tajny dziennik” Andrzejewskiego, choć tu chyba możemy być spokojni, bo zaiste rzeczona Anna Synoradzka-Demadre od lat nad jego edycją pracuje (kontynuując metaforę fal – twórczość oficjalna JA, w tym jego oficjalne dzienniki, reprezentowałyby „fale alfa”, natomiast tajne dzienniki oraz listy – „fale beta”, podobnie jak pierwsza biografia autorstwa Synoradzkiej-Demadre z 1997 roku reprezentuje „fale alfa”, zaś ta z 2016 roku – „fale beta”). Po czwarte, istnieje w archiwach pełna – czy pierwotna – wersja *Idzie skacząc po górach*, dużo ostrzejsza językowo (jak to się mówi, „wulgarniejsza”) i „obyczajowo” (jak to się mówi, „pornograficzniejsza”). Pisarz niemal w ostatniej

chwili – niestety! – pod wpływem listu Iwaszkiewicza („kochanie, takie rzeczy nie u nas”) wykastrował swój tekst. Podobno edycja taka jest przygotowywana – ale, znów, słyszałem o tym więcej niż dziesięć lat temu. Po piąte, potrzebna nam edycja tekstów pomniejszych – wiele z korespondencji pisarza pozostaje w rękopisach; wiemy, że krótko po sukcesie genialnych *Bram raju* JA drukował w prasie literackiej fragmenty kontynuacji (można do nich dotrzeć, oczywiście, ale dobrze byłoby tego rodzaju rozproszone prozy wydać). Po szóste – to może się wydać kontrowersyjne – potrzebujemy wznowienia i krytycznego omówienia „powieści wyklętej”, czyli *Wojny skutecznej, czyli opisu potyczek i bitew z Zadufkami* (1953). Tylko za-sygnalizuję swoje stanowisko: otóż powszechnie powieść ta – rzadko czytana – uchodzi za potworne „zeszmacenie” stalinizmem; moim zdaniem jest to niezwykle przewrotny persyflaż i stylistycznie intrygująca sylwa, która z rozmaitych powodów (także i tych, że wchodzi w wielorakie związki z innymi wątkami z innych próz pisarza) powinna być włączona na powrót w obręb jego dzieła. Na taką edycję w każdym razie mam pomysł; na krytyczne wznowienia *Partii i twórczości pisarza czy O człowieku radzieckim* akurat pomysłu nie mam. Mogę te

teksty skomentować tylko tak, że zdumiewa to, jak wybitny stylistą potrafił pisać partackim stylem, jak zupełnie inna osoba, jak jaki nieuk. Nad tym można się zastanowić. I ów PRL trzeba będzie kiedyś zrewidować *sine ira et studio*.

Na wszystkie te wyzwania więc, oczywiście, niniejsza edycja nie odpowiada, bo nie taki był jej cel. Choć edycja ta może być pomocna badaczom, którzy dotychczas nie zgromadzili kolekcji dzieł Andrzejewskiego, to jej adresatem jest – i powinien być – przede wszystkim czytelnik szerszy. Nad sferą wyborów zawsze można oczywiście dyskutować. Gdybym to ja wybierał czy uczestniczył w naradach, z pewnością rozważyłbym publikację raczej *Wielkiego Tygodnia* (niesłusznie, moim zdaniem, kładzie się na nim cieniem krytyka Miłosza w rozdziale o Alfie *Zniewolonego umysłu*) aniżeli *Ład serca*, gdyby trzeba było ze względu na objętość wybierać. *Ład serca* jest powieścią dla mojego dzisiejszego oka dziwaczną, gdy czytana w dobrej wierze (to znaczy też jako „katolicką”), może niezrozumianą jeszcze, jest w każdym razie o czym pisać, natomiast jej atrakcyjność czytelnicza (nie badawcza) jest dziś, myślę, „połowiczna” (to nie całkiem eufemizm, niektóre sceny są naprawdę intrygujące). Decyzję o niewydrulkowaniu *Popiołu i diamentu* chyba

należałoby jednak jakoś wyjaśnić, skoro dla wielu czytelników jest to jedyny tytuł kojarzący się z nazwiskiem Andrzejewskiego (wyjaśnienie to może być najprostsze: jest to tekst łatwo dostępny, choć, jak zastrzegalem, w wątpliwych wersjach). Wspomniane, że wydrukowano wszystkie genialne groteski wojenne w pierwszym tomie, zbierającym opowiadania, oraz że uwzględniono w nim dwa opowiadania z debiutanckiego, trudno dziś dostępnego zbioru. Dorzuciłbym jednak kilka (krótkich zresztą) opowiadań z tomu *Nowe opowiadania*, choćby *Modlitwy* – to absolutna perła. Wielką zaletą tego wyboru natomiast jest przedrukowanie tej najważniejszej wersji *Miazgi*, wypracowanej przez Annę Synoradzką-Demadre dla Biblioteki Narodowej w 2002 roku – od tego czasu to pierwsze wznowienie! O ile się nie mylę, dostajemy także pierwsze wznowienie powieści *Nikt* od czasu pierwszego wydania w 1983 roku. A jest to powieść niezwykle interesująca, choć w samej andrzejewskologii jakby marginalna.

Jeśli wolno mi podsumować to omówienie wnioskiem, który mi się nasunął po ponownej sumarycznej lekturze tego dzieła – jakoś, być może, otwierającym przyszłe kierunki myślenia (i badań) nad Alfą – to rzekłbym, że Andrzejewski wydaje się najwybitniejszy wtedy,

kiedy jest blisko doświadczenia marginalności, ponieważ wtedy jego głos, jego konstrukcje postaci są „szczerze” (jakkolwiek to niepochwytne, a niekiedy i podejrzana kategoria), nie zaś wtedy, kiedy jest „człowiekiem (pisarzem) sukcesu”. Jak to rozumieć? Wartość wczesnych opowiadań Andrzejewskiego wynika z artystycznego przetworzenia własnego doświadczenia ubóstwa i walki o utrzymanie. Zdeklasowani inteligenci, biedni robotnicy z tych opowiadań przedwojennych nie są „papierowi”. A tacy są w dużej mierze bohaterowie i *Ładu serca*, i „poważnych” (nie groteskowych) opowiadań wojennych, i *Popiołu i diamentu* (o porażająco sztucznym języku stalinowskich książeczek już wspominałem), tekstów pisanych z myślą o tym, by się podobać, by odnieść sukces. Pokusa sukcesu bądź mówienia w imieniu władzy czy „zwycięskich” najwyraźniej, niestety, wyzwała w pisarzu ton, którym on nie jest w stanie przekonać nas, że sam jest do niego przekonany – nie wierzymy mu do końca, bo on sam sobie nie wierzy. Oczywiście, mówię to ze swojej, a i dzisiejszej perspektywy, wszelako *Ład serca* i *Popiół i diament* odniosły sukces. Ale, jak to widzę, sukces bez „poniżenia”, bez sobowtóra „porażki” albo w każdym razie „ryzyka”, po prostu pisarzowi nie służył. Wspa-

niałe są i późniejsze opowiadania, w tym przedrukowane w niniejszym wyborze *Po tamtej stronie*, wspomniane *Modlitwy*, *Dużo piasku i mało* (tu nieobecne), także oczywiście *Apelacja*, wszystkie zgłębiające cierpienie, będące blisko „upadku”, rozumianego z wnętrza własnego alkoholizmu i homoseksualności. Sam pisarz chyba uważał podobnie, wyraża to sławetna formuła z listu do Czesława Miłosza (przypomina ją i Skrendo w *Posłowie*): „[...] istnieje w Polsce bardzo wielu ludzi, którzy chcieliby we mnie widzieć spadkobiercę wielkiej literatury obywatelskiej, wnuczka Żeromskiego i Dąbrowskiej, a prawda na tym polega, że w gruncie rzeczy o niczym innym nie marzę, tylko wiem równocześnie, że do podobnej roli się nie nadaję i zarówno z racji mego życia osobistego (pijak, homoseksualista), jak i z racji mojej literatury”. W 1967 roku mogło się to pisarzowi wydawać rozbieżne; mógł uważać, że „literatura obywatelska” musi łączyć się z „wielką”, albo raczej to nie jemu się tak wydawało, taki był paradygmat – i przymus – kultury polskiej, tymczasem dziś widzimy, że te kategorie nie są rozbieżne, one łączą się bez kwalifikatora „wielka”, a w miejsce „literatury obywatelskiej” mamy „literaturę ludzką (empatyczną)”. Dorzućmy cytat z *Po tamtej stronie*: „[...] nie mam bo-

wiem sympatii do naigrawania się ze zwyciężonych. Pewien gatunek ludzi może mnie odstręczać, mogą pewnych ludzi za to, kim są, co reprezentują i co czynią – nienawidzić, mogą nimi gardzić, lecz tylko wówczas, gdy są na górze; wykolejeni po kraksie, zepchnięci ze szczytów, pozbawieni przywilejów i odarci z sakry, już nie budzą we mnie uczuć złych i rozjątrzonych, litość budzą, nie potrafię nienawidzić aż do kresu i aż poza jego kres”. Narcyzm artysty – Andrzejewski dobrze go znał, ale też go zdemitologizował wielokrotnie (*Narcyz, Idzie skacząc po górach, Miazga, Już prawie nic*), być może jest cieniem stale idącym za twórcą, stałym wyzwaniem; ale tak, jak postrzegam tę sztukę dziś, nie jestem w stanie mówić o „megalomanii” ani też „egotyzmie” i „pięknoduchostwie” (*alias „prymusoidalności”*) tego pisarza – w pierwszej kolejności uznaję je za cenę, którą musiał płacić (i wiedział, że płaci) za owo bycie obok poniżonych, a połączone z umiejętnością mówienia o nich oraz w ich imieniu. Nim się jednak wzruszymy tym nieco podniosłym opisem, trzeba dodać, że Andrzejewski jest też jedną z najjaśniejszych Alf Centauri polskiego komizmu. Trafnie powiada także Skrendo, że Andrzejewski dostrzega upadek mitu pisarza i literatury w XX

wieku, choć gdy dodaje, że sam jest zanurzony w dawnym modelu komunikacyjnym – zgłaszam polemikę. To, co chcę teraz zaproponować, wiąże się i z owym byciem (przy) zmarginalizowanym, i ze wskazanym ukruszeniem literatury i roli pisarza. Otóż Andrzejewski należy do jednych z pierwszych w polskiej literaturze – zapewne wspólnie z Białoszewskim – świadomych twórców strategii określanej dziś jako „sztuka porażki”, a także „queerowa sztuka porażki”. Czymże innym jest *Miazga*, stale chwiejąca się między nogą „arcydzieła” a drugą „kulawą”, kompromitacji takich ideałów „dzieła” i „piękna”? Owo dawne „arcydzieło”, ta Alfa i Omega sztuki, Andrzejewskiemu kojarzy się z fałszem języka i oderwaniem od „ciemnego źródła natchnienia”, czyli własnego „poniżenia”, „cierpienia” i „marginalizacji” – ponieważ sam tak właśnie rozumiał swoje artystyczne „sukcesy” i „namaszczenia”. Ale o „queerowej sztuce porażki” u Alfego wiele jeszcze stron powstanie.

Piotr Sobolczyk

Jerzy Andrzejewski, *Prozy wybrane*, tomy 1–4, postłowie Andrzej Skrendo, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2019

Joanna pisze – z potrzeby pisania, Wisława milczy – z potrzeby milczenia

Mam przed sobą książkowy rarytas, wydany przez „Znak” – zbiór listów, kartek, karteczek, wymienianych od roku 1954 do 2011 przez Joannę Kulmową i Wisławę Szymborską. Ich suma tworzy niezwykłą opowieść o przyjaźni dwóch poetek, dwóch różnych, silnych osobowości, które wychodziły sobie naprzeciw, przezwyciężając fizyczną odległość i bariery, fundowane im przez wymogi życia.

Opowieść wyłania się, nabiera barw, odcieni więzi emocjonalnej z listu na list, by w latach dziewięćdziesiątych (szczególnie po śmierci Kornela Filipowicza w lutym 1990 roku) wyciszyć się do karteczek z życzeniami na Nowy Rok czy Boże Narodzenie. Zagarnia różne historyczne czasy, zakręty biografii, ważne przeżycia każdej z nich. Przerzuca most porozumienia nadzwyczaj trwałe, zważywszy na fakt, że w ciągu niemal sześćdziesięciu lat trwania tej niezwykłej korespondencji poetki widziały się, spotkały osobiście zaledwie kilka razy! Uprawiają, ba!, pogłębiają wciąż bliskość na dystans. Osobliwy oksymoron. A przecież

zapraszają się do siebie nieustająco! To stały lejtmotyw ich listów. Joanna Kulmowa uparcie, z niegasnącą w ciągu lat nadzieją zaprasza Wisławę Szymborską (także z Kornelem Filipowiczem) do Strumian – malowniczej leśnej samotni pod Szczecinem, którą dzieli z mężem, filozofem, reżyserem, pianistą i pisarzem Janem Kulmą. Szymborska z kolei zaprasza Kulmową raz po raz do Krakowa, zachwalając uroki kolejnych swoich mieszkań, lub usiłuje ją ściągnąć do zakopiańskiej „Astorii”, gdzie każdej jesieni przyjeżdża i gdzie, w październiku 1996 roku, zaskoczyła ją wiadomość o przyznaniu Nagrody Nobla.

Na okładce dwie śliczne „poetessy” – jak mawiało się jeszcze w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, na pół z podziwem, na pół z ironicznym przekąsem (Urszula Chęcińska – szczecińska literaturoznawczyni, badaczka twórczości Kulmowej, autorka niezwykle starannego opracowania krytycznego *Listów* – nadaje temu określeniu rzadki odcień liryczny: „Dwie Poetessy. Zawsze będą w skowronkach. I zawsze w radości”). Po lewej stronie Joanna – jeszcze dziewczęca, rozradowana, młodzieńczo ufna, po prawej – Wisława, młoda (pięć lat starsza od Joanny), uśmiechnięta, ale już z uważnym spojrzeniem mędrca ze „szkiełkiem” i nieodłącznym,

cieniutkim papierosem w dłoni. Tytuł książki o rozbijającym wdzięku:

Tak wygląda prawdziwa poetka, podciągnij się! Nie ma wątpliwości, z czyjego listu wybiega ta absurdalnie „instruktażowa” porada.

Początek korespondencji jest oficjalny: Szymborska, już od dziesięciu lat prowadząca dział poezji w krakowskim „Życiu Literackim”, odpowiada debutantce 14 lutego 1954 roku w imieniu zespołu redakcyjnego, chwalać jej „wytrawne posługiwanie się materiałem poetyckim”. Uderza sposób, w jaki zwraca się do „Szanownej koleżanki” tylko ten jeden raz: „Lektura Waszych wierszy sprawiła nam żywą przyjemność”. „Waszych”. Widocznie wcześniej taki korespondencyjny uzus obowiązywał. *Signum temporis*: przecież to niespełna rok po śmierci Stalina!

Przyjmując do druku w „Życiu Literackim” kolejne wiersze Kulmowej, w lipcu 1957 roku Szymborska pisze, wciąż jeszcze na papierze firmowym: „Miła Pani Joanno! Cieszę się, że Pani o nas pamiętała”. Wiersze Kulmowej podobają się Szymborskiej zdecydowanie. Rok później, wciąż z pozycji osoby władnej oceniać, akceptować czy odrzucać, zauważa: „Wskrzesa Pani nurt tuwimowski w poezji – a nawet leśmianowski. Nie jest to ani modne, ani popularne [...]”. I dalej: „Cenię sobie Pani debiut również

i dlatego, że jest taki inny od obecnych debiutów”.

Po dwuletniej przerwie Kulmowa znów przysyła Szymborskiej nowe wiersze, ale tym razem, z właściwą sobie bezpośredniością, spragniona kontaktu, daje upust nieprzepracowanej potrzebie opowiadania o sobie, o Strumianach („Aha, bo Pani oczywiście nie wie, dlaczego żyję poza światem!”), o życiu w środku Puszczy Goleniowskiej, oczywiście z ukochanym Janem Kulmą, matką, czterema kotami i dwoma psami, o tym, dlaczego wynieśli się z Warszawy, „żeby popracować spokojnie i nie biegać za forszą”, o licznych i sławnych gościach, którzy ich w dawnej leśniczówce chętnie nawiedzają (wśród nich „Iłła” – Kazimiera Iłłakowiczówna, Aleksander Bardini, Artur Sandauer z Erną Rosenstein, Kazimierz Rudzki). Pojawia się, na wczesnym etapie znajomości, prośba, aby „odwiedziła nas Pani w wolnej chwili – tu można naprawdę wypocząć i popracować, a jednocześnie sprawić swoim przyjazdem prawdziwą radość gospodarzom”. I tłumaczenie z epistolograficznej rozrzutności: „Piszę dużo, bo mam na to czas”. Kulmowa gratuluje także Szymborskiej sukcesu *Soli*, za który to tomik wierszy krakowska poetka otrzymała Nagrodę Ministra Kultury i Sztuki II stopnia.

Sukces ten Wisława i Joanna „ob-
lewać” będą na obiedzie u „Wierzyn-
ka” podczas ich pierwszego, pamięt-
nego spotkania we wrześniu 1963
roku, zwieńczonego bruderszaftem,
spotkania, które zmieni w sposób
decydujący klimat wzajemnych
kontaktów i dalszej korespondencji.
Zwłaszcza Kulmowa poczuje się
od tej pory w swoim epistolarnym
żywiolu. Obowiązuje umowa, wy-
myślona przez strumiańską poetkę:
Joanna pisze z potrzeby pisania,
Wisława milczy z potrzeby milczenia.
Oddaje ona znakomicie różnice oso-
bowościowe ich obu, akceptowane
w pokorze przez tę młodszą: Joanna
zwraca się do bliskiej – dalekiej
przyjaciółki z wylewną serdeczno-
ścią, wręcz z uwielbieniem: „Wisła-
wo Najmilsza, Wisławo Dostojna,
Wisławo Szumna, Najmilsza z Wi-
sław”. Szymborska nie pozostaje jej
dłużna, ale po swojemu, na przy-
kład: „Jutro jadę do Zakopanego na
3 tygodnie, potem do Gruzji, gdzie
może wtajemniczę kilku ognistych
brunetów w piękno Twojej poezji.
Całuję, Wisława”. Albo: „Odezwij się:
jak zdrowie, twórczość, dom, mąż,
psy, suknie, ideały i porywy?... Kiedy
przyjazd do Krakowa?”. Wspólne im
jest niebywałe poczucie humoru,
u każdej manifestujące się inaczej:
Joanna wyżywa się w słowotwór-
czych szaleństwach swoich opowie-
ści, przechodząc od erudycyjnych

asocjacji do zabawnych kolokwiali-
zmów, jest na językowym luzie, pod
podszewką którego wyczuwa się
także doświadczenie aktorki (Kul-
mowa ma za sobą studia teatralne).
Wisława bryluje jakby od niechcienia,
powściągliwa, lakoniczna, często
z surrealistycznym błyskiem, i za-
wsze oszałamiająco celna.

Joanna, w liście z 1965 roku: „[...]
jestem zaorana paskudnie, bo wzię-
łam 120 zobowiązań. Gdyż Kulmowie
upadli na głowę i kupili sobie tra-
banta na raty”. (Kto jeszcze pamięta
to enerdowskie osiągnięcie motory-
zacji?) „Teraz trzeba orać i laborać”
(tu w przypisie nieoceniona Urszula
Chęcińska pracowicie wyjaśnia
znaczenie spolszczonych dowcipnie
przez Kulmową łącińskich czasowni-
ków). Z kolei Szymborska, nie chcąc
popaść w ton zbyt jednoznacznie
serio jak dla ich wielowymiarowej
relacji, pisze często z łobuzerskim
przymrużeniem oka, choćby w tym
liście z 22 maja 1971 roku: „Kochana
Joanno! W pierwszych słowach
pocztówki własnego wyrobu
donoszę Ci, że byłam w Kielcach na
Konkursie Recytatorów i tam w kółko
musałam wysłuchiwać recytacji
wierszy niejakiej Kulmowej. Ta jakaś
Kulmowa jest bardzo popularna
i chętnie wygłaszana. Plasuje się na
drugim miejscu po Norwidzie. Jak
tak dalej pójdzie, to za kilka lat bę-
dzie to Konkurs wierszy Kulmowej”.

Skądinąd nie szczędzi Joannie słów uznania i zachwytu dla jej poezji i prozy: „Kochana Moja! Sprawiała mi wielką radość *Leokadię*” (tu przypis niezawodnej Urszuli Chęcińskiej: „*Powieść Wio, Leokadio!* wyróżniona została w 1971 r. przez UNESCO jako jedna z najpoczytniejszych książek dziecięcych w Europie”). „Przeczytałam z zazdrością. Urocze, śmieszne, z wyobraźnią, doprawdy aż szkoda tego dla tych okropnych dzieci”. A gdy otrzyma od Joanny i przeczyta jej świeżo wydany tomik poetycki *Cykuta*, zareaguje entuzjastycznie i bardzo serio: „Kochana Kulmowa! Z wielką radością przeczytałam Twoje wiersze nareszcie do kupki zebrane i stanowiące bardzo poważną i ważną książkę [...] Wynika z tego **osobowość**, czyli właśnie to i tylko to, co naprawdę liczy się w poezji” (list z 15 sierpnia 1967 roku). Z biegiem lat, poznając coraz lepiej twórczość wszechstronnie utalentowanej i pracowitej przyjaciółki, nie szczędzi jej szczerych słów podziwu: „Jeszcze nie podziękowałam Ci za świetny zbiór nowych wierszy [...] Kulmowa, słuchaj, wiersze są arcy! [...] Jakieś to wszystko stylistycznie odnowione, język akrobatycznie sprawny. Poza tym, służy on czemuś, co jest ważne. Ale Kulmowa, napisz czasem o naszej biednej ludzkości coś dobrego, coś co mimo wszystko da się o niej powiedzieć. Sama się z tym zmagam

i nie bardzo mi się udaje. Może Tobie się uda?” (list z 1979 roku).

Obie poetki żyją literaturą, niczym mityczny król Midas przemieniają swoje epistolarne wynurzenia w złoto literatury, oddają się kapitalnym igraszkom z językiem, ale to tylko niebagatelna część uroku ich korespondencji. Bo są w niej, dopowiadające ją, słynne kolażki Wisławy, wyklejanki, „pocztówki własnego wyrobu”, komiksy sięgające do antyku, reprodukcje młodo-polskich i innych artystów, ilustracje do *Lilli Wenedy* Andriollego, którego uwielbia Joanna (a także pisząca te słowa). A wszechstronna Kulmowa sroce spod ogona nie wypadła – partneruje Szymborskiej nie tylko dowcipem, lecz także talentem malarzkim i graficznym, przesyłając jej w karteczkach, głównie tych okazjonalnych z życzeniami, śliczne akwarelki, rysunekczki „własnego wyrobu”, zalecające się cieniutką, precyzyjną kreską. Listy obdarzających się wzajemnie „poetess w skowronkach” to prawdziwa rozkosz dla oka! Nie tylko dla intelektu.

Od czasu do czasu uobecnia się w nich także – mimochodem – wielka Historia. Dochodzi ona do głosu przede wszystkim dzięki bardziej ekstrawertycznej Joannie, zaangażowanej w rozmaite szeroko zakrojone kulturowe akcje, inicjatywy, zwłaszcza po wyjeździe ze Strumian

i powrocie z Janem do Warszawy, kiedy to – znalazłszy się wśród członków-założycieli Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, Kulmowa włączyła się aktywnie w prace Stowarzyszenia, została prezesem Oddziału Warszawskiego. Ale wcześniej, jeszcze w epoce Strumian, przyjechała do Warszawy, by wziąć udział w obradach Niezależnego Kongresu Kultury Polskiej, dramatycznie przerwane 13 grudnia 1981 roku. Dzień później, już ze Strumian, pisze: „Wisława Kochana, piszę odkrytkę, żeby ułatwić czytanie po drodze” („Kulmowa nawiązuje do kontroli korespondencji wprowadzonej na czas stanu wojennego” – cytuję przypis Urszuli Chęcińskiej). „Wybacz, że kartka taka nędzna, ale to wszystko nędzne [...] trzeciego dnia i tak doznaliśmy szoku – wszystko się skończyło”. Tuż przed Wielkanocą 1984 roku donosi: „Kartek w tym roku nie zdobyłam, więc nie wysyłam. Masło zdobyłam (2 godziny w kolejce), a szynkę i kiełbasę dowieźli przyjaciele, którzy pobyli u nas przez te trzy dni (od Wielkiego Piątku do dzisiaj)”. Za to w bożonarodzeniowej karteczce z życzeniami, ozdobionej piękną akwarelką przedstawiającą Marię z Dzieciątkiem na osiołku, Józefa obok, uciekających przed Herodem, Joanna (do „Wisławy Kochanej”) brzmi w zgoła innej tonacji: „Czasy piękne i ciężkie, a my bądźmy pełni

nadziei” (21 grudnia 1989 roku). Trudno o bardziej sugestywną kondensację roku 1989. O roku ów...

Od ośmiu lat nie ma już z nami fizycznie Wisławy Szymborskiej.

„Takie piękne listy piszesz, jakby jeszcze nie ze wszystkim minął wiek XIX. Ja odwzajemniam się w stylu wieku XX i wiem, że nie mam racji ani wobec Boga, ani Historii, ani przede wszystkim Ciebie” (list z 1977 roku).

Joanna Kulmowa odeszła całym niedawno.

Jeszcze wydaje mi się, że widzę jej wysoką, energiczną postać w drzwiach sekretariatu Oddziału Warszawskiego SPP.

Niebываłe listy „poetess” skrzą się i trwają na półkach archiwum Wisławy Szymborskiej i w sali Joanny i Jana Kulmów w Bibliotece Głównej Uniwersytetu Szczecińskiego. A nam musi wystarczyć wystukiwanie maili, zagrożonych znikaniem, wirusem, wpadających w czarną dziurę efemerycznych znaków. Na takim tle tym jaśniej świecą unikalne, odręcznie pisane korespondencje poetek – dziełka sztuki.

Krystyna Rodowska

Listy. Tak wygląda prawdziwa poetka, podciągij się! Joanna Kulmowa, Wisława Szymborska, wstęp, opracowanie i posłowie Urszula Chęcińska, Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”, Kraków 2019

Wszystkie imiona chłodu

Liczący prawie trzysta pięćdziesiąt stron wybór wierszy z czternastu tomów wydanych w latach 1975–2012 przez Krzysztofa Boczkowskiego jest w polskiej poezji zjawiskiem osobnym i wyjątkowym. Częściowo dlatego, że jego pomysłodawczyni i redaktorka, Anna Piwkowska, zaprojektowała właściwie coś w rodzaju poetyckiej *summy*, swoisty „kalendarz i klepsydrę”, „kronikę wypadków miłosnych” (by pozostać przy metaforach podsuwanych przez tytuły dzieł Tadeusza Konwickiego). Oprócz tego, że *Szkielet Boga. Wybór wierszy z lat 1975–2012* to wybór reprezentatywny i literacko niezwykle interesujący, mamy do czynienia po prostu ze znakomitą, choć zbyt słabo znaną poezją, wciąż czekającą na wielostronne opracowanie. Jak napisał Wojciech Śmieja w swojej książce *Homoseksualność i polska nowoczesność. Szkice o teorii, historii i literaturze*: „Boczkowski jest niewątpliwie poetą kultury, a wysoka

dykcja jest dlań najnaturalniejszą. Od jego debiutu poetyckiego upłynęło ponad 40 lat i twórczość – bogata, zróżnicowana, konsekwentna – aż prosiłaby się o jakąś monografię”. Omawiany wybór nie tylko przypomina o tym, wciąż niepodjętym, zadaniu, ale podsuwa też wiele nowych pomysłów, odsłania, niekomplementowane dotąd, obszary badawcze, pokazuje tę poezję jako zjawisko wymykające się klasyfikacjom, choć i niełatwe w ocenie.

Pierwsza, nasuwająca się wraz z lekturą *Szkieletu Boga*, wątpliwość dotyczy ilości ujawnianych przez poetę cytatów, parafraz i aluzji do twórczości innych artystów. Porównawszy od zbioru *Otwarte usta losu*, Boczkowski „nadpisuje” swoje teksty nad tekstami innych pisarzy, między innymi Horacego, Hölderlina, Rilkego, Keatsa, Flauberta, Plath, T.S. Eliota, Miłosza i Iwaszkiewicza. Owo „nadpisywanie” przeradza się często w rozmowę (jak w *Rozmowie między Ezrą Poundem i Allenem Ginsbergiem* z tomu *Apokryfy i fragmenty*), a jeszcze częściej – w parafrazę

dość dobrze znanego oryginału. Boczkowski umiejętnie i zaskakująco parafrazuje więc Biblię, teksty antyczne, szekspirowski dramat czy wiersze Herberta. Czyni to jednak nie tyle, by wielbić oryginał i jego twórcę, ale właśnie, by „nadpisać” na czymś utworze historię sobie tylko znaną i dla siebie ważną – czyjejś tragedii miłosnej, rozstania, rozpaczy, zwątpienia. Przykładem może tu być *Ariadna na Naksos*, wiersz z tomu *Okna dnia i nocy*, nawiązujący do oper Nikoli Porpory i Richarda Straussa, w którym Boczkowski przedstawia losy trójkąta miłosnego, dramatu, tęsknoty i niespełnienia. Jeszcze wyrazistszym przykładem takiej parafrazy jest *Księżę nocy* z *Białych ust*, jednego z najbardziej miłosnych i melancholijnych zbiorów w dorobku poety. Naśladując *Tren Fortynbrasa*, popularny liryk Herberta, Boczkowski odsłania, pominiętą w komentarzu autora *Barbarzyńcy w ogrodzie*, naturę relacji Hamleta i Fortynbrasa, przyjmując, że ma ona charakter erotyczny, ale jednocześnie, jak w pierwowzorze, oparty na nierówności, wręcz niesprawiedliwości. Owa niesprawiedliwość to tutaj przegradzające się w rozpacz rozgoryczenie starszego kochanka i rozczarowanie kimś młodszym, powabnym, ale próżnym, mającym zamiast duszy błoto. Życie, które przeciwstawia temu podmiot,

składa się z elementów spotykanych w wierszach zamieszczonych w wyborze: pracy lekarza, nocnych dyżurów, samotnego czytania, wypraw w góry, prostego, wręcz ascetycznego jedzenia. Przeciwnieństwem codziennych obowiązków stają się rzucone na dywan koszule i „muszla śmierci”, mijająca namiętność, która nie chce bądź nie potrafi towarzyszyć dojrzałemu istnieniu. Równie gorzka jest inna parafraza, zawarta w wierszu *Romeo i Romeo* z tomu o takim właśnie tytule. I tu romantyczna miłość między mężczyznami zamienia się w krótkotrwałe rozczarowanie, a pożegnanie, jakie po nim następuje, jest bardzo cierpkie, wręcz bolesne: „już czas zamknąć album, Romeo, / wyjść na ulicę, / i iść w przeciwnych kierunkach”.

Boczkowski nie gasi tych wynurzeń refleksją o pogodnych miłościach, tworzy natomiast równoległą opowieść wobec męskich przygód, dotyczącą historii męża i żony. Jest to historia rozczarowań i spełnień, niekochania i przesadnej miłości, składająca się ze zrad i dowodów lojalności, historia zaiste nie do pojęcia. Obie te narracje – homoerotyczna i „heterycka”, utajona i oficjalna – dopełniają się w sposób skomplikowany i jednocześnie przemyślany. To właśnie ów splot, na co zwraca uwagę także Śmieja – stanowi o swoistości pisarstwa

Boczkowskiego, porzucającego mieszczańskie tabu bardzo wcześnie, jak na warunki polskiej poezji, bo już w połowie XX wieku. Jeśli przyrzeć się owemu splotowi dokładniej, okaże się, iż tworzy go materia bardzo tradycyjnych wierszy, i to nie tylko w sensie formalnym czy gatunkowym, ale też w znaczeniu emocji, z których podmiot układa świat swoich doświadczeń i przeżyć. Mężczyźni są w nim „stroną czynną” i obiektem szczególnej uwagi, nawet jeśli przedstawia się ich za pomocą pewnej symboliki (na przykład mowy kwiatów; często pojawiający się hiacynt), natomiast kobiety, jak wspomniana Ariadna, mają „wiotkie i nieme”, „szare martwe twarze”, oznaczają „grozę” i „bezruch”. Ale też, o czym należy pamiętać, wizerunek kobiety w poezji Boczkowskiego nosi cechy „tej jedynej” (Hanny, pojawiającej się w wielu tekstach bohaterki, być może wzorowanej na żonie Annie, znanej polskiej historyczce sztuki); jej obecność nie oznacza jednak bezwarunkowego sięgania przez poetę do romantycznych mitów. Sceptycyzm wiedzie go w stronę wątplenia w istnienie jakiegokolwiek zmysłowego szczęścia i przyjęcia, trochę wzorem stoików, trochę za twórczością późnego Iwaszkiewicza, postawy *sérénité*, uspokojenia, ciszy, pogody. Wiele takich kojących, wyciszonych

wierszy pojawia się w tomie *Ja – mój przyjaciel* (2003), poruszającym autobiograficzną strunę samoakceptacji i przywiązania do siebie (ale nie narcyzmu). Niektóre z nich dotyczą pływania w basenie, obserwowania drzew przez okna pływalni, rytmu ciała ludzkiego równego rytmowi wody. Inne – jak *Mądrość serca Jarosława Iwaszkiewicza* czy *Dzień ze zbioru Okna dnia i nocy* – są raczej konceptualne i wprost nawiązują do filozofii znanej z *Mapy pogody*.

Jednak to zimno, mróz, chłód, śnieg i świt – określenia dotkliwego, jasnego i wyrazistego, a nieznanego doświadczenia stają się prawdziwą dominantą *Szkieletu Boga*. Od pierwszych wierszy zwraca uwagę poszukiwanie kontaktu poety właśnie z określeniami tego typu. W *Otwartych ustach losu* zimno łączy się z anatomią człowieka (wiele tu zresztą nawiązań do zawodu poety – lekarza, cytogenetyka, uczonego, profesora i pracownika Akademii Medycznej w Warszawie), śmiercią i sztuką (jak w *Brueghlu*, gdzie „śmierć lepi gipsowe figury dzieci / i śnieg syberyjski prószy”) czy *Esse*, gdzie myśl jest chłodna i krystaliczna, „czysta jak lód”. Powoli wyłania się jednak z tych wierszy inny podmiot, kojarzący zimno nie tylko z „zimną rogówką żrenicy” i obscenicznymi, chłodnymi rysunkami Williama Blake’a (*To co mówi ciało*

z tomu *Światło dnia*) czy miłosnymi dramatami („ja byłem zimnym śniegiem, / [...] nie mogłem powiedzieć / jak bardzo kocham Ciebie” z cyklu *Ziemia odlotów* w zbiorze *Dusza z ciała wyleciała*). Zimno staje się doświadczeniem wszechogarniającego bytu, składającego się z płatków śniegu, które nie topnieją, ale nieustannie wirują w ludzkim wnętrzu (jak w manifestacie *Jak śnieg* z tomu *Ja – mój przyjaciel*).

Po swojemu definiowany chłód, który przecież u profesora medycyny mógłby oznaczać przede wszystkim zwłoki i osobliwość, naukową metodę rozumienia ciała, świata, ludzi pozwala myśleć, że Boczkowski pod fasadą aluzji do kultury Zachodu chowa jednak własne, prywatne wybory. I rzeczywiście – pisze o nich wprawdzie mniej chętnie, ale gdy już wyjaśnia istotę samej poezji, to zwykle odnosi ją do siebie, do tego, co intymne. Poezja nie ma i mieć nie powinna trudniejszych zadań: „Piękno i Prawda mogą zmieniać tylko / przestrzeń wewnętrzną światła i noc w Tobie” (*Do czytelnika i do siebie* ze zbioru *Ja – mój przyjaciel*). Nie jest to cała prawda o pisarstwie Boczkowskiego – jest ono zbyt bogate, zbyt skomplikowane, by nasycić się własnymi deklaracjami. Wyłamują się z nich chociażby poetyckie, znakomite świadectwa wojny i Zagłady (*Glinki 1944* o masakrze Żydów) czy

obrazy bliskie sztuce – ale wyjaśnią ich znaczenie dopiero historycy literatury, którzy potraktują materię tej poezji jak część przemian estetyki literackiej XX i XXI wieku. I to część równoległą wobec dokonań takich poetów jak Iłłakowiczówna czy wspomniany Iwaszkiewicz.

Marta Tomczok

Krzysztof Boczkowski, *Szkielet Boga. Wybór wierszy z lat 1975–2012*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2020

Elegie dla świata

Kazimierz Brakoniecki, ceniony poeta, prozaik i wieloletni redaktor kwartalnika „Borussia”, jednego z ważniejszych periodyków kulturalnych lat dziewięćdziesiątych, to także, o czym przypomina ostatni zbiór wierszy tego olsztyńskiego pisarza, wielki znawca i koneser malarstwa. *Twarze świata*, kolejny na przestrzeni kilku zaledwie lat – po *Obrazach polskich* z roku 2017 – tom poświęcony sztukom plastycznym, przynosi przeszło czterdzieści utworów, nawiązujących między innymi do dzieł Caravaggia, Dürera, Courbeta, Cézanne’a, van Gogha, Chagalla, Muncha, Bonnard i Beckmanna (jedyne kobiety w tym gronie to Paula Modersohn-Becker, Emily Carr i Alice Neel). W tradycji poetyckiej ekfrazy, przekładu z ję-

zyka sztuk plastycznych na środki właściwe literaturze, autor zdaje się poszukiwać jednak nie tyle tematu, ile dialogu z odmiennym widzeniem świata. Uniwersalnego klucza do zagadki bytu, który objawić może się wyłącznie w obecności Innego. Towarzyszą mu w tych poszukiwaniach nie tylko ulubieni artyści, ale i ludzie pióra, Rilke, Weil, Levinas. Na patronat tego ostatniego, twórcy filozofii Epifanii Twarzy, wskazuje zresztą sam tytuł – *Twarze świata*.

Obraz, traktowany jako materialny ślad cudzej egzystencji, staje się więc dla poety nie tyle wytworem, dziełem ludzkich rąk, które domaga się opisu i interpretacji, ile obliczem. Pierwszą, a być może jedyną formą spotkania z Nieznany. Oblicze zaś, pisał Levinas, wymyka się charakterystyce. Prowokuje do rozmowy, która – prowadzona w poprzek czasu i przestrzeni, poprzez epoki i kontynenty – zmusza podmiot do intelektualnych i moralnych przewartościowań. Jest wyzwaniem, którego nie sposób zignorować, bo nawet obojętność – gest wzruszenia ramion wobec pytań stawianych przez dzieła wielkich mistrzów – będzie odpowiedzią. Działaniem, którego ciężar, estetyczny i etyczny, ma swoje konsekwencje w rzeczywistości pozatekstowej. Zostanie policzony i zmierzony, choć w świecie, który wyłania się z płócien Ensora, Popko-

wa czy Loewiga, nie jest do końca pewne – kiedy, przez kogo i w imię jakiego boga lub bogów.

W *Twarzach świata* częściej niż z ekfrazą we właściwym sensie, to jest literackim opisem bądź interpretacją obrazu, mamy więc do czynienia z zapisem przeżycia sztuki, doświadczeniem egzystencjalnym, dla którego dzieło okazuje się lustrem i katalizatorem. Poetycka narracja Brakonieckiego – słowo „narracja” wydaje się tu jak najbardziej na miejscu: liryczny tok wiersza ulega bowiem wyraźnej eseizacji – nie wyczerpuje się w odwołaniach faktury i barwy. Sięga poza przestrzeń płótna, do idei, historii i biografii, które dzieło – traktowane jako ślad – ewokuje samą swoją obecnością. I które, objawione za pośrednictwem obrazu-twarzy, domagają się – wcale nie ahistorycznej – odpowiedzi patrzącego.

Chronologiczny porządek, w którym autor układa poszczególne obrazy – poczynając od trzynastowiecznego malarstwa chińskich mistrzów, poprzez dzieła europejskich i amerykańskich klasyków, na płótnach artystów współczesnych skończywszy, sugeruje obecność pewnej nadrzędnej – antropo- i okulocentrycznej – fabuły. „Wielkiej opowieści” o człowieku i świecie, w której zapis jednostkowego doświadczenia – spotkania z levinasowskim obrazem-obliczem – realizuje pewien

ogólny, ponadjednostkowy wzorzec. (*Twarze świata* przypominają zresztą pod tym względem wcześniejsze o trzy lata *Obrazy polskie*: tom, w którym namysł nad kolejami rodzimego malarstwa ostatnich dekad stawał się pretekstem do rewizji zbiorowych mitów, ale też impulsem do własnych zmagania z lokalną historią i tożsamością). Tylko część wierszy, między innymi *Wjazd Chrystusa do Brukseli...*, wpisuje się jednak w szerszą, historyczną narrację o postępie lub – jak kto woli – upadku, powolnym znikaniu metafizyki z horyzontu nowoczesnej sztuki, w czym niekoniecznie widzieć należy kapitulację autora, rezygnację z dążenia do poetyckiej syntezy.

Synteza ta realizowałaby się jednak, jeśli dobrze odczytuję zamysł Brakonieckiego, nie w przestrzeni Ducha, nie w porządku Historii nawet, ale w sferze *technē*: komplementarnym rozwoju technik malarskich i literackich, które zdają się zmierzać ku wspólnemu punktowi, to jest stopniowemu zanikowi możliwości symbolizacji. Byłaby to więc opowieść o umieraniu języka, redukcji człowieka, istoty tworzącej symbole, do niemego (nagiego?) widzenia i odczuwania. Oka i skóry. Odbiorca obrazu Anselma Kiefera, pozbawiony możliwości tworzenia i odczytywania nowych znaczeń w świecie po Zagładzie („Czy ma prawo czekać i na co? Czy na

porę która nie rodzi poczucia winy? / Czy jest takowa na tej planecie? [...]”), może jedynie wpatrywać się w twarz Innego w oczekiwaniu ostatniego zrozumiałego słowa: śmierci.

Emblematyczne postaci z płócien dawnych mistrzów, Chrystus, Hiob, niewierny Tomasz, traktowane jako nośniki uniwersalnych prawd o bycie, stopniowo zastąpione zostają więc przez ekspresję konfliktów targających wnętrzem twórcy, te ostatnie zaś – wraz z nadejściem XX wieku – przez jednostkę, która sama staje się areną zmagania nowych bogów, polityki, ideologii i historii. Uniwersalną prawdę objawienia wypiera prawda fragmentu. Dzieło – sprowadzone do roli świadectwa – nie głosi już Bożej chwały ani wielkości sztuki, ale przypomina o tym, co stało się udziałem milionów. Biografia Levinasa, litewskiego Żyda z Charkowa, okazuje się tu, poniekąd, emblematyczna. Zawiera w sobie skrót życiorysu współczesnego nomady, wygnańca ze świata sensu, a są przecież i inni, Emil Nolde, Nicolas de Staël, Wiktor Popkow, Roger Loewig, Zhang Xiaogang, którzy – każdy z osobna – realizują różne warianty dwudziestowiecznego losu.

Nie przypadkiem to właśnie w drugiej części tomu ekfrazą coraz gęściej obrasta autobiograficznym komentarzem, liryczno-eseistyczny wywód przełamany zostaje frag-

mentami prywatnego dziennika autora, który samego siebie – swoją starość i bezradność – czyni przedmiotem estetycznej kontemplacji. Na końcu tej drogi nie czeka jednak konsolacja, jakiś rodzaj religijnej czy historycznej sprawiedliwości, ale wieczny czyściec – jałowy krajobraz z obrazu Kiefera. Współczesna Dolina Jozafata, wobec której wszystkie dotychczasowe języki – religii, historycznej konieczności, prawdy jednostkowej egzystencji – objawiają swoją niekonieczność.

Można się spierać, czy autor – przywiązany do monistycznej wizji świata – projektuje w ten sposób własną niemoc symbolizacji na całość współczesnej kultury, czy też, pozwalając się prowadzić kolejnym obrazom-wizerunkom, wydobywa zapisaną w dziełach wielkich mistrzów elegię dla świata. W ich milczących twarzach dostrzega jednak prawdę o końcu. Końcu jednostki, pojmowanej jako indywidualny, obdarzony biografią byt, i końcu Człowieka, który umiera wraz z własnymi symbolami. Symbolami, które – za każdym razem na nowo – stwarzały go w akcie artystycznej kreacji.

Konrad Zych

Kazimierz Brakoniecki, *Twarze świata*, Wydawnictwo FORMA, Fundacja Literatury imienia Henryka Berezzy, Szczecin – Bezręcze 2019

Nikt w dwóch osobach

W najnowszej książce poetyckiej Krzysztofa Siwczyka *Osobnik* dochodzi do interesującego rozdwojenia postaci wcześniej raczej spójnej w jego liryce. Naznaczony przeżyciem nicości, dotknięty filozofią bezgruncia oraz ponowoczesną płynnością bohater wierszy autora *Godów* zawsze był jak dający tytuł tomikowi „osobnik”. Tym razem jednak poeta coraz konsekwentniej dramatyzuje napięcie między dwoma wcieleniami podmiotowego „nikogo”.

Nowy zbiór wierszy nie jest w żadnym razie przełomem, jeśli idzie o zasadniczy światobraz poetycki, minorowy nastrój czy stałe podminowanie każdego przeżycia różnymi odmianami nihilizmu. Kto polubił już języki nicości w opracowaniu Siwczyka, ten znajdzie je i tym razem w podobnej co zwykle dawce. To może mało doceniana korzyść z czytania jego wierszy, że podrzucają nam do użytku poręczne i współczesne określenia, nazywające stale aktywne, „pracujące” w nas wielkie nic, pozostawione po krytycznych przewrotach filozofii i historii nowoczesnej. Poezja Siwczyka nie tylko się tym żywi, ale i czyni, o ile tak da się powiedzieć, przyjaźniejszymi, normalniejszymi liczne formy nicości, z jakimi stykamy się w sobie i wokół siebie. Zwłaszcza że wynalazczość

językowa poety wiąże się obecnie z większą swobodą językową. Wiadomo, że do pewnego momentu nad stylem Siwczyka dość mocno ciążyły wzorce w rodzaju poezji Andrzeja Sosnowskiego, teraz rzecz jest już bardziej skomplikowana, poeta ma już śmiałość przyznawania się do fascynacji Nową Falą, liryką Stanisława Grochowiaka, a także pisze swoje ciągi dalsze literatury nowoczesnej, czego dowodzi stała obecność dialogów z twórczością Samuela Becketta. Przynosi to owym wierszom w lekturze dość sporo korzyści, są bardziej różnorodne, mniej ustylizowane na jeden wyłączny rejestr liryki ponowoczesnej. Z tego również powodu wiersze opowiadają nie tylko o przygodach języka, zagubieniu podmiotu w retoryce czy narracji, gdyż wtargnęło do nich sporo konkretnego życiowego. Znajdziemy powracające opisy relacji bohatera z kilkuletnią córeczką, relacje ze spotkań z przyjaciółmi z dawnych lat, opisy wyjazdów, zapisy codzienności bohatera lirycznego. Pozostaje przy tym cały czas w mocy zasadnicze światoodczucie Siwczyka, który w każdej z tych sfer wraca do tego, co je nicuje, pozbawia legitymizacji, wyzuwa z sensu i podszywa śmiertelnością.

Kompozycyjnie tom dzieli się na dwie części. W pierwszej przeczytać można wiersze i prozy poetyckie,

a w drugiej znajduje się jednoaktowy dramat *W pomroce*. Bohaterami sztuki są Osobnik Ogólny i Osobnik Poszczególny, którzy w dziwnej scenerii, przypominającej „absurdalne” światy Becketta, toczą spory i prowadzą rozmowy. Ważna dla kompozycji jednoaktówka stanowi punkt dojścia poszukiwań, jakich zapisem byłaby część pierwsza. Pojawiają się tam utwory, w których przemawiają dwie różne role liryczne wykreowane przez poetę. Niektóre wiersze ukazują podmiotowość bez znaczników wskazujących na jakieś jej zakorzenienie w rzeczywistości, a zatem podmiotowość zbiorczą czy typową dla nicującej nas współczesności. Tutaj przemawia do nas bohater łatwy do przeniesienia w różne scenerie, *Everyman* dzisiejszych nicości filozoficznych i kulturowych. W innych zapisach pojawia się naznaczony nicością bohater ukazany na tle dającej się uchwycić specyficznej sytuacji lirycznej, takiej jak wypadek samochodowy, odwiedziny kolegi, czuwanie przy chorej córce, pobyt na plaży, szpital z krzyczącym z bólu pacjentem. Pierwszego z bohaterów można nazwać, przekształcając nazwę postaci z dramatu, osobnikiem ogólnym, drugiego osobnikiem poszczególnym. Na tym też zdaje się zasadzać wynalazek liryczny omawianej książki poetyckiej, że człowiek bez właściwości, współczesny nikt, został dość zaskakująco przez Siwczyka roz-

dwojony na dwie odmienne i nieco powaśnione ze sobą osoby.

Osobnikt ogólny przemawia w takich utworach, jak *Pacierzyk*:

Szeregi spraw do niezafatwienia,
stoją szare postulaty, w pierwszym rzędzie
czarne,
marnie zaranie, jeden promyk zaledwie bez
nadziei,
poza tym chmurne nieba skłony, do ziemi, na
kolana,
twarzą do włazu, bez mózgu na ostatku, olstro
skóry,
dziura w otwartych ustach, w niej ryk ryje na
wieki wieko.

Utwór zapisuje ogólną kondycję wypowiadającego się podmiotu, który jeśli się gdzieś znajduje, to jest tym miejscem współczesna rzeczywistość, niczego bliższego o namacalnym otoczeniu mówiącego nie da się powiedzieć. Trwa w tej rzeczywistości stare napięcie między odeszłą i zdeformowaną metafizyką („pacierzyk”, „nieba skłony”, „na wieki wieko”) a formami nicości i bezformia wpelzającego na jej miejsce. Przypominają się nowoczesne opracowania artystyczne owej kondycji („dziura w otwartych ustach” może przywoływać obrazy Bacona z krzyżującymi papieżami), ale dziś już nie dzieje się nic równie poruszającego, gdyż zwyciężyła nieruchomość, bierność, a życie jest osuwaniem się ku schyłkowi. Wokół panuje charakterystyczny dla wielu wierszy Siwczyka półmrok, powtarzają się smętne zdania

o „marnym zaraniu”, niemożliwości przedostania się do światła lub ciemności, czyli jakiegokolwiek rozstrzygnięcia poznawczego. Aporetyczny osobnikt ogólny bada przeto siłę aktualnie odczuwalnych udręczeń przez niedającą się usunąć czy przekształcić sytuację przedłużającego się nicowania każdego podmiotowego działania, myślenia, postrzegania. Jego wypowiedzi to wiersze-raporty z dziwnej osobności, jaka stała się udziałem każdej współczesnej jednostki chcącej zauważać to, co ją anihiluje, co nie pozwala jej się konstituować pełniej w jej jednostkowości.

Zupełnie inaczej mierzy się z nicością osobnikt poszczególny w liryce Siwczyka. Jego różne przy-padki życiowe prezentują osobliwe reagowanie kogoś, kto wciąż czuje się wśród nich nikim. Kiedy zatem czytamy wiersze o córce, to dotkliwe stają się w nich fragmenty, w których mowa o tym, że i dla niej jest w różnych sytuacjach też nikim – to go martwi, zajmuje, rozstraja, ale nie potrafi inaczej o tym myśleć. W pięknym wierszu *Ekumena* rodzice trzymają za stopy śpiącą córeczkę i myślą o tym, jaka nicość porwie ich kiedyś, gdy ich nie będzie i będą nikim dla niej (choć w innych chwilach będą też na pewno kochanymi rodzicami). Podczas lektury podobnych liryków przypomina się raz po

raz motto tomiku z utworu Eugenia Montalego: „nie było niczego, absolutnie niczego za nami, i niczego rozpaczliwie nie kochaliśmy bardziej od tego nic” (w przekładzie Jarosława Mikołajewskiego). Czyż nie nazywałoby to motto między innymi doznania córki w przyszłości, która raz po raz czuje za sobą zmarłych rodziców jako nic i chciałaby ich wreszcie zacząć kochać, nie tylko kiedy się jej przypominają i są dla niej wszystkim, ale i w tych chwilach, kiedy o nich na – dłuższą czy krótszą – chwilę zapomina i stają się nikim oraz niczym? Z kolei w *Niewydarzonym* bohater pojawia się na miejscu śmiertelnego wypadku samochodowego, gdy „młody ojciec oparty o klakson” zmienia się właśnie dla bliskich w nikogo, choć jeszcze słyszy „krzyki ze znanych [...] twarzy”. Okoliczności straszego wypadku, takie jak „donikąd postawione lustro”, „jałowy bieg silnika”, „zbełtane niebo”, „znikąd nadjeżdża[jąca] erka”, metaforyzują się, stają się nazwaniami kondycji osobnika w poszczególnościach jego ujawniającego się dobitnie (nie) życia. W prozie poetyckiej *Szybka ścieżka* opisany został „zszarzały, zmarniały” człowiek, którego ostatnią pasją i radością było łowienie ryb, poza tym cały czas usuwał się innym z drogi, na koniec zabił się lub umarł, przekazując wcześniej opo-

wiadającemu swój rower oraz krótką wiadomość. Pozostali dla siebie do samego końca osobnikami w swych poszczególnościach, ich światy oddzielała nicość zamieszkiwanego świata, nonsens niemożliwej komunikacji, nieprzekazywalność jedynej życiowej namiętności, niewzruszona i pielęgnowana osobność.

Wieńczący książkę dramat *W pomroce* pokazuje, że te dwie persony wierszy Siwczyka nie potrafią się ze sobą w istotny sposób porozumieć. Wiedzą tyle, że powinny się jakoś uzupełniać i sumować swe wrażenia czy oglądy świata, ale wiedza, jaką posiada poszczególny nikt, nie jest realnie przekazywalna ogólnemu nikomu (i odwrotnie). Z ostatnich słów dramatu wynika, że bohater poszczególny musi sobie teraz zawołać następnego bohatera ogólnego, który „czeka w pomroce”. Zapewne i to jest sytuacja odwracalna, czyli że bohater ogólny będzie chciał styku z innym bohaterem poszczególnym. Ich dwugłos pokazuje, jak *Everyman* współczesności przestaje czerpać z jakiegokolwiek „wiedzy konkretnego”, jak oderwał się od uwarunkowań, radykalizuje się jego sumaryczny nastrój czy rozstrój wywołany przez nawiedzające go wielkie nic dzisiejszego świata. Z kolei pociągany coraz silniej, wciągany coraz intensywniej przez konkretne sytuacje, przez namacalnie dotykającą zmysły realność osobnik

poszczególne coraz mniej potrzebuje uogólnionych formuł nicości, pracuje w świecie codziennym przesywanym przez doznanie anihilacji, wspiera i czuwa przy innych zanurzających się w swych bezgrunciach, troszczy się o nich w takich sytuacjach, trwa przy nich jako wtajemniczony w owe dramaty nikt.

Być może tomik Siwczyka pozwala na uwagę, że pojawia się w nim opowieść o dwóch rodzajach nicości, które weszły dzisiaj w konflikt. Poeta nadał w takim razie zupełnie nowe miano podziałom oraz osobnościom aktywnie drążącym dzisiaj świat. To nie podziały ideowe, społeczne, etniczne decydują o charakterze obecnych sporów, gdyż tak naprawdę spierają się ze sobą niedające się uzgodnić, z trudem szukające miejsc styku dwie modalności nihilizmu, wcielającego się nieco przypadkowo w różnych aktorów dzisiejszości. Komu starczy dość uczciwości, aby w ten sposób nazwać właściwy powód swego zaangażowania w toczące nas spory? Kto pierwszy przestanie udawać, że pomroka nie nazywa w jakiejś istotnej części teraźniejszości? Zapewne sama ta diagnoza zmieniałaby charakter owych sporów, zmodyfikowała ich przebieg i je mądrze stonowała czy przestroiała.

Jak na razie przynajmniej poezja potrafi zachować i wzmacniać odwa-

gę podobnych diagnoz współczesnej rzeczywistości, o czym świadczy wart uważnej lektury *Osobnik* Krzysztofa Siwczyka.

Tomasz Mizerkiewicz

Krzysztof Siwczyk, *Osobnik*, Wydawnictwo a5, Kraków 2020

Laterna magica

Zbiór tekstów Czesława Miłosza z lat 1951–2004 tworzy szerokie pole widzenia na sprawy minione, teraźniejsze i przyszłe – to ogromna, obejmująca ponad pół wieku czasoprzestrzeń opisana na dwóch tysiącach stron, monumentalne przedsięwzięcie. Widzimy ukazane w maksymalnie możliwy prosty sposób obrazy jakby ze szklanych przezroczystych, utworzone za pomocą różnorodnych soczewek, które działają przemienne jak mikroskop, lupa, lornetka, okulary, aparat fotograficzny, kamera filmowa czy znak zmiennego źródła światła – sztuka światła i cienia.

Otwiera „programowy” tekst z „Kultury” z 1951 roku pt. *Nie*, w którym zdecydowanie przecina związki z PRL-em. Zostaje emigrantem i zaczyna się nowy czas w jego życiu. W kolejnych publikacjach wyjaśnia i uzasadnia tę decyzję, która dla wielu miała skomplikowaną otoczkę

i niejasny kontekst, także na emigracji. Zamęt był tak potężny, że nawet Słonimski, który właśnie w tamtym czasie wrócił z Londynu do PRL-u, zaatakował Miłozza paszkwilem w „Trybunie Ludu” (w polemice cytowane są fragmenty tego propagandowego bełkotu-horroru).

I te pasma: literatura i polityka, przeplatają się w wielu tekstach, choć oczywiście literatura bezwzględnie jest na pierwszym miejscu. Mówi o „tożsamości epoki”, od której pisarz nie może abstrahować, a największe często są w kontrze do niej czy nawet z nią walczą, o maskach, jakie wkłada się pisarzom, i epitetach, które do nich się przylepia, co wynika z głupoty, kołtunerii, małości, a także „politycznych” motywacji – „Gra toczy się nie o literaturę, ale o samą koncepcję człowieka”. Widać to w świetle tekstów: o Norwidzie i Conradzie, polemice Sartre – Camus, wierszach Jastruna, Białoszewskiego i innych polskich poetów, książkach Ważyka i Browna, a z drugiej strony w przeglądach pism, relacjach z podróży, kongresów i festiwali, polemikach i listach do redakcji. Programowe są teksty o Litwie, Wilnie i Mickiewiczu, którego określa mianem „mistycznego realisty” albo „realistycznego mistyka”: „Cała myśl Mickiewicza niewątpliwie opiera się na fundamencie religijnym” – stwierdza i dodaje: „Ja sam wobec Mickiewicza czuję

wdzięczność. W szkolnej ławie w Wilnie, które było także miastem jego młodości, to dzięki niemu odkryłem poezję jako coś nieskończenie naturalnego i prostego, pasującego do człowieka bardziej niż jakakolwiek inna forma ekspresji”. To także mogłoby odnosić się tak do religii, jak i w ogóle do ludzkiego życia: „Świat historyczny, który stworzył, przepęnlony rozdzierającymi dźwiękami walki Dobra i Zła; jego baśń o szatanie, który wdeptuje w ziemię ziarenko prawdy, przekonany, że kiedy ono zniknie, prawda zginie na wieki; jego skala wartości, w której modlitwa, działanie i cisza umieszczone są bardzo wysoko – wszystko to stwarza dla współczesnego czytelnika liczne preteksty, by z lekceważeniem odnosić się do wysiłków ludzi XX wieku, jeśli nie dążą do osiągnięcia aż tak wysokich standardów”.

W tym drugim paśmie opisuje proces stalinizacji w Polsce i Europie, mary, gnomy i strzygi nie tak dawnej przeszłości, „odwilż”, następujący ferment intelektualny i artystyczny i związane z nim nadzieje i fiaska. Przedstawia obraz kalejdoskopowych zmian, szuka znaków, obserwuje powierzchnię i to, co dzieje się pod spodem, rozważa aspekty, cechy i motywacje. Opowiada o wydarzeniach w Poznaniu 1956, przemocy i odwadze, antysemityzmie, malwersacjach

PAX-u, porażce pryncypiów i powodach odwrotu, znaczeniu wyborów, konsekwencjach i perspektywach na przyszłość, kompleksie nacjonalistycznym, przywołując Stanisława Ignacego Witkiewicza, Schulza i Gombrowicza, o Rosji i cywilizacji rosyjskiej, komunizmie, antykomunizmie i marksistach, „tajemniczej chemii historycznej”, zestawia „Kulturę” z Radiem Wolna Europa, składając hołd pismu Giedroycia: „Cokolwiek żywotnego powstało w myśli i w literaturze dwudziestego wieku, zawdzięcza swój byt przede wszystkim »małym magazynom«, utrzymującym się na powierzchni dzięki energii paru zapaleńców oraz prywatnej pomocy czytelników i sympatyków”, kieruje polemiczne listy do Picassa i polskich komunistów. Píše o Krasińskim, Kridlu, tłumaczeniu wierszy, wspomina Staffa, propaguje Gombrowicza, zajmuje się życiem i twórczością Conrada, stwierdzając: „Przemiany, jakim podlegają pewne jednostki, są nie do pojęcia dla tych, którzy żyją blisko nich, ponieważ zwykli oni patrzeć na cechy charakteru niby na stały związek chemiczny. Tymczasem te same czynniki osobowości potrafią przegrupowywać się nieustannie w coraz to nowe kombinacje. Konieczne dla uruchomienia tych przemian są syntezy”. Mówi o jego dualizmie i cytuje zdania

z listu napisanego do znajomego w Polsce, które jakby były też o nim: „A jeżeli Pan zechce uwierzyć mi na słowo i powie, że pływając po kuli ziemskiej, nigdy, ani myślą, ani sercem, od kraju się nie oddaliłem, to pewno zostanę przyjętym na stopie rodaka u nas, pomimo mojej angielszczyzny”.

Lata sześćdziesiąte zaczyna *Diariusz paryski*, w którym znajdują się zapisy o Camusie i jego sporze ze środowiskiem Sartre’a, Selmie Lagerlöf i Rodziewiczównie, wierszach Laforgue’a, Kisielu (Klonie) i Pankowskim, Trzebińskim, Dąbrowskiej i kwestii ciągłości, reakcjach na *Rodzinną Europę* oraz pytaniach i diagnozach Brzozowskiego, którego nazywa „jednoosobową armią” toczącą bój na trzech frontach, a jego główne przesłanie tak określa: „Ludzkość stoi w przededniu radoznego przebudzenia. Sądzi, że gdy wyrzekła się i wyzbyła Chrystusa, odnajdzie wreszcie siebie, a gdy obudzi się, zrozumie, że siebie w Słowie i Słowo w sobie odnalazła” (*Filozofia romantyzmu polskiego*) oraz z *Doktora Żywago* Pasternaka: „Uważano dotąd, że główną rzeczą w Ewangeliach są pouczenia moralne i reguły zawarte w przykazaniach, dla mnie zaś najważniejsze jest to, że Chrystus mówi przypowieściami, objaśniając prawdę światłem codzienności. U podstawy tego leży myśl, że

obcowanie śmiertelnych jest nieśmiertelne i że życie jest symboliczne, ponieważ jest znaczące” [podkreślenia Miłosza – przyp. K.M.].

Ciekawe są uwagi o prozie polskiej czynione na kanwie *Esejów dla Kassandry* Stempowskiego – zarzucając jej gawędziarstwo czy wręcz gadulstwo, brak destylacji, wstrzemięźliwej i zdyscyplinowanej, poddanej formie narracji, pyta: „Dlaczego geniusz poetycki polskiej literatury nie doradził zastosować dużej przeciwie dyscypliny wiersza również do zdania w prozie?”. I rzeczywiście: jak poruszać się w narracyjnych magmach Micińskiego, Berenta, Reymonta, Żeromskiego i Witkacego lub w głównie parodystycznym języku Sienkiewicza czy Gombrowicza?

Poprzez konkretne dzieła i utwory literackie, brane jako *pars pro toto*, porównuje i opisuje przekrojowo i analitycznie znaki i zdarzenia dotyczące Rosji, Ameryki, Europy Zachodniej, Europy Środkowej, Polski w przeszłości, także tej z dwudziestolecia, jak i kolejnych lat i dekad powojennych, dochodząc do ważnych i niepokojąco aktualnych syntez. Pisze między innymi o nieprzejrzystości Europy, jej strukturach, które wyprodukowały potworność, fascynacji marksizmem, wstydzie wspólnoty, przeciwstawieniu „czujących” i „świadomych” – „świniom”,

kampaniach produkujących takie lub inne kultury, ideologicznych zlepkach taktyk i obrzędów, wydrążaniu natury, myśli i ducha człowieka, pustce i patologii bogacenia się i luksusu oraz pustce i patologii biedy i nędzy, staczaniu się w chamstwo i łajdactwo, szkodliwości idolatrii, wspólnotcie i komunii i skrajnym odłączeniu, wywyższaniu się i izolacji, krytycyzmie i patosie, państwie pragmatycznym i „państwie mesjanistycznym”. Brak konkluzji: „Jeżeli umysł po wszystkich swoich przejawach, zwraca się przeciwko swojej cywilizacji, każdym swoim aktem odbierając jej zasadność [a tak przecież się stało i dzieje się nadal – przyp. K.M.], czy należy uznać to za stały atrybut zachodniej Europy, za umiejętność poniżania, wyłączenia myślicieli i artystów, którzy się mszczą, co zawsze obraca się wreszcie na jej korzyść, czy też za zapowiedź mniejszej albo większej apokalipsy?” – staje się, po latach, coraz wyraźniej rysującą się konkluzją, której jednak wielu nie chce widzieć.

Znakomity, także i w tym kontekście, jest obszerny esej *O polskiej poezji*, zaczynający się od jej początków (na podstawie między innymi Kochanowskiego uwagi o zachowaniu i przełamaniu literackiej konwencji jako cesze arcydzieł) i na współczesności kończący, wybiegający poza nią samą (poezję), bo mówiący

o chorobie „zwężenia, zubożenia” jej człowieczeństwa i konieczności ćwiczenia się w „pracach zaledwie wykonalnych”, gdyż „wtedy każdy tekst najbardziej osobisty ma podtekst troski o inne istoty ludzkie”. Uwagę zwracają szkice o prozie i powieści polskiej, w których znajdują się interesujące spostrzeżenia i intuicje zawarte w szerokim kontekście historyczno-literackim, przypomnienie „powieści granicznej”, którą postulował Wyka, i zachęta do używania „całkiem nowych narzędzi”.

Szczególnie ciekawe są prowadzące, jak na wiek XX na niezwykle wysokości, pasma dotyczące wiary, religii i metafizyki. W ankiecie „Kultury” mówi o dechrystianizacji i przyszłej teologii, odwołując się do Tomasza z Akwinu, Teilharda de Chardin, ojca Fessarda i Simone Weil, chwali soborowe reformy Jana XXIII, staje w obronie łaciny w liturgii (tu: „protestantyzacja” katolicyzmu), rozważa napięcia dualizmu ciała i duszy (katolicyzm i seks), zwracając uwagę na to, że w *Credo* nie ma nic o „nieśmiertelności duszy”, a jest o życiu wiecznym i ciała zmartwychwstaniu, zastanawia się nad znaczeniem ekumenizmu, literatury katolickiej, „bezreligijności duszy polskiej”, napięciami pomiędzy Kościołem a nowoczesnym społeczeństwem i wychowaniem katolickim, pytając: Czy jesteś katolikiem?

W *Losie wyobraźni religijnej* pisze o tajemnych, podziemnych połączeniach między rozpaczliwą wizją natury ludzkiej u Becketta i współczesnym fundamentalizmem religijnym, nowej kosmologii, która „rozpuściła człowieka w ogromie galaktyk”, o uniwersalnym rytmie Opatrzności i antyredukcyjnej teorii kwantów, konkludując: „Dla człowieka wierzącego, takiego jak ja, kluczem do tajemnicy wszechświata jest tajemnica człowieka – nie odwrotnie; a raczej, każda część tej pierwszej tajemnicy jest funkcją tej drugiej”.

W wypowiedzi na temat *Religia i literatura* wyznaje: „Katolicyzm jest dla mnie przede wszystkim religią ukrzyżowanego Boga, nie Chrystusa triumfatora, i zakładam, że jak długo świat będzie istniał, Bóg nie przestanie z litości dla niego cierpieć. Jest to najbardziej tajemniczy punkt wiary chrześcijańskiej. Stąd bierze się jakby zawstydzenie wobec tych wszystkich, którzy, doświadczając istnienia jako bólu, wyciągają prostoproste wnioski o nieobecności Stwórcy”. Jak blisko stąd do pism i zapisów Becketta.

Z tekstów z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych uwagę zwracają szkice o Dostojewskim i jego porównanie ze Swedenborgiem, o Oskarze Miłoszu – *Miguel Mañara* i zestawienie z Blakiem, o trzech polszczyznach i „ustawieniu

głosu”, nowych zadaniach poezji polskiej i poezji Europy Środkowej, wierszach Świrszczyńskiej – *Ciało poezji, Prywatna antologia polskich wierszy*, a także zapisy o Korczaku, Stempowskim, Schulzu, Gombrowiczu („Nie dla niego były intelektualne orgie”), Różewiczu, Heaneyu, Krońskiej, Jeleńskim, Lebensteinie i Pollakównie.

W kolejnych latach opisuje powroty do Polski i na Litwę (Wilno, Szetajnie), zastanawia się nad przyszłością Europy, także Rosji, analizuje współczesne nacjonalizmy, pisze o naśladownictwie i tożsamości: „Ruch idei z zachodu na wschód łączy się z problemem naśladownictwa. W pewnym sensie cała kultura europejska pochodzi z zapożyczeń i naśladownictwa, wywodząc się z antyku” i mówiąc o „twórczych zapożyczeniach”, wskazuje jako przykład wielką literaturę rosyjską, wypowiada się o słabości współczesnej literatury polskiej, rozważa wpływy i szkody literatury Młodej Polski, wraca do Mickiewicza, pisze o wierszach Czechowicza, Symborskiej, Karpowicza, Herberta i Hartwig, wspomina Sebyłę, Gombrowicza, Zygmunta Hertz, księdza Józefa Sadzika, Iwazskiewicza, Zygmunta Mycielskiego, Jeanne Hersch, Giedroycia, Irenę Sławińską, Pawła Hertz, Turowicza, Jana Kotta, Jana Józefa Szczepańskiego i Zofię

Hertz, dodając: „Nikt dzisiaj nie zdaje sobie sprawy, jak szaleńczym przedsięwzięciem było wtedy wydawanie »Kultury«: bez finansowych podstaw, bez gwarancji zdobycia dostatecznej ilości prenumerat. Byłem świadkiem tych zmagania i świadkiem tej paradoksalnej sytuacji. [...] Było to jak postawienie w ruletce na cyfrę, która być może nigdy nie wyjdzie, jak gra, która na zdrowy rozum nie może się udać” i niebawem z okazji jubileuszu wznosi toast za „zdrowie i dalsze dziesięciolecie bogatej egzystencji” „Kwartalnika Artystycznego”.

Tom zamyka odpowiedź na ankietę „Kwartalnika” *Trzy wiersze* z utworami Leśmiana, Sebyły i Różewicza.

Krzysztof Myszkowski

Czesław Miłosz, *Dzieła zebrane*, tomy 43–44: *Wygnanie i powroty. Publicystyka rozproszona z lat 1951–2004*, część pierwsza i druga, zebrali i opracowali pod kierunkiem Aleksandra Fiuta: Mateusz Antoniuk, Stanley Bill, Karina Jarzyńska, Ewa Kołodziejczyk, Marzena Woźniak-Łabieniec, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019

Meandry

Leszek Kołakowski określił siebie jako chrześcijanina „w jakimś sensie ogólnym” i „luźnym”, ale chrześcijaństwo przez ponad sześćdziesiąt lat było głównym tematem jego badań i dociekań. Uważał, że bez Chrystusa nasza kultura nie mogłaby istnieć

i tworzyć się. Stwierdził, że nie da się zrozumieć, czym jest chrześcijaństwo bez świadomości, że całe życie Jezusa jak i każdego człowieka przebiega w cieniu nieuniknionego dnia Sądu i w cieniu miłości (łaski i miłosierdzia). To rzeczywista energia, która działa w świecie i w człowieku, mimo realnego istnienia zła i diabła, który jest ściśle związany z niezwykle istotnym zagadnieniem grzechu pierworodnego.

Są: początek i koniec, rozum i tajemnica, harmonia i antynomie, które tkwią w samej naturze rzeczy, nędza doczesności i perspektywa wieczności, *sacrum* i *profanum*, dobro i zło, grzech i poczucie winy, które jest punktem wyjścia chrześcijańskiego życia, bo warunkuje zdolność do skutecznej samokrytyki i *metanoi*.

„Religia jest sposobem, w jaki człowiek akceptuje swoje życie jako nieuchronną porażkę. Że nie jest ono nieuchronną porażką, można wierzyć tylko *mala fide*. Można, rzecz jasna, rozproszyć życie w przygodności codziennej, ale i wtedy jest ono tylko rozpaczliwym i nieustającym pragnieniem życia, a w końcu żalem, że się nie żyło. Zaakceptować życie i zaakceptować je zarazem jako porażkę, jest to możliwe tylko pod warunkiem uznania sensu, który nie jest całkiem wobec historii ludzkiej immanentny, to znaczy pod warunkiem uznania porządku

sakralnego” – zauważa i widzimy, jak bliskie to jest Beckettowi, jednemu z największych pisarzy XX wieku.

W związku z Erazmem mówi o „religii łaski” i pokazuje przeciwieństwa między humanizmem chrześcijańskim i reformacją (Luter). Przytacza jeden z najsławniejszych aforyzmów Augustyna: „Boga i duszę pragnę poznać. I nic więcej? Nic więcej?” i zachwyca się jego dziełem, o którym mówi, że jest jak gigantyczna budowla, w której jest wszystko: „Boga i duszę poznać, to wszystko poznać: stworzenie i cel stworzenia, ład świata i boską w nim obecność, nasze poznawanie świata, a więc ideę prawdy, siłę rozumu i siłę wiary, miejsce człowieka w kosmosie i naturę czasu”. Wyłuskuje jego genialne powiedzenia, na przykład: „Nie wychodź na świat, wróć do siebie samego: we wnętrzu człowieka mieszka prawda” czy: „Nie usiłuj zrozumieć, by wierzyć, ale wierz, byś zrozumiał”, rozświetla ich sensy i przywołuje główne pytania. Przedstawia dowód ontologiczny Anzelmia i przypomina jego sławne zdanie: „Nie chcę rozumieć, by wierzyć, ale wierzę, by rozumieć”. Omawia pełną blasku filozofię Tomasza z Akwinu, podkreślając ważność jego myśli o dobru i złu.

Wielu zainteresuje cykl „Herezja”, rozważania o znaczeniu tego greckiego słowa i jego różnorodnych opalizacjach: sekta, odłam, frakcja

czy schizma, które odnosi do dogmatów i ortodoksji. Jak są to skomplikowane procesy, świadczy fakt, że na granicy herezji czy jej obrzeżach znajdowali się tak wielcy święci i myśliciele, jak Franciszek, Ignacy Loyola, Jan od Krzyża i Orygenes, Jan Szkot Eriugena, Mistrz Eckhart, Savonarola, Giordano Bruno czy Erazm z Rotterdamu, a odstępstw, apostazji, rozłamów i odejść był bezlik, o czym świadczą ich liczne nazwy: montaniści, unitarianie, socynianie, moderniści, janseniści, arianie, iluminiści, kwietyści, bogomiłowie, luteranie, kalwiniści, husyci, manichejczycy, katarzy, gnostycy, sabelianie, monoteleotyści, monoenergiści, aweoryści, waldensi, anabaptyści, pelagianiści, panteiści, arminiści, antytrynitarianie, ireniści, oficy czy dualiści. W każdym razie sto doktryn, ideologii i kwestii, sto pytań i wątpliwości, sto wahań i niedocieczzeń, a za nimi lub wśród nich działanie z jednej strony diabła i z drugiej – łaski. Tak więc jest fanatyzm i przemoc i jest duch tolerancji i ekumenizmu, a pośrodku Paweł, wzywający do zachowywania umiaru w mądrości własnej, który przejawia się w niesądzeniu innych, gdyż czyniąc odwrotnie, sami na siebie wydajemy wyrok.

W szkicu o *Filozoficznej roli reformacji* kluczowe jest stwierdzenie zgodne ze znanym powiedzeniem Pascala, że „w rzeczywistości

sama selekcja i sposób ułożenia tych samych idei może stanowić o wybitnie nowatorskim charakterze przedsięwzięć myślowych”, i dodajmy: artystycznych, na co przykładów dostarczają najważniejsze dokonania i dzieła tak w religii (tu: „przekształcenie” i kontynuacja Starego Testamentu w Nowym i wynikające z tego chrześcijaństwo, które przecież jest główną herezją żydowską), jak w teologii, filozofii i sztuce. Znajdziemy ciekawe i inspirujące odniesienia do dzieł Lutra, Kierkegaarda, Silesiusa, Boehmego, Kartezjusza, Hegla, Schopenhauera, Unamuno, Jaspersa i Heideggera oraz takich pojęć, jak: *theosis*, *annihilatio*, *theologia regentorum*, *kenosis* czy *passion inutile*.

Bardzo zajmujące są zamieszczone w eseju *Chrześcijaństwo bezwyznaniowe jako problem...* rozważania o przeżyciach mistycznych („naturalnych” i „autentycznych”), mówiące o poczuciu depersonalizacji i identyfikacji (częściowej lub całościowej), w których występują: poczucie bierności i zależności, dysocjacja między myślą i afektem, derealizacja otoczenia, własnego ciała i własnej psychiki czy przeżywanie własnych myśli jako głosów słyszanych. Dzieje się to w mistyce i w twórczości pisarskiej (Kołąkowski przywołuje Huxleya, Wordswortha i Amiela, a ze współczesnych można wskazać Becketta i Miłosza) i związane jest z identyfika-

cją podmiotu przeżywającego i jego duchowym, umysłowym i emocjonalnym ukształtowaniem, które umożliwia wyrażanie się właśnie w takiej religijnej czy kryptoreligijnej (według kartezjańskiego *larvatus prodeo*) interpretacji świata.

Pascal to jeden z ulubionych filozofów Kołakowskiego, zajmował się nim kilkadziesiąt lat. Interesowała go granica, która oddziela skończony świat doświadczenia od świata nadprzyrodzonego, czyli niezwiązanego z przestrzenią i czasem, życie doczesne od nieskończoności oraz ciągłe sprzeczności istniejące jako trwała kondycja człowieka. „Ostatni wysiłek rozumu to uznać, że istnieje nieskończona mnogość rzeczy, które go przerastają; wątpli jest, jeśli nie dosięga tej świadomości”, mówi Pascal i respekt budzi pokora i mądrość tego stwierdzenia. Najważniejsze jest zbawienie wieczne i Bóg – kto myśli inaczej, z zamkniętymi oczami pędzi ku przepaści i jest w mocy diabła: „Nieśmiertelność duszy to rzecz dla nas tak ważna, dotycząca nas tak głęboko, że trzeba chyba zatracić wszelkie uczucie, aby być obojętnym w tym względzie. Wszystkie nasze uczynki i myśli muszą iść różnymi drogami wedle tego, czy mamy się spodziewać dóbr wiekuiстых, czy nie; niepodobna nam uczynić jednego kroku z zastanowieniem, o ile nie miarkujemy go wedle tego punktu,

który ma być naszym ostatecznym celem”. W *Mysłach*, stwierdza Kołakowski, panuje wielki nieład, szeroki jest w nich margines niepewności, wątpliwe są wewnętrzne powiązanie poszczególnych fragmentów, a ich sens nie raz jest nieprzejrzysty czy niejasny, ale właśnie przez to dają badaczom i czytelnikom szerokie pole i głębię do interpretacji i są niezmiernie fascynujące. Można wypisywać z nich zdania i sentencje, zestawiać je i grupować na różne sposoby i zawsze będzie to pożyteczna praca. Na przykład: „Serce ma swoje racje, których rozum nie zna”; „Człowiek jest tylko trzcina, najwątplejszą w przyrodzie, ale trzcina myślącą”; „Wiekuiusta cisza tych nieskończonych przestrzeni przeraża mnie”; „JA jest wstrętne”. Potrafił też być sarkastyczny: „Ludzie tak są dziś zepsuci, że nie potrafimy ich przyciągnąć do siebie, sami tedy musimy iść do nich”. „Jesteś kimś nędznym, nie udawaj, że jest inaczej” – nie znosili go Wolter i Diderot, koryfeusze Oświecenia. Mówił jasno, mimo że pełne sprzeczności są jego zdania i wywody, i przede wszystkim mówił prawdę: „Wyobraźmy sobie gromadę ludzi w łańcuchach, skazanych na śmierć; co dzień kat morduje jednych na oczach drugich, przy czym ci, którzy zostają, widzą własną dolę w doli swoich bliźnich i spoglądają po sobie wzajem z boleścią, a bez

nadziei, czekają swojej godziny. Oto obraz doli ludzkiej". Wystarczy rozejrzeć się dookoła. Jeżeli nie służymy Bogu, to służymy diabłu, nie ma innej alternatywy. Sławny jest jego Zakład i nawrócenie w listopadzie 1654 roku. Wierzył, że „wszystkie rzeczy są zasłonami skrywającymi Boga” i „chrześcijanie powinni rozpoznawać Go we wszystkim”, a jednocześnie nie doświadczał obecności Boga w naturze. Jest u niego cały zbiór mocnych paradoksów i przeciwieństw, które w nim istniejąc, łączą się ze sobą. Dominującym wątkiem jest Bóg ukryty, który częściowo odsłania się i częściowo ukrywa. Jak niemal wszyscy mu współcześni, uważał Biblię za w całości natchnioną przez Boga, w każdym fragmencie i w każdym słowie, nawet wtedy gdy są w niej sprzeczności lub rzeczy fałszywe – fałszywe dosłownie i jednocześnie prawdziwe duchowo. Uważał, że „Bóg dotykalny jest dla serca, nie dla rozumu”, dlatego jego religijność ściśle była związana z Chrystusem, bo tylko przez Niego możliwe jest obcowanie z Bogiem i poznawanie Go. Nie przez choćby najbardziej wyrafinowane dociekania filozoficzne czy teologiczne, ale tylko przez wiarę pojmowaną w sensie chrześcijańskim. Nie jest to ani łatwe, ani proste, dlatego dodaje: „Trzeba umieć wątpić tam, gdzie trzeba, twierdzić tam, gdzie trzeba

i poddać się tam, gdzie trzeba” i rozwija tę myśl. Jego celem jest nie to, żeby „naszą religię” uczynić mocną pod względem intelektualnym, ale żeby stała się ona „przyjemna”, godna miłości i pożądania. W tym zdawałoby się błędnym kole, a może w jego kwadraturze, widzimy najpierw, że „gdy wierzymy, wszystko uzyskuje sens, jednakże nie możemy treści wiary wydedukować z faktów”, a następnie, że raczej jest odwrotnie: gdy wierzymy, projektujemy fakty. W każdym razie, jak poleca: naszą rzeczą jest zacząć. Był wielkim orędownikiem łaski skutecznej i predestynacji. Kołakowski stwierdza, że jego współczesnymi dziedzicami są Ionesco i czołowi twórcy tak zwanego teatru absurdu, którzy ukazywali absurdalność świata opuszczonego przez Boga, nazywa ich „Pascal *redivivus*” i dopowiada: „U kresu naszych poszukiwań wszystkim, co nam zostało, jest rada »słuchaj Boga«”.

Ale na świecie jest diabeł, bezcielesne rozumne stworzenie, którego głównym pragnieniem i celem jest czynienie zła. Żyje na kartach Biblii, obecny jest w Kościele, w historii, w dziełach literatury i sztuki, w folklorze i bezpośrednio wśród ludzi, działa nieustannie z zadziwiającą konsekwencją i skutecznością. W języku greckim oznacza oszczercę i kręci się wokół każdego człowieka, w roju demonów

i innych duchów, także tych dobrych. W Starym Testamencie ukazuje się u Izajasza (14, 12), zjawia się w literaturze talmudycznej i w Kabale, pojawia się pod wieloma imionami, także na zasadzie aluzji czy niedopowiedzenia (na przykład w Księgach Starego Testamentu). W Nowym Testamencie spotykamy go wielokrotnie, kusi Jezusa i nazywany jest księciem tego świata. Jest istnieniem hybrydowym, zmiennym i występującym jakby we fragmentach czy „wiekuistych ruinach”. U Orygenesusa i Hieronima znajdujemy myśl o jego przyszłym zbawieniu (patrz: kontekst przypadku Judasza) i czytając chrześcijańskich egzegetów i teologów, widzimy, że jego obecność jest związana z najbardziej logicznymi pytaniami dotyczącymi naszej wiary i dowiadujemy się o jego nierozwiązywalnej zagadce dotyczącej bytu i zła. Augustyn mówi, że człowiek, który czyni własną wolę, podobny jest właśnie do niego. Kołakowski pokazuje jego działania w świetle gnozy i manicheizmu, w postaci Antychrysta, na tle średniowiecza – tu: kuszenie świętych, z których najślawniejsze są zapisy dotyczące Antoniego Pustelnika i Benedykta z Nursji, demonolatria, zakon templariuszy, lucyferianie, satanizm, czyli jego kult, oraz dotyczące czasów nowożytnych – czarownictwo i polowania na czarownice, wojny

religijne, demonologia, zmagania Lutra w Wartburgu w 1521 roku, opętania, opisy w literaturze, patrz: Swedenborg, Constant, Milton, Goethe, Baudelaire, Dostojewski, Tomasz Mann, Gide, Joyce, C.S. Lewis, także filmy, na przykład twórczość Bergmana, *Egzorcysta* czy *Dziecko Rosemary*. W każdym razie istnieje ono wyraziście, chociaż wprowadza ludzi w błąd i ciągle przekonuje, że go „nie ma” (czy nie jest to jeszcze jedno z jego imion?) – jak twierdzą filozofowie, jest nieusuwalnym składnikiem sensownego świata. Kłamca, sprytny dialektyk i zręczny manipulator, układacz długich, pokrętnych zdań, przebieraniec, sztukmistrz przekręcania na opak, część tej siły, która ciągle pragnąc zła, ciągle czyni dobro – imię jego jest milion (albo Legion, czyli 6666). Czy nie ma na niego rady? Ależ sposób jest, „na pozór prosty, w Kazaniu na górze podany, żadnej uczoności i żadnych zręczności szczególnych niewymagający, a przecież trudniejszy niż wszelka nauka i wszelkie umiejętności”. To nie tylko sprawa wyboru czy wolnej woli, o której Augustyn nie ma przecież dobrego zdania. Wymiar jest zawsze osobisty i zawsze powinien być w łączności z Bogiem.

Żyjemy między *sacrum* a *profanum* i ten, kto zajmuje się jedynie jedną stroną, zajmuje się tylko połową. „Kiedy sens sakralny ulatuje

z kultury, sens *tout court* ulatuje także [...] Być absolutnie wolnym względem sensu, względem wszelkiego nacisku tradycji to usytuować się w próżni, a więc rozpaść się. Sens zaś pochodzi tylko z *sacrum*, ponieważ nie wytwarza go żadne badanie empiryczne” – mówi Kołakowski. „Odepchnąć *sacrum* to odepchnąć granice, które człowieka określają, a także nie uznać zła, ponieważ *sacrum* odkrywa się za pośrednictwem niedoskonałości, zła i grzechu, a zło z kolei tylko za pośrednictwem *sacrum* może być zidentyfikowane”. I dochodzi do iście beckettowskiego wniosku: „Zaakceptować życie i zaakceptować je zarazem jako porażkę, jest to możliwe tylko pod warunkiem uznania sensu, który nie jest całkiem względem historii ludzkiej immanentny, to znaczy pod warunkiem uznania porządku sakralnego”.

„Zabili Boga”, stworzyli cielce, uprawiają bałwochwalstwo i myślą, że ujdzie im to na sucho. Głupota i pycha tych ludzi jest przerażająca. A uważają się za najmądrzejszych i w ogóle najlepszych. Nie rozpoznają rzeczywistości, zresztą bez praktyki *sacrum* nigdy jej nie rozpoznawali. Samolubne interesy, najlepiej robione we własnym gronie, kult siebie samych, luz, nieuznawanie biblijnych, czyli Bożych, przykazań i wartości, lekceważenie i niszczenie innych niż oni i przekonanie, że

ujdzie im to wszystko bezkarnie. Czy może być większy upadek? Waznych książek nie czytają, transmitują siebie, w swoim gronie, od rana do nocy, ten swój karykaturalny żywot, na okrągło. Ale Bóg każe kochać ludzi – czy także takich jak oni? Tak. Niszczą sztukę, filozofię, religię, przyrodę i, w końcu, sami się wykańczają, idą na wieczną zaturę, choć miejmy nadzieję, że w ostatniej chwili jednak opamiętają się i nawrócą, jak jeden z tych dwóch łotrów ukrzyżowanych z Chrystusem. Zanika poczucie wstydu, winy i grzechu, bo zanikło tabu, a taka cywilizacja nie może przetrwać.

Wracamy do Pascala. Mówi, że nie można zrozumieć tego, że ludzie nie myślą o sprawach dla nich najważniejszych: śmierci, nieśmiertelności, zbawieniu. A przecież wiara daje miłość Boga, zaufanie do Niego i pewność, że jest się Jego dzieckiem. To nie są żmudne czy zmyślne dywagacje lub rozmyślania, ale raczej serca, czyli te, które są najważniejsze. Przyznaje, że „doktryna grzechu pierwotnego jest niepojęta dla nas, z rozumem niezgodna i niezgodna z naszą nędzną sprawiedliwością, a mimo to człowiek jest jeszcze bardziej niepojęty bez tej doktryny”. I na Sądzie Ostatecznym nie będzie można tłumaczyć się ignorancją, bo „Bóg dał nam tyle światła, ile trzeba”. Ateizm jest

wygodny, sceptycyzm jest wygodny, ale świat bez Boga jest bezsensownym chaosem: „Gdy wiara nas żywi, absurdy pozorne znikają, wszystko staje się zrozumiałe. [...] Powinniśmy znać własną nędzę, inaczej w pychę wpadniemy, ale znać własną nędzę bez Boga rodzi rozpacz. Obie części wiedzy – nędzę naszą i Boga – znamy łącznie dzięki Jezusowi Chrystusowi; On jest naszym Bogiem, bez którego wszystkie ludzkie prawdy są bezsilne”.

Długi esej *Jezus ośmieszony* (w oryginale: *Jésus ridicule*), znany z osobnego wydania książkowego [patrz: „Kwartalnik Artystyczny” nr 4 (2014) 84 – przyp. K.M.], polecam ponownej uważnej lekturze. Nigdy nie będziemy żyli, choć niejedyn by chciał lub tak mu się marzy, w po-chrześcijańskim czasie. Wiara to zaufanie, taki jest pierwotny sens tego greckiego słowa. Wierzę w Boga, to znaczy: ufam Bogu – to jeden akt mentalny. Jak mówi straszliwie doświadczony Hiob: „choćby mnie zabił Wszechmocny – ufam” (Hi 13, 15). Jest krzyż i jest odkupienie. Czyż nie jest to droga światła?

Omawiając dyskusję między Bultmannem a Jaspersem, oznajmia: „Prawdą jest, że nie można przekonać się o rzeczywistości objawienia, nie akceptując go uprzednio jako objawienia; po takiej akceptacji człowiek słyszy jego głos jako słowa

skierowane do niego osobiście. Po »demitologizacji« doktryna wcielania mówi, że Bóg objawia się nie tylko jako idea, lecz jako Bóg, który przemawia do człowieka tu i teraz”. Najpierw jest słowo i świadectwo, a potem wiara i świadectwo – wiara „o dosłownym znaczeniu dla prostaczków i nieodgadniony »szyfr« dla oświeconych”, i to jest w niej zawarte jednocześnie. „Po stuleciach kwitnącego Oświecenia budzimy się nagle pośród zamętu umysłowego i moralnego; coraz większym lękiem napawa nas widok świata, który zaprzepaścił swoje dziedzictwo religijne i nasz lęk jest dobrze usprawiedliwiony” – mówi, a my widzimy, że tak jest (o czym ciągle nie chcą wiedzieć starzy beneficjenci tamtego, już martwego czy śmiertelnie ugodzonego świata). Nadszedł czas przemiany – dla pojedynczego człowieka i dla całej ludzkości. Wielka księga Leszka Kołakowskiego, którą kończy krótki szkic *Kompletna i krótka metafizyka. Innej nie będzie. Innej nie będzie*, jest dobrym do niej wprowadzeniem.

Krzysztof Myszkowski

Leszek Kołakowski, *Chrześcijaństwo*, wstęp, wybór i opracowanie Hubert Czyżewski, Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”, Kraków 2019

Ból istnienia

4 lipca 2000 roku Ryszard Przybylski powiadał Tadeusza Różewicza: „Miałem złe dwa tygodnie, nawet ręka wysiadła. Ale wczoraj był pan doktor Kapuza i bardzo mnie uspokoił. Został mi odziedziczony po ojcu gościec stawowy. Raz boli tu, raz boli tam, ale to nie serce. Można czytać”. Cztery dni później Różewicz odpowiadał: „Na mnie kolej... nie mogę pisać, po paru minutach boli mnie prawa ręka (cała), szyja, jakieś mięśnie, żyły, aorty, kręgosłup, po 10 minutach siedzenia przy biurku cierpną mi nogi, stopy... oczywiście biorę leki itd.”.

Oczywiście – nic z tego nie wynika, po prostu starsi panowie, stosownie do wieku, wymieniają się informacjami o stanie zdrowia. Rzecz w tym, że bólowi ciała towarzyszy ból świata, a właściwie – ból języka czytanego. Komentując stan młodej poezji, pisze Przybylski: „[...] pokolenie '68 miało niby stworzyć coś w rodzaju tzw. poezji lingwistycznej, którą utożsamiono z jednej strony z zabawami (wstawiano najczęściej nowe słowa w potoczne wyrażenia), z drugiej zaś z ośmieszaniem gazetowego żargonu. W sumie mówiono nowym żargonem, tyle że na usługach tzw. opozycji. Przodował w tym Barańczak, jeden z »wydrążonych ludzi«, równie wściekły, co pusty.

Krzykacze zrobili z niego wieszczka. W tym pojęciu język był środkiem komunikowania się felietonowych polityków. W takiej atmosferze propozycja złożona zarówno przez Ciebie, jak i przez J.M. Rymkiewicza, musiała przejść niezauważona. Czy całe to towarzystwo mogło zrozumieć nowe przemyślenia Wittgensteina czy angielskiej szkoły analitycznej?”. Z kolei Różewicz o filozofach „w typie Levinasa”: „Złości mnie ich język, który ma zastąpić myślenie i filozofię... złoścą się na nich jak na kiepskie jedzenie... bogactwo dodatków i jesz (nie trawisz) pieczeń wieprzową à la łosoś w sosie chrzanowym, ale z kaparów, z sałatką z patatów à la figi... wątróbka wołowa à la wątrupka gęsia z dorsza... Całe to pokolenie mnie złości. I tak się ucieszyłem, jak przeczytałem to, co piszesz o Platonie i presokratykach! Teraz filozofowie zmieniają się w poetów... i masz filozofię à la poezja itd. Niech to djabli...”.

Gdy czyta się dziś podobne sądy jak ocena poezji Barańczaka przez Przybylskiego, warto zwrócić uwagę na fakt wówczas, w roku 1983, niesłychanie istotny: ich publikacja była wtedy niemożliwa, zaś gdyby nawet cenzura miała je przepuścić, autor z całą pewnością by nie chciał ich publicznie ogłaszać, by nie dostarczać władzom argumentów przeciw opozycji. Warto też przypomnieć,

że słowa te pisane są w bardzo znamiennej kontekście: to czas, w którym zaprzyjaźniony wtedy z Przybylskim poeta Jarosław Marek Rymkiewicz ogłasza w paryskim Instytucie Literackim Giedroycia powieść *Rozmowy polskie latem 1983*, której jednym z najważniejszych bohaterów jest Adam Michnik, zaś jedną z postaci epizodycznych partnera autora *Klasycyzmu*, ogłaszający już na początku utworu, że póki ktoś nie dostanie pałką po grzbiecie, póty nie wie, na jakim świecie żyje.

Nie był to zatem czas sprzyjający publicznym dyskusjom na temat artystycznych wartości poezji Barańczaka, lecz jednocześnie był to czas podwójnego niejako skrępowania literatury, podzielonej – co w Polsce akurat nie jest zjawiskiem zaskakującym – na dwa politycznie sobie wrogie obozy, a tym samym zredukowanej do instrumentu wojny ideologicznej. W tych okolicznościach nie dziwi i to, że Przybylski ujawnia swe skłonności do podobnej instrumentalizacji, choć przyjmuje pozornie apolityczny punkt odniesienia i podnosi sprawę dla niego istotną: „Jeśli w drugiej połowie XX wieku coś się u nas naprawdę wydarzyło, to właśnie w języku poezji. Tylko Ty i J.M.Rymk. dotknęliście tej sprawy. Nawet Miłosz, nawet Herbert pisze o tym, co już się z d a r z a ł o w naszej h i s t o r i i. Wy piszecie o tym,

co się w y d a r z y ł o w naszym j ę z y k u. Widzicie punkt Omega. Ach, gdybym to wszystko zrozumiał”.

Sądzę, że warto omówienie tej korespondencji opatrzyć osobistym przypisem. Różewicza znałem od dziecka, był przyjacielem moich rodziców, ale też poetą i dramaturgiem, który wywarł na mnie wpływ chyba decydujący – jako licealista zachwyciłem się jego dramatem *Grupa Laokoona* i tak już zostało. Widywaliśmy się sporadycznie, ale czytałem wszystko, co publikował. Z Przybylskim zaprzyjaźniłem się na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, a nawet dziewięćdziesiątych, gdy zostaliśmy sąsiadami na warszawskich Stegnach. Przez kilka lat co poniedziałek gościliśmy go z żoną na wielogodzinnych dysputach, których uczestnikami bywali Iwona Smolka, Antoni Pawlak, Joanna Szwedowska, czasami ktoś jeszcze. Jednym z naszych marzeń było nagranie tego, co mówi Ryszard, odgrywający rolę Szacownego Starca czy Mistrza lub guru, lecz przeciw takim zamiarom protestował. W czasach stanu wojennego te spotkania miały niezwykłą wagę. Nie obywało się bez sporów, ale były to – przynajmniej dla mnie – spory istotne. Ryszard, co ważne, pozostawał w sporym dystansie do bieżących wydarzeń (choć dzięki przyjaźni z Marią Janion

był w nie dość dobrze wprowadzony) – komunistycznej władzy po prostu nienawidził i z ochotą wznosił wraz z resztą towarzystwa toasty „na pohybel!”, opozycji zaś chyba zwyczajnie nie ufał, choć przecież jej pomagał, dając w swoim mieszkaniu schronienie ukrywającym się działaczom. Sam zaangażował się w opór na swój sposób: zorganizował dla swych studentek i studentów, na ogół już doktorantów, prywatne seminarium. I ich w trakcie zajęć, i nas w trakcie poniedziałkowych posiadów uczył dystansu i trudu rozumienia poezji. Gdy pewnego wieczoru odprowadzałem go do sąsiedniego bloku, zwierzyłem się z zamiaru opublikowania tomu wierszy skupionych na postaci Różewicza i spytałem czy tytuł „Pan Tadeusz” nie będzie zbyt manifestacyjny – namówił mnie do zmiany. Książka ukazała się pod tytułem *Panu Tadeuszowi*, a zakończona została trzynastozgłoskowcem poświęconym Rymkiewiczowi, który zareagował nań listownie, protestując przeciwko łączeniu go z Różewiczem. Cóż – od czasu, gdy autor *Żmuta* opiewał postawę „Adasia”, zdołał przejść dość długą drogę, co nie znaczy, że przytoczone w recenzji słowa Przybylskiego o pokrewieństwie obu poetów straciły swą moc – być może nawet stały się mocniejsze: *habent sua fata poetae...*

Jest w tym dialogu Przybylskiego z Różewiczem coś, co z pewnością pokazuje to, co ich od siebie w zasadniczy sposób odróżnia, lecz miast ich różnić, powoduje zbliżenie: Różewicz jest po prostu silniej zakorzeniony w życiu, w codzienności. Obaj natomiast mają doskonałą świadomość tego, że współczesna poezja to nie żadna „walka o oddech” czy „walka o godność”, lecz przede wszystkim walka o język. I jeśli Miłosz w *Traktacie poetyckim* powiada, że „historyczność niszczy nam substancję”, zaś po latach wskaże, że sukcesy polskiej „szkoły poetyckiej” w Stanach Zjednoczonych wyrastają z jej zakorzenienia w historii, to zarówno Różewicz, jak i Przybylski wiedzą – choć nie zawsze wprost o tym mówią – że literatura musi przezwyciężyć to, co Imre Kertész określił jako inwazję „języka atonalnego”. Gdy jednak przyjrzeć się wypowiedziom obu korespondujących z sobą humanistów – termin podnoszony często przez Przybylskiego, przez Różewicza zbywany jako zapewne zbyt „patetyczny” – nietrudno dostrzec, że uwierająca pierwszego z nich historyczność jest dla drugiego mimo wszystko istotna. Ale też nie ulega wątpliwości, że był autor *Płaskorzeźby* doskonale świadom wagi tego, co się zdarzyło w języku, skoro w szkicu towarzyszącym

skomponowanej przezeń antologii wierszy Leopolda Staffa podkreślał, że nie można już pisać w „języku Muz”, a należy w jego miejsce wprowadzić „język ludzki”. Przy tym obaj – podobnie zresztą jak Rymkiewicz, ale i Miłosz – nie kryją swego podziwu dla Mickiewicza, który, jak się zdaje, wypełnia swym dziełem lukę, jaką w polskiej literaturze stanowi brak tradycji mistycznej, tak silnie obecnej w piśmiennictwie niemieckim. Ku mistycyzmowi zresztą kieruje w tym tomie uwagę wymiana zdań na temat malarstwa Jerzego Nowosielskiego, stanowiąca jeden z głównych wątków tego epistolarnego dialogu. I wreszcie – gdy o sprawy językowe chodzi – warto zauważyć, że Różewicz wiele słów (podobnie jak w swych wierszach) ujmuje w cudzysłowach, ale to właściwie już temat na osobny esej. Przytoczę zatem na zakończenie fragment listu poety z odmową wznowienia wyboru Staffa: „Nie jestem w stanie niczym się zatrudnić... miałem coś napisać o Norwidzie, od dwóch lat leżą jakieś notatki, nawet do nich nie zaglądam. Kiedy wrócę do »literatury«, nie wiem”. Do Staffa jednak, jak wiadomo, wrócił w cyklu poetyckiej rozmowy ze Starym Poetą w tomie *Szara strefa*.

Ważnym dopełnieniem tej książki jest seria rozmów Przybyl-

skiego z Różewiczem (*Spotkania na Akermańskiej*), spisanych z dokumentalnych filmów Piotra Lachmanna i Andrzeja Sapiji, oraz dwa wywiady, jakie z Przybylskim przeprowadziła Krystyna Czerni.

Leszek Szaruga

Ryszard Przybylski, Tadeusz Różewicz, *Listy i rozmowy 1965–2014*, podała do druku, opracowała i wstępem opatrzyła Krystyna Czerni, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2019

Teraz oto mnie nie ma. Edward Stachura w trzydziestu dziewięciu czarnych skrzynkach pamięci

Muszę przyznać, że mam z tą książką kłopot. Nie jestem wielkim entuzjastą pisarstwa Edwarda Stachury, uważam go za nie najgorszego prozaika, autora całkiem udanych opowiadań, ciekawych powieści. Jeśli chodzi o jego wiersze – znajdziemy trochę dobrych, ale nie wracam do nich zbyt często. Pisał przyzwoite teksty piosenek, które wykonywał podczas spotkań autorских, grając na gitarze i śpiewając. Nie było to powalające, ale miało swój urok – zachowały się trzy płyty z tymi nagraniami, wśród których są

rejestracje domowe, studyjne oraz „recitalowe”. Tłumaczem z literatury francuskiej i hiszpańskiej był średnim (niedawno ukazał się opasły tom zawierający jego przekłady). Pisał jeszcze dzienniki podrózne, które są niezbyt wciągającą lekturą, oraz swego rodzaju eseje – notatki, refleksje, myśli, przez które dziś trudno mi przejść. Owszem, zorganizowałem w roku 2015 ogólnopolską konferencję naukową poświęconą twórczości autora *Jednego dnia* na moim macierzystym Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, rok później opublikowano tom z materiałami z tej sesji, ale zrobiłem to nie ze względu na moją fascynację pisarstwem Stachury, lecz z prostego powodu – nie było wcześniej takiego spotkania badawczego oraz brakowało (mimo że nie jest to pisarz pomijany w ostatnich latach w historii literatury) naukowego namysłu nad jego spuścizną. Byłem zapraszany do wygłoszenia wykładów o twórczości autora *Całej jaskrawości* w kilku miastach w Polsce oraz do rozmów radiowych, szczególnie w zeszłym roku, kiedy to przypadła czterdziesta rocznica samobójczej śmierci Stachury. I te cztery elementy: konferencja, tom wydany po niej, wykłady, dyskusje w radiu, mogą sprawiać wrażenie, że jestem miłośnikiem pisarstwa autora *Najlepszego człowieka świata*, specjalistą od jego twórczości, gdy

tymczasem tak nie jest. Po prostu przypadek sprawił, że pojawił się w moim świecie filologicznej refleksji i zagościł w nim przez jakiś czas. Dodam jeszcze, że ominęła mnie fala stachuromanii w latach osiemdziesiątych XX wieku, urodziłem się w roku 1974, więc byłem wówczas dzieckiem.

Będąc w szkole podstawowej, obejrzałem w kinie niezły film *Siekierzada*, z 1985 roku, w reżyserii Witolda Leszczyńskiego, na podstawie powieści autora *Falując na wietrze*. W szkole średniej często słuchałem kasety zespołu Stare Dobre Małżeństwo, wykonującego utwory Stachury, z muzycznymi kompozycjami tej grupy, byłem na jej koncercie. Znalazłem również, w klasie maturalnej, w roku 1993, w podręczniku języka polskiego kilka wierszy autora *Po ogrodzie niech hula szarańcza*, między innymi – słynną *Białą Lokomotywę*, ale liryki te nie zrobiły na mnie większego wrażenia. Ceniłem wówczas prozę Prousta, twórczość Gombrowicza, Schulza, poezję Nowaka, Miłosza i Różewicza, a przede wszystkim – francuskich egzystencjalistów. Dziś, oczywiście, widzę, że pisarstwo Stachury świetnie dałoby się czytać w kontekście egzystencjalizmu. Pod koniec pierwszego roku studiów polonistycznych, w roku 1995, przeczytałem książkę Mariana Buchowskiego, będącą opracowa-

niem biografii autora *Przystępuję do ciebie*. W trakcie studiów doktoranckich brałem udział w seminariach doktorskich, a tak się złożyło, że kolega z tego studium – Waldemar Szyngwelski, pisał doktorat o prozie Stachury, słuchałem więc jego ustaleń podczas spotkań naukowych. Opublikował on potem dwie książki, w roku 2003, na podstawie swojej rozprawy doktorskiej.

Ale wszystko to nie sprawiło jednak, że dałem się ponieść „modzie na Steda”, nie czytałem jego książek, pochłonięty byłem lekturą lepszych pisarzy i poetów. Twórczość autora *Dużo ognia* poznałem wiele lat później, jako dojrzały już człowiek – w wieku trzydziestu trzech lat sięgnąłem po wydany wówczas tom opowiadań *Moje wielkie świętowanie* (2007) oraz powieść *Cała jaskrawość*. I znów miałem kilka lat przerwy... Dopiero nasza konferencja sprawiła, że – z obowiązku i powinności – przeczytałem teksty autora *Kropki nad ypsilonem*. W roku 2016 zostałem zaproszony do ławy, gdzie wygłosiłem wykład *Port poezja. Nie tylko o Stachurze nad Jeziorakiem*, ponownie do tego miasta pojechałem z odczytem trzy lata później, w czterdziestą rocznicę śmierci autora *Wszystko jest poezja*, w sierpniu zeszłego roku. Czytałem zatem jego utwory latem 2019 roku, jako czterdziestopięcioletni człowiek, z бага-

żem doświadczeń, wiedzy, mając na karku różne wyroki losu. Może więc moje poznawanie pisarstwa Stachury było całkiem dobre, bo czytałem te teksty bez młodzieńczego entuzjazmu, z dystansem, na chłodno, badawczo, traktując je jako zadanie do odrobienia, z obowiązku, a nie bezinteresownie, z pracowitości, a nie pasji, zmuszony, a nie wolny, mając na koncie trochę przeczytanych książek? Po drodze była, rzecz jasna, lektura opracowań o twórczości autora *Się*, rozłożona na wiele lat, słuchanie ustaleń Szyngwelskiego, właściwie bez mojej znajomości „przedmiotu badań”, raczej z ciekawości na temat tego, jak można pisać o literaturze, prozie, niż z chęci poznania i zrozumienia utworów Stachury, którego, bądź co bądź, otaczała aura legendy i mitu. Poza tym, wówczas byłem gorącym zwolennikiem strukturalizmu w badaniach literackich, interesowały mnie teksty, a nie biografie, interpretacje dzieł literackich, a nie życiorysy, idee, a nie losy artystów sztuki słowa, wartości artystyczne, estetyczne i nadestetyczne, a nie ustalenia *curriculum vitae*. Osoba autora, jego osobowość pozostawała na marginesie moich zainteresowań, liczył się „fundament bytowy dzieła literackiego” – tekst, ważna była fenomenologia oraz sztuka interpretacji utworów literackich. Może pozostał we mnie ów

strukturalista z lat studiów filologiczno-filozoficznych i dlatego mam kłopot z książką, którą tu chciałbym pokrótce omówić?

Wracam zatem do pierwszego zdania z niniejszej noty. Dziś osoba autora, jego osobowość, losy, biografia, są dla mnie bardzo ważne. Nie znaczy to jednak, że ustalenia strukturalizmu porzuciłem. Najbardziej lubię interpretacje dzieł literackich, dlatego zorganizowałem konferencję o pisarstwie Stachury i opublikowałem tom po tej sesji. I dlatego mam kłopot z książką *Teraz oto jestem. Edward Stachura we wspomnieniach*. Wolałbym kolejny zbiór interpretacji jego tekstów. A jest chyba nadal co robić w tej materii. Są „nowe słowniki teoretyczne”, są nowe metodologie w badaniach filologicznych, nowe narzędzia w refleksji humanistycznej, bardzo ożywcze, oryginalne, pomysłowe i wartościowe. Tymczasem otrzymaliśmy tom będący w zasadzie zbiorem gawęd. Trzydzieści dziewięć osób opowiada o tym, jak pamięta autora *Missa pagana*, o spotkaniach z nim, rozmowach, jego obecności w ich życiu. W zasadzie książka ta jest przygnębiającą opowieścią o ludzkiej pamięci, a raczej – niepamięci. I dlatego jest przygnębiająca, ponieważ jest dowodem na to, jak ludzie słabo pamiętają, jak

mało zapamiętują, jak są nieuważni i patrzą na świat w sposób subiektywny nad wyraz. Oczywiście, jest to bardzo ludzkie, możemy sobie współczuć, że nam tyle umyka, ginie. Sposobem na to, być może, jest prowadzenie dzienników czy pamiętników, dokładne zapisywanie, próbował robić tak zresztą sam Stachura, notując wszystko, co się da. Ale i to jest przygnębiające – bo przecież to się nie udaje i nie uda, rzeczywistość jest płynna jak rzeka, wszystko jest przepuszczane przez filtr naszego postrzegania świata i filtr pamięci. Wszystko zresztą jest metaforą i interpretacją. I często właśnie te interpretacje osoby autora *Naprzód, niebiescy*, interpretacje Steda jako człowieka z krwi i kości, zapisane na kartach omawianego tomu, mnie rozczarowały. Inna sprawa, że może gdyby te zapisy były dostępne w formie nagrań, może oprócz druku, a może zamiast niego – i moglibyśmy ich wysłuchać (co prawda, to słuchanie trwałoby bardzo długo, bo książka jest obszerna, liczy trzysta trzydzieści cztery strony), z głosami ludzi wspominających autora *Oto* – rzecz byłaby bardziej ciekawa. Chociaż i tak przygnębiająca. Myślę, że omawiany tom mógłby stanowić świetną kanwę dla filmu dokumentalnego o życiu i twórczości Edwarda Stachury, wówczas osoby obecne na kartach tej książki

mogłyby się w takim obrazie wypowiedzieć, z chęcią bym taki film obejrzał (powstało do tej pory pięć filmów dokumentalnych o autorze *Pogodzić się ze światem*, w latach: 1990, 1992, 1996, 1999, 2014).

Nie wiem zatem, czy ten tom jest potrzebny, czy wiele byśmy stracili, gdyby go nie było, gdyby nie ujrzał światła dziennego. Więcej dowiadujemy się o tych osobach, które zetknęły się ze Stachurą, niż o nim samym. Co zresztą samo w sobie może być interesujące, jest bowiem rodzajem świadectwa psychologicznego – jak ludzie potrafią opowiadać o innych ludziach, spotkanych na swojej drodze życiowej, jak przebiega postrzeganie drugiego człowieka, co umiemy zauważyć i zapamiętać. A może właśnie tak jest, i nie jest to wcale przygnębiające, bo po prostu taka jest natura człowieka i świata – wszystko ginie i przepada, nic nie zostaje, ludzka pamięć jest zawodna, wszystko przekłamuje, mitologizuje, przeinacza? Trzeba to przyjąć ze stoickim spokojem. Ważna może jest próba pochwylenia naszych wrażeń, i tak wszystko jest metaforą i interpretacją. W tym znaczeniu książka *Teraz oto jestem. Edward Stachura we wspomnieniach* byłaby lekturą pouczającą – zostają migotliwe ślady po człowieku, zarysy, kontury, strzępki pamięci.

Nie będę tu pisał o najciekawszych, moim zdaniem, wspomnieniach ani o tych, które są najmniej interesujące. Powiem krótko o konstrukcji tomu – otwiera go wspomnienie Jerzego Klechty (dziennikarza, publicysty, w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku redaktora naczelnego czasopisma „Radar”, twórcy programu telewizyjnego *Bliżej świata*), pod tytułem *Idol*, a zamyka – Henryka Jankowskiego (maszynisty elektrowozu, który w kwietniu 1979 roku w miejscowości Bednary potracił Edwarda Stachurę) *Wypadek w Bednarach*. Jest jeszcze *Apendyks – Bruno, Sted i okoliczności* Piotra Müldnera-Nieckowskiego (poety, prozaika, językoznawcy, lekarza, absolwenta Akademii Medycznej w Warszawie, profesora Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie). Książka jest bardzo dobrze skomponowana, pod tym względem należy rzecz pochwalić. Pierwsze zdanie tomu brzmi zatem: „Stachura pojawił się w Lublinie na KUL-u w 1957 roku”, ostatnie zaś: „[dzieci mówią:] Mama pozwoliła powiedzieć, ale się boi i chce, żebyśmy teraz jeszcze nie jechali dalej nigdzie”. To dobra klamra kompozycyjna, książkę rozpoczyna scena, kiedy dwudziestoletni autor *Jasnego pobytu nadrzecznego* rozpoczyna studia romanistyczne na Wydziale Nauk Humanistycznych Ka-

tolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, a zamyka – informacja o emocjach związanych z momentem, kiedy Nieckowski i jego bliscy dowiedzieli się 24 lipca 1979 roku z radia o śmierci Stachury. To przejmujący koniec tej wielogłosowej opowieści. Redaktor tomu – Jakub Beczek, który mnóstwo pracy włożył w tę publikację, nagrywając i spisując wspomnienia ludzi pamiętających autora *Doliny obiecannej*, zaopatrzył jeszcze książkę w dział *Ważniejsze daty z życia Edwarda Stachury*, znajdziemy tu najbardziej podstawowe fakty. Warto wspomnieć, że w tomie jest *Indeks osób*, nie zawsze tak bywa w tego rodzaju wydawnictwach, świetnie, że tak się stało, ułatwia to znalezienie informacji.

Autor *Uspokojenia* debiutował książkowo zbiorem opowiadań *Jeden dzień* (1962), natomiast pierwszy zbiór wierszy – *Dużo ognia*, opublikował rok później, w 1963. Zamyka ten tomik wers: „i wyszedłem na łąki”. Linijka ta, jak w soczewce, zawiera esencję życia i twórczości Edwarda Stachury. To był namiętny i ekstatyczny podróżnik, wiecznie w drodze i w ruchu, piewca wolności, zbuntowany wizjoner, miłośnik natury i przyrody. Chętnie bym zobaczył film fabularny o nim, oczywiście zdaję sobie sprawę, jak trudno taki obraz wymyślić i zrealizować, ale skoro jest na przykład film o innym

legendarnym polskim poecie – Rafale Wojaczk, to dlaczego nie mógłby powstać i film o autorze *Miecza Damoklesa*? Może tom *Teraz oto jestem* przydałby się do napisania scenariusza? Warto by było również, jak sądzę, zorganizować kolejną konferencję naukową o życiu i twórczości Stachury, posłuchać referatów, a potem opublikować tom z materiałami z takiej sesji. Bowiem – „wszystko jest interpretacją”...

„Nieprzebrana jest chwila wiersza łaska” – napisał Stachura, człowiek, którego cząstki lotów ziemskich zapisane są teraz nie tylko w jego pisarstwie, ale i w trzydziestu dziewięciu czarnych skrzynkach pamięci ludzi, którzy go wspominają.

Paweł Tański

Teraz oto jestem. Edward Stachura we wspomnieniach, wstęp, wybór i opracowanie Jakub Beczek, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 2020

Kazimierz Brakoniecki, ur. 1952 w Barczewie, poeta, eseista, tłumacz poezji frankofońskiej, regionalista; ostatnio opublikował *Cudoziemca* (2018) oraz zbiór wierszy *Twarze świata* (2019). Mieszka w Olsztynie.

Krystyna Chwin-Lars, ur. 1950 w Ełku; autorka pięciu tomów wierszy; ostatnio opublikowała *Gdańsk według Stefana Chwina* (2008). Mieszka w Gdańsku.

Stefan Chwin, ur. 1949 w Gdańsku, prozaik, eseista; profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio ogłosił *Srebrzysko. Powieść dla dorosłych* (2016) i *Opowiadania dla Krystyny* (2018) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 3 (67) i 2016 nr 4 (92)]. Mieszka w Gdańsku.

Mirosław Dzień, ur. 1965 w Bielsku-Białej, poeta, eseista, krytyk literacki; profesor Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej; ostatnio opublikował *Gościńce. Wiersze i kantyczki* (2016) i *Thambos* (2019). Mieszka w Bielsku-Białej.

Aleksander Fiut, ur. 1945 w Żywcu, historyk literatury, eseista, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; ostatnio opublikował *Po kropce* (2016). Mieszka w Krakowie.

Gerhart Hauptmann (1862–1946), dramaturg i prozaik niemiecki, autor m.in.: *Tkaczy*, *Biednego Henryka* i *Kacerza z Soany*; laureat Nagrody Nobla (1912).

Magdalena Heydel, ur. 1969 w Katowicach; profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego; tłumaczka m.in. Conrada, T.S. Eliota, Heaney’a i in. Mieszka w Krakowie.

Marek Kędzierski, ur. 1953 w Łodzi, prozaik, eseista, tłumacz Becketta i Bernharda, reżyser;

ostatnio ukazała się w jego przekładzie powieść Bernharda *Przeegrany* (2019). Mieszka m.in. w Paryżu.

Antoni Libera, ur. 1949 w Warszawie, prozaik, eseista, tłumacz, reżyser; ostatnio opublikował *Jesteście na Ziemi, na to rady nie ma! Dialogi o teatrze Samuela Becketta* (wraz z Januszem Pydą OP) (2018), nowe przekłady *Tragedii Sofoklesa* (2018) i *Tragedii Racine’a* (2019) oraz *Godot i jego cień* (2019) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2019 nr 1 (101)]. Mieszka w Warszawie.

Czesław Miłosz, ur. 1911 w Szetejniach na Wileńszczyźnie, zm. 2004 w Krakowie; największy poeta polski XX w., eseista, prozaik, tłumacz; ostatnio w edycji *Dzieł zebranych* ukazało się *Wygnanie i powroty. Publicystyka rozproszona z lat 1951–2004* (2019) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2001 nr 2 (30), 2004 nr 3 (43), 205 nr 3 (47), 2008 nr 3 (59), 2011 nr 2 (70), 2014 nr 2 (82)].

Tomasz Mizerkiewicz, ur. 1971 w Pleszewie, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza; ostatnio opublikował: *Literatura obcna. Szkice o najnowszej prozie i krytyce* (2013). Mieszka w Poznaniu.

Krzysztof Myszkowski, ur. 1952 w Toruniu, prozaik, eseista; ostatnio opublikował *Puste miejsce* (2018), *W rozmowie* (2018) i *Punkt wyjścia* (2019). Mieszka w Toruniu i w Bydgoszczy.

Krystyna Rodowska, ur. 1937 we Lwowie, poetka, tłumaczka, eseistka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała przekład I tomu *W poszukiwaniu utraconego czasu* Prousta (2018) oraz wybór wierszy *Nic oprócz O* (2019). Mieszka w Warszawie.

Piotr Sobolczyk, ur. 1980 w Lublinie, eseista, krytyk literacki, tłumacz literatury hiszpańskiej; adiunkt w Instytucie Badań Literackich PAN; ostatnio opublikował *Gotycyzm – modernistyczny sobowtór odmieńca* (2017). Mieszka w Warszawie.

Leszek Szaruga, ur. 1946 w Krakowie, autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckojęzycznej i rosyjskiej; profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował m.in. zbiór aforyzmów *Kanibale lubią ludzi* (2019) i tom esejów *Przestrzenie dialogu* (2019) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2016 nr 1 (89)]. Mieszka w Warszawie.

Piotr Szewc, ur. 1961 w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki; ostatnio opublikował tom wierszy *Światelko* (2017) oraz *Tymczasem. Wybór wierszy* (2019). Mieszka w Warszawie.

Artur Szlosarek, ur. 1968 w Krakowie, poeta, tłumacz, eseista; ostatnio opublikował *Późne echo* (2017). Mieszka w Berlinie.

Susana Szwarc – patrz: Nota na str. 94.

Paweł Tański, ur. 1974 w Toruniu, autor wierszy i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika; ostatnio opublikował tomik *Okolicznik północnych pól* (2019). Mieszka w Toruniu.

Marta Tomczok, ur. 1980 w Knurowie, literaturoznawczyni; profesor Uniwersytetu Śląskiego; ostatnio opublikowała *Czy Polacy i Żydzi nienawidzą się nawzajem? Literatura jako mediacja* (2019). Mieszka w Katowicach.

Maciej Wróblewski, ur. 1968 w Elku, eseista i krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika; ostatnio opublikował *Doświadczenie dzieciństwa. Studium z antropologii literatury* (2019). Mieszka w Toruniu.

Konrad Zych, ur. 1985 w Wołominie, krytyk literacki, redaktor portalu literatki.com. Mieszka w Strykach.

Wydawca:

Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego**



KUJAWSKO-POMORSKIE
CENTRUM KULTURY
W BYDGOSZCZY

Adres redakcji:

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6
tel. 52 585 15 02, wew. 115
e-mail: kwartalnik@kpck.pl
www.kwartalnik.art.pl

Prenumerata: Barbara Laskowska, tel. 52 585 15 02, wew. 101
Korekta: Hanna Borawska, Barbara Dąbrowa

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Warunki prenumeraty:

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego“:

- krajowej – 40 zł
- zagranicznej – 40 USD / 35 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

PKO SA II Oddział Bydgoszcz 68 1240 3493 1111 0000 43057874
„Kwartalnik Artystyczny”

*Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje
Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu
i Urzędowi Miasta Bydgoszczy za pomoc finansową w wydaniu numeru 2/2020*



Województwo
Kujawsko-Pomorskie



Miasto
Bydgoszcz

Realizacja poligraficzna:

Dom Wydawniczy „Margrafen”
ul. Białogardzka 13, 85-808 Bydgoszcz
tel./fax 52 370 38 00, www.margrafen.pl

Instytut Literatury
 Agata Janiak, *Ten, który widzi. O twórczości literackiej Józefa Czapskiego*, Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika Kulturalnego „Nowy Napis”, Kraków 2020

Andrzej Kijowski, *Dzieje literatury pozabawionej sankcji*, vol. 1 i 2, Biblioteka Krytyki Literackiej Kwartalnika Kulturalnego „Nowy Napis”, Kraków 2020

Instytut Mikołowski im. Rafała Wojaczka
 Arkadiusz Kremza, *Człowiek O.*, Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficznego, tom 169, Mikołów 2020

Juliusz Pielichowski, *Czarny organizm*, Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficznego, tom 162, Mikołów 2019

Tadeusz Sławek, *Kafka. Życie w przestrzeni bez rozstrzygnięć*, Biblioteka Arkadii – Pisma katastroficznego, tom 166, Mikołów 2019

Oficyna Wydawnicza Akwedukt
 Krzysztof Ryszard Garczarek, *Poezja Janusza Stycznia. Elementy poetyki i kulturowe inspiracje*, Wrocław 2019

Robert Gawłowski, *Pył*, Wrocław 2020

Państwowy Instytut Wydawniczy
 Łukasz Nicpan, *Fajerwerki nad otuliną*, seria: Proza Współczesna, Warszawa 2020

Dorota Szatters, *Warszawskie Jeruzalem*, Warszawa 2020

Bogdan Zadura, *Płyn Lugola*, Warszawa 2020

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich
 Krystyna Lenkowska, *Kiedy byłam rybą (lub ptakiem)*, Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, tom 1, Kraków 2020

Towarzystwo Przyjaciół Sopotu
 Stanisław Dłuski, *Oda do próchna*, Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”, tom 181, Sopot 2020

Michał Fałtynowicz, *Witajcie w moim Bełtejem!*, Biblioteka Poezji / Biblioteka „Toposu”, tom 180, Sopot 2020

Wydawnictwo a5

Agi Mishol, *Jestem stąd. Wiersze*, wybrały i przełożyły Angelika Adamczyk i Justyna Radczyńska oraz Beata Tarnowska, postłowie Edward Hirsch, Kraków 2020

Wydawnictwo Forma

Anna Frajlch, *W pośpiechu rzeka płynie*, seria: Tablice, Dom Kultury 13 Muz, Szczecin – Bezrzecze 2020

Uta Przyboś, *Wielostronna*, seria: Tablice, Szczecin – Bezrzecze 2020

Wydawnictwo Kolegium Europy Wschodniej

Jacek Hajduk, *Wolność słoneczna*, Wojnowice 2020

Giedra Radvilavičiūtė, *Dzisiaj śpię od ściany*, przełożyła Małgorzata Gieratowska, Wojnowice 2020

Jorgos Seferis, *Król Asine i inne wiersze*, przełożył i komentarzem opatrzył Michał Bzinkowski, Wojnowice 2019

Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika

Czytanie Wierzyńskiego, redakcja Lesław Lewandowski, Jakub Osiński, Toruń 2019

Historie ukryte w pamiątkach. Literatura wspomnieniowa jako przedmiot i źródło badań naukowych, redakcja Ilona Zaleska, Agnieszka Górka, Elwira Piszczek, Toruń 2020

Miłosz Stelmach, *Przecucie końca. Modernizm, późność i polskie kino*, seria: Monografie Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, Toruń 2020

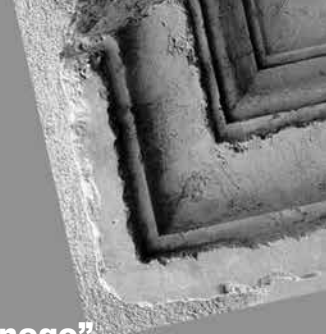
Wydawnictwo słowo/ obraz terytoria

Leszek Kolankiewicz, *Dziady. Teatr święta zmarłych*, seria: Terytoria Teatru, wydanie drugie, Gdańsk 2020

Mario Praz, *Wspaniałości Rzymu*, przełożyła Joanna Ugniewska, Biblioteka Mnemosyne pod redakcją Piotra Kłoczowskiego, Fundacja Terytoria Książki, Gdańsk 2019

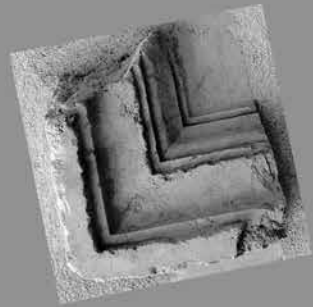
Wydawnictwo Test

Marek Rapnicki, *Pan Amo prosi o głos*, Lublin 2020



**Wznoszę toast na zdrowie „Kwartalnika Artystycznego”
i dalsze dziesięciolecia jego bogatej egzystencji.**

Czesław Miłosz



**„Kwartalnik Artystyczny” jest pismem,
na które zawsze czekam.**

Wisława Szymborska

**Prowadzony przez Pana kwartalnik uważam za pismo wybitne.
Nie wątpię, że mówiono to nie raz, że redaguje Pan świetne pismo.
Cieszę się na każdy przysłany numer „Kwartalnika”.**

Zbigniew Herbert





CENA 11 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 1232-2105 02



9 771232 210000

INDEKS 36294